ANTOLOGJA POEZJI ŻYDOWSKIEJ

PRZEŁOŻYŁ i ZEBRAŁ

S. HIRSZHORN

WYDAWNICTWO „B-CIA LEWIN-EPSTEIN i S-KA"
WARSZAWA 1921

ANTOLOGJA POEZJI ŻYDOWSKIEJ

PRZEŁOŻYŁ i ZEBRAŁ

S. HIRSZHORN

WYDAWNICTWO „B-CIA LEWIN-EPSTEIN i S-KA"
WARSZAWA 1921

Drukarnia L. LEWIN-EPSTEIN,
Warszawa, Pawia 38.

Słówko wstępne.

Dziwnem zrządzeniem losu na jednej ziemi mieszkają dwa narody, posiadające najtragiczniejsze dzieje: naród polski i naród żydowski. Ten ostatni jest wprawdzie rosproszony po całym świecie, nigdzie jednak nie mieszka tak wielkiemi i zbitemi masami i nigdzie — z tego i z innych powodów — nie prowadzi tak intensywnego życia narodowego.

Lecz oto—jakgdyby to sprwawiła ironja losu, narody te, polski i żydowski, związane wspólną martyrologją i żyjące obok siebie w ciągu wielu wieków, bardzo mało wzajemnie się znają. Szczególnie da się to powiedzieć o narodzie polskim, który żydów wcale nie zna. Był okres czasu, gdy polska literatura piękna i publicystyka zbytnio idealizowała żydów; następnie od wielkiego uwielbiania przeszła do ryczałtowego potępiania, od miłości do nienawiści, od bezmyślnego filosemityzmu do bezkrytycznego antysemityzmu. W jednym i drugim atoli wypadku brakowało bezstronnego studjowania żydów, skutkiem czego i tu i tam sądy wypadły błędne.

Jednem ze źródeł poznania żydów jest zapoznanie się z ich własną literaturą. O niej nietylko polacy rdzenni, lecz i ci żydzi, którzy czytują jedynie po polsku, mają wyobrażenie zgoła mylne, sądząc, że ma się tu do czynienia z twórczością czysto ludową, w formach zupełnie prymitywnych. Tymczasem tuż obok bogatej literatury polskiej istnieje i rozwija się pokaźna literatura żydowska w języku żydowskim i hebrajskim, literatura, która posiada wszelkie cechy współczesności. Doprawdy warto, ażeby czytelnicy polscy z literaturą tą się zapoznali, zwłaszcza, że wszelka twórczość obca,— nie wyłączając nawet chińskiej — publiczność polską żywo interesuje, a literaci polscy zainteresowaniu temu czynią

stale zadość, zapomocą przyswajania całego szeregu wybitniejszych dzieł. Wyjątkiem była dotychczas literatura żydowska, z której zaledwie trochę nowel, i to nienajlepszych, jest przełożonych na język polski. Twórczości poetyckiej żydów publiczność polska wcale nie zna. Nawet w „Izraelicie", piśmie, które wychodziło w ciągu lat 50, i było poświęcone specjalnie sprawie żydowskiej, znajdujemy nader niewiele przekładów z poezji żydowskiej.

Pragnąc wypełnić tę lukę, przedkładam czytelnikom polskim niniejszą antologję, obejmującą utwory poetyckie niemal wszystkich autorów, piszących po żydowsku (w t. zw. „żargonie"). Dzieła twórców hebrajskich występują tu tylko przypadkowo, gdyż poezja hebrajska musiałaby być przedmiotem specjalnego zbiorku. Również tytułem wyjątku figuruje paru autorów-żydów, pisujących oryginalnie po polsku na tematy żydowskie, jak również kilku poetów żydowskich, tworzących w innych językach.

Czy wybrane przezemnie wzory są najlepsze — nie do mnie sąd należy: gusta są rozmaite, a przytem musiałem się stosować do moich uzdolnień tłumaczeniowych. W każdym razie starałem się wybierać rzeczy, o ile nie najlepsze, to przynajmniej najbardziej charakterystyczne, to jest dające pewien obraz z życia żydów. Utwory treści ogólnej wybrałem bądź w takim wypadku, gdy autor na tle żydowskiem nic nie pisał, bądź wtedy, gdy dane dzieło charakteryzuje umysł żydowski i nosi piętno wybitnie narodowe. Uwzględniłem nietylko poetów pierwszorzędnych; obok pieśniarzy wybitnych, przełożyłem również dzieła piewców pomniejszych, wychodząc z założenia, że tylko większy wybór utworów piór rozmaitych może przedstawić dokładny obraz danej literatury. Tej samej zresztą zasady trzymają się układacze wszelkich antologji.

Przekłady dokonane zostały przeważnie przezemnie samego, przyczem w tłumaczeniu przywiązywałem większą wagę do oddania ducha utworu, niż do niewolniczej ścisłości słów. Uważam bowiem, że jeżeli wogóle tłumaczenie poezji w formie artystycznej osiągnięte bywa najczęściej tylko

przez wolny przekład (lub jak to niemcy dobrze nazywają, „Nachdichtung“), to tembardziej da się to powiedzieć o pieśni żydowskiej, w której autor oryginału maluje częstokroć cały obraz zapomocą jednego słowa, zrozumiałego tylko dla czytelnika żydowskiego; tłumacz musi więc z konieczności uciec się do omówienia lub innego wyrażenia, mniej lub więcej pokrewnego.

Naturalnie, że niniejsza niewielka antologja jest jeszcze niewystarczającą do dokładnego poznania żydowskiej literatury poetyckiej. To też od zainteresowania się czytelników tym przedmiotem zależy podjęcie dalszej pracy w tym kierunku zarówno przezemnie, jak i przez innych. Dla informacji wskazuję jeszcze na dwa tomiki poezji Morrisa Rosenfelda, przełożonych przezemnie i przez p. A. T. oraz na dokonany przezemnie przekład arcydzieła Ch. Bialika p. t. „Powieść po pogromie“ — które te książeczki są oddawna w handlu księgarskim.

Jak czytelnik zobaczy, wystrzegałem się jednostronności: dałem zarówno utwory, które opiewają i malują dodatnio życie i obyczaje żydowskie, jak i te, które je krytykują i chłoszczą. Chciałem bowiem ułatwić publiczności polskiej bezstronny sąd o żydach. Do oddania bowiem żydom sprawiedliwości i do zbliżenia się do nich — trzeba ich przedewszystkiem głębiej poznać...

S. H.

Warszawa, w Styczniu 1917 r.



CH. BIALIK.

MOJA PIEŚŃ.

Nie! Nie od ludzi mój ogień mam,
Anim go w spadku dostał od przodka,—
Jam go z mej skały wykrzesał sam,
Własna ma pierś go wydała wiotka.

W mem sercu—skale tkwi jedna skra,
Skierka maleńka, blada w niem błyska,
Ale nieziemski ogień w niej drga.
Bo z nieziemskiego powstał ogniska.

Żydowskich bólów i cierpień młot
Rozstrzaskał serce moje w kawały,
Lecz ducha za to oskrzydlił lot
I skrę wydobył z sercowej skały.

Ta skra zamienia się w dzwięczny spiew,
Wybucha łuną w chwili natchnienia...
O, czy wy wiecie, że wrzącą krew
Kryją me zimne, spokojne pienia?!

DUMANIE NOCNE.

Wiem dobrze, że płacz mój, płacz sowy wśród głuszy,
Ni ludzi ukoi, ni serc ich nie wzruszy,
Że płacz mój, łez rzewnych wylane potoki,
To niby na puszczy wód słonych obłoki;
Że łzy, co się leją wciąż przez lat tysiące,
Kamiennych serc ludzkich nie zmienią w czujące;
Więc czemuż ma duszo, wciąż szukasz bez skutku
W swym płaczu ukojeń, pociechy w swym smutku?!

Opuszczon, jak palma samotna w pustyni,
Posyłam śpiew rzewny z mej smutku świątyni·
O, Boże, jak zbrzydły mi gorzkie łzy moje,
Ni bunt z nich powstaje, ni burz niepokoje!
Obmierzły mi treny nad wieczną mą raną,
Co ją od lat setek stokroć opłakano,
Czy leków na ból ten Ty nie masz, o Panie,
Czy też nigdy srogi Twój gniew nie ustanie?

Przez okno wychylam swą głowę zciężałą,
Chcąc ujrzeć w ciemności gwiazdeczkę choć małą:
Mój wzrok pytająco spogląda na burze:
Czy kres kiedyś przyjdzie ponurej wichurze?
Czy zcichnie zawieja, rozrzedną się chmury,
Czy księżyc i gwiazdy znów olśnią lazury?
Lecz światła—ni znaku, gdziekolwiek wzrok padnie,
Zadymka i ciemność panują wszechwładnie.

Snać Pan Bóg mnie stworzył dla bólu, rozpaczy,
I mówiąc: „Idź w drogę"! dał kij mi tułaczy.
„Wyjdź, szukaj—rzekł—ludzi prawego wyroku,
Dla płuc kupuj oddech, świt kradnij dla wzroku,
Po domach się tułaj, idź z torbą przez ramię,
Od nizkich pokłonów niech grzbiet ci się łamie!"
Tak siły sterałem w tułaczce tej srodze;
Gdzie kres mym katuszom, gdzie koniec tej drodze?

Jak gałgan na śmietnik jam padł z łona matki,
Brud był mą kąpielą, pieluchą mą—szmatki;
Pierś wyschłą mi dała mać, nędzą znękana:
Z niej w kości me jadu wessała się piana,
I odtąd we wnętrzu mem gnieździ się żmija,
Co gorycz rozlewa i krew mi wypija —
O kędyż się skryję przed żądłem jej wściekłem?
I umrzeć nie mogę, i życie mi piekłem!

Nademną noc ściele swe sine przezrocze,
Ozdobne w gwiazdeczki, brylanty urocze,
I wietrzyk-zefirek łagodną pieśń śpiewa,
Co kwiaty kołysze do snu ściska drzewa,
Co szepcze bajeczki w pieściwej swej wrzawie
O tajni zaświata drzemiącej murawie;
Ten urok, tęn cud, co w przyrodzie się plemi —
To wszystko nie dla mnie, jam niczem na ziemi.

Co noc, gdy natchnienie mą lirą potrąca,
Gdy czuwam i rana ma czuwa ropiąca,
Gdy w serce me sączy się jad wężowiska,
A w oczach wygasłych bezsilna łza błyska,
Ma Muza opiekę roztacza nad raną,
Ból serca mi rosą ukaja świetlaną,
Zastygłych łez skrzydłem ociera mi lice...
O, Muzo, nie takich daj łez mi krynicę!

Łez innych daj urnę, odmiennych łez krużę,
Co serca porusza i wznieca w nich burzę:
Leć, Muzo, na święte leć dla nas pustkowie,
Gdzie obok świątyni śpią nasi ojcowie,
Stań tam na rozstaju dróg męki, niewoli.
Gdzie lud łzy przelewa po tem, co go boli...
Tam zbierz te łzy ciepłe i wlej w moją lutnię,
A ból mój ukoisz, co trapi okrutnie.

JEŻELI PRAGNIESZ.

Jeżeli pragniesz poznać źródła te,
Skąd twoi bracia, starzy męczennicy,
Czerpali siły w długie czarne dnie,
By iść na stosy, mrzeć na szubienicy;
Z pogodnem czołem i jasnem obliczem,
Z uśmiechem ginąć za kochaną rzecz,
By srogie męki były dla nich niczem,
By z Bogiem w ustach mknąć pod kata miecz.

Jeżeli pragniesz poznać święty zdrój,
Z którego głębin wśród mąk i katuszy,
Wiecznie gnębiony brat rodzony twój,
Czerpał odwagę, ukojenie duszy;
Skąd on palony, ćwiczony, smagany,
Jarzmo niewoli umiał z dumą nieść,
I skąd, nie bacząc na bóle, na rany,
Czerpał do męstwa i otuchy treść.

Jeżeli pragniesz poznać łono to,
Na którem naród skłaniał swoją głowę,
Gdzie brzmiały skargi na doznane zło,
Zadane ciosy i krzywdy surowe;
Gdzie żółć wylewał, gdzie zawodził jęki,
Od których piekło drżało, trząsł się głaz,
Gdzie nawet katy, zadające męki
Musiały wstrzymać wymierzony raz.

Jeżeli pragniesz poznać zamek ów,
Gdzie praojcowie skarb ukryli miły,
Testament święty, zwoje bożych słów,
Pojące serce i krzepiące siły.
Jeżeli pragniesz poznać skrytkę ową,
Gdzie się narodu ostał wielki duch,
Bosko natchniony, czysty krzyształowo
Gdzie bodźca dostał wszelki ludu ruch.

Jeżeli starą matkę poznać chcesz,
Co pełna uczuć, tkliwości, kochania,
Na pierś swą boleść niezliczonych rzesz
Przyjęła, łzy ich i jęki i łkania;
Która narodu kierowała kroki,
Do której nędzny, wymęczony syn
Przychodził wyznać ból ciężki, głęboki,
Oskrzydlać myśli i natchnąć swój czyn.

Gdy wszystko poznać to pragnie masz,
Wejdź w dom modlitwy, zwyczajną bóżnicę:
Tam w modłach braci twoich płonie twarz,
Natchnione Bogiem, wniebowzięte lice.
W zimna Siwana, w upały Tamuza,*)
Tam przed Jehową lud wylewa łzy,
Wielkich proroków brzmi tam wieszcza muza,
Tam lepszą przyszłość swą widzi przez mgły.

Tam w cieniu kątów, za piecem, przy ścianie,
Samotne ujrzysz zapomniane kłosy, —
To cień przeszłości, tej która minęła...
Szereg głów widzisz, brzmią zachrypłe głosy;
Tych ludzi pchnęło tu nasze wygnanie:
Studjują tutaj stare, święte dzieła,
Cierpienia swoje chcą pogrześć w Gemarze**)
W legendach starych utopić swą nędzę...

Spójrz na ich karki schylone, na twarze
Świecące ogniem przy zżółkniałej księdze.
Nędzny to obraz dla postronnych ócz,
Lecz jeśli żydem jesteś od spowicia,
Pojmiesz, że jestto dom naszego życia,
Do bytu ludu odnajdziesz w nim klucz.
Jeśli duch Boży nie zgasł w tobie jeszcze,
Jeśli tkwi w tobie uczuć drobny cień.

---

*) Siwan i Tamuz—miesiące żydowskie.

**) Gemarza—Talmud.

Porwie cię zapał i przejdą cię dreszcze,
Bo z ust tych ludzi dźwięczą słowa wieszcze,
Nadzieja mocna, wiara w lepszy dzień.
Gdy skrę żydostwa posiada twe serce,
Musisz czuć, bracie, że w tej drobnej skierce
Tkwi szczęt wielkiego ognia... To węgielki,
Co cudem przeszły do obecnej chwili
Po łunie świętej... Ten znicz wzniosły, wielki
Ojcowie nasi ongi zapalili

Na serc ołtarzu... Ich to łza dowlekła
Poprzez katusze, poprzez męki piekła
Nas do tej chwili... Gorące ich modły
Kazały żyć nam, wzgardzić żywot podły
Życie wśród nędzy, cierpienia i troski
W godzinie wczasu wieść byt szczytny, boski,
Do ksiąg prastarych uciec się opieki
I żyć bez końca, nawieki, nawieki!

PIEŚŃ SIEROCA.

Słyszysz? W głąb lasu słowik zakrada się zcicha
I trwożnie a wstydliwie zaczyna swe pieśnie;
Lecz oto bór ponury szepce mu i wzdycha:
Jeszcze nie czas, zawcześnie, ptaszyno, zawcześnie!

Patrz: nogi nasze grzęzną jeszcze w błocie, glinie,
Nad nami wisi chmura zdrętwiała, zamarła;
Wiatr gniewnie dmie i nad dnie duszy naszej ginie,
Szpetna woda do gardła doszła nam, do gardła.

A las jak zasmucony, niemy nakształt śmierci!
Posępnie marzą drzewa i milczą bez końca;
W serce lasu pręt światła nigdy się nie wwierci,
Las chyba już nie ujrzy ni wiosny, ni słońca.

Na ziemi się tarzają zgniłych liści kupy,
Spiętrzonych tu od wielu lat i siedmioleci,
I wyrwanych z korzeniem drzew prastarych trupy,—
Wszystko tu jest zwalone w jedną stertę śmieci.

Jak głaz grobowy, gnój ten wszelką zieleń gniecie,
Gotując jej mogiłę wieczystą zamłodu:
Bo nim wytryśnie trawa, lub zakwitnie kwiecie,
Wprzód zeschną, zwiędną, zamrą od mroku i chłodu.

Od mrozu podziemnego tam znikną do szczętu,
Obce pieszczotom słońca, całunków słodyczy...
Ach, ileż ich zginęło śród tego odmętu,
Ale ile jeszcze zginie—kto zmierzy, kto zliczy?

Dokoła jęk i zgrzyty: łkają nagie drzewa,
Brwi marszczą głazy leśne, patrząc się złowrogo,
Wśród gałęzi wiatr świszczy i dziką pieśń śpiewa,
Chwasty chwieją się z bólu i ustać nie mogą.

Wicher nuci: pieśń jego posępna i długa,
To szara piosnka życia bez śnień i nadziei,
Ponura, jak dzień dżdżysty, jesienna szaruga,
Jak myśli zbłąkanego wśród śnieżnej zawiei.

A gdy usłyszysz, druhu, drżący głos słowika,
Pierś ci zadrży i w oczach się łzy zamigocą,
To ból ptaszyny biednej w duszę ci przenika,
Bo w śpiewie jej wyczuwasz smętną pieśń sierocą.

COŚ WESOŁEGO.

Z doczesnych uciech nic nie wzięto,
A w raju został pełny dzban,
Czegoż nam braknie? Zróbmy święto
I puśćmy się w siarczysty tan!

Niech lice ogniem się rumieni,
Niech noga żwawe skoki rżnie,
Niech iskry sypią się z kamieni,
Niech mózg zarzewiem płonie w łbie!

Gdzie tylko szczypta żółci skryta,
Gdzie smutek, ból, rozpaczy mrok,
Niech je szał pląsu w sieć swą chwyta,
Niech je wytańczy dziarski skok!

Nie dojedzono, nie dopito,
Nietknięta cała życia treść...
Co tam! Szałowi płacąc myto,
Jak orzeł wzwyż się trzeba wznieść!

Nad morzem cierpień, ran głębokiem
I nad złamanych górą żyć —
Z zamkniętem płyńmy w tańcu okiem,
I niech się stanie, co ma być!

Raz żyje się i raz umiera,
Dość wśród żałobnych szlochać ksiąg,
Niech żyje radość—choć nieszczera,—
Szaleńców skocznych stwórzmy krąg!

Niema dziś ojca, niema matki
Znikł druh i krewny, brat i swat...
Więc na co czekać, lube dziatki?
Dziś braćmi cały ludzki świat!

Niech tańczy stary, tańczy młody,
Niech gra wesoła bucha z lir,
Niech splotą pejsy się i brody,
Niech wszystkich porwie tańca wir.

Niech szał ostygłą krew rozżarza,
Niech się nasz skoczny ciągnie rząd
Hen od szpitala do cmentarza,
Od bóźnic aż po mykwy prąd.

Nie mamy chleba ani chały,
Brak mięsa, ryb dla szerszych kół,
Lecz cóż nam wieczne jęki dały?
Okrążyć w tańcu trzeba stół!

Niechaj się koło kręci szerzej,
Bóg ma głębokie morze łask:
Ten w bożą moc goręcej wierzy,
Kto skroń w uciechy stroi blask.

Z bród, pejsów rzeki potu biegą,
Za gardziel szczęście dusi was.
Nic! pląsać trza do upadłego,
Powtórzcie wszystko jeszcze raz.

Niejeden został smutek stary,
Niejedna troska pali, źre...
Bez zwłoki wyjmcie więc puhary
I żółć zieloną wlejcie w nie.

Bez ust skrzywienia—napój drogi
Wychylcie i bez drżenia rąk,
Niechaj na złość nie znają wrogi
Tych, co wam serce szarpią, mąk.

Kielichy w górę, z ust piosenka,
Dosyć się trapić, smucić dość,

Niech z oburzenia wróg nasz pęka,
    Neich będzie śiawtu to na złość!

O, niema prawdy, niema prawa,
    I łza litości znikła z rzęs...
Cóż z tego? niechaj wre zabawa
    Na co jej cel, i na co sens?

Niechaj cię wzrok nie wstrzyma wrogi,
    Kręć się, mój ludu, śmiej się, pij...
Niechaj zapory zникną z drogi,
    Niech pospadają jarzma z szyj.

Przemoc panuje dziś, zakaty!
    Znikł ślad ostatni wszelkich cnót,
Więc warto oddać wszystkie światy,
    Za jedną chwilę grzechu, złud!

W POLU.

Nie jako ptak-jeniec, który się z pieśnią z matni wymyka
Nie jako lew ujarzmiony, gdy kraty łamie więzienia —
Jak pies, o drodzy, obity, wzgardzony, od prześladowców,
Jam dzisiaj uciekł het w pole, czując swą słabość, bezsilność.

. . . .

Pola, o niwy! Jak cicho!.. Spokój dokoła tu jaki!..
Sam Bóg tu błogosławił bezpieczny kącik żywota.
Widzą tu cisi, jak bujnie kwieci się trudów ich ziarno;
Tu dusza moja iść pragnie... i myśl tu tęsknie się zrywa.

Pójdę, het, w pole, posłucham, co mówi Bóg zpośród zboża,
Co szepcze wiatr, swywowlący po dumnych głowicach kłosów,
Co mruczy strumień rozpędem ze szczytów gór spadający,
Co snuje promień słoneczny i o czem myśli pąkowie.

Pójdę na pola, na błonia i w morzu kłosów utonę—
Zleję się z falą złocistą, jej wolnym ruchem popłynę,
Wsłucham się w lasu milczenie i w tajemniczy szum gajów,
Ucha przychylę do gędźby drzew, cichej a uroczystej.

Do łona ziemi wilgotnej przypadnę, trwarz w niej utulę,
I płacząc łzami gorzkiemi, zapytam się rodzicielki:
Powiedz, o matko-ziemico, szeroka, wielka, bogata,
Czemu mnie piersi umykasz? mnie, parji, ach! łaknącemu?

Cisza dokoła... Za szczyty gór przetoczyło się słońce,
Idę powoli wskroś łanów ocieniających mię kłosów,
Od świata niby odcięty tą ścianą złotą, ruchomą...
Nademną niebo przeczyste... wokoło kłosy i kłosy...

Mgły wiewne tają i cały świat w sieć osnuty pajęczą,
Nikłe ich cienie pełzają po czubach kłosów wilgotnych,
Przygasły złote poświaty. Leciutki wietrzyk porusza
Całą tę falę złocista... i dumną i roześnioną...

Wtem się zerwał wiatr... Uderzył,
Wstrząsnął całą zbóż gromadą—
Wszystkie wraz zadygotały,
Jak strwożonych owiec stado.

Jak lawina z górskich wyżyn,
Którą moc rozpędna stacza,
Uciekały coraz dalej
Od mych tęsknych ócz tułacza.

Kłosy złote! Skąd ten popłoch,
Co was pędzi, goni nagle?
Czemu złoto skier ꝭpiecie
Na ptaszęcych skrzydeł żagle?

Czy tam mknięcie, gdzie obłoki
Dążą, kędy niema cienia?
Tam, gdzie po dniu słońce idzie,
I stęsknionych dusz marzenia?

Pomału jednak wiatr ucichł, rozprostowały się kłosy,
Podniosły czoła pomięte... Uspokoiła się burza...
Lecz inna burza natomiast w duszy się mej rozszalała
I rozdmuchała tlejące iskry w zarzewie ogromne.

Jak nędzarz stoję przed zwartym murem tych kłosów złocistych,
Teraz dopiero przejrzałem, jak wielka nędza jest moja:
Nie moje ręce trudziły się przy was w męce i znoju.
Nie jam kładł w was krew i siły—nie ja też zbierać was będę.

Ni jedna kropla mi potu w tę czarne skiby nie wsiąkła.
Nie moje modły żarliwe dżdżem was od Boga darzyły,
Nie dla mych ócz krasa wasza i pełnych ziaren obfitość,
Nie moja piosenka radosna podczas żniw tutaj zadźwięczy...

Lecz mimo tego jesteście drogie mi, drogie—o pola...
Wasz obraz mi przypomina braci dalekich, w ojczyźnie,
Oni tam hożo pracują—i może właśnie w tej chwili
Pieśń ich rozbrzmiewa odezwem na moje stąd pozdrowienia.



M. BARKAHAN.

MIASTECZKO.

Rzeczka, mostek dwa trzy wozy,
Prom o kilka sterczy staj,
Żydki ciągną za powrozy,
Kmiotek w ślad im woła: daj!

Tuż przy rzeczce miasto leży,
Pod miasteczkiem droga mknie,
Krzyż, przy Męce kwiatek świeży,
Wokól pola, łąki pstre.

Jest i lasek—w tylnym planie,
Z lasku chłopski jedzie wóz,
Kupczyk-żyd rżnie na spotkanie.
Jest przy chłopie w jeden sus.

Jedzie wózek, konik pędzi,
Ogon strzeże go od much;
Chłopek się na słońcu wędzi,
I na workach siedzi zuch.

Żydek gada, prosi, maca
I koniowi zajrzał w pysk,
Ciężka ta handlowa praca
I niewielki daje zysk.

A zdaleka dwaj handlarze
Ten handlowy sławią ruch:
Skarb zarobił na towarze,
Dobry łeb ma, bodaj spuchł!

Taka braci naszej droga,
Tak żyd przędzie życia nić,—
Jesteś kupcem, chwal-że Boga,
Lepiej to niż belfrem być.

M. BASIN.

ZARANIE.

Już leży ostatnia kochanka w spokojnych ramionach zmęczona
Jak gniazdo w potężnych gałęziach, jak pszczoła drzemiąca w swem roju,
Po mieście wędruje milczenie i tuląc swe dzieci do łona,
Kołysze je, nuci im pieśni o wiecznym i niemym spokoju.

Samotnie domostwa się ciągną, jak stare mogilne pomniki,
Ulica, jak ścieżka cmentarna, lub dziecka zmarłego kołyska,
A lampy, jak świece zaduszne, w żałobne stawiają się szyki,
Spuścizną po księgach ciśniętych jest zmokła kartka z śmietniska,

Nie pieska ożywcze szczeknięcie, ni pianie krzepiące koguta.
Ni jedno gwizdnięcie pastucha nie wieści poranka dokoła,
Jedynie cień życia dziennego, jak ciemna, zgłuszona brzmi nuta,
Jak upiór tułaczy i błędny, co zaznać spokoju nie zdoła.

Noc czarna sprzedała swój towar i sklepik swój szczelnie zawarła
Zdaleka kół turkot łomoce od wozu, co dźwiga kamienie,
Dzień z powiek uwolnił źrenice, przyroda powstaje umarła,
A niema tu ptaszka żadnego, co opiałby ranek przez pienie.

L. BERMAN.

BRATNIA MOGIŁA.

Tam, gdzie się kończy drobna mieścina,
Gdzie ruczaj szumi piosenkę swoją,
Stoi mogiła bratnia jedyna,
Piękne ją kwiatki bogato stroją:

Waśnie, niesnaski—te życia posły,
Czół tych, co śpią tam, nie kryją wstydem
Bo śpi tam polak dumny, wyniosły
W czułym uścisku z wgardzonym żydem.

Życie plugawe ich rozdzieliło:
Ludzi, na jednej zrodzonych ziemi,
W grobie im razem jest bardzo miło,
Braćmi się czują tam rodzonemi!





SAUL CZERNICHOWSKI.

PRZED POSĄGIEM APOLLINA.

Przyszedłem dzisiaj do Cię, zapomniany
Boże potężny dni starożytności,
Który pieśniami władniesz ludów młodych,
Wykwitem siły ich świeżej, młodzieńczej!

Boże potężnych pokoleń olbrzymów,
Któryś wywalczył miejsce nieśmiertelne
Dla bohaterskich synów swych o czołach
Dumnie wieńczonych gałęzią wawrzynu —
Któryś podobny sam do bohaterów,
Jeden z dzierżących berło tego świata,
Pan ludów zdrowych i pijanych życiem,
Obcych bolesnym i chorym narodom;
Boże młodzieńczy, urodziwy, świetny,
Wszechwładco słońca i tajemnic życia
Radosnych, pełnych, barwnych i kwitnących,
Co żyjesz w pieśni, w dźwiękach i promieniach —
Do Ciebiem przyszedł dzisiaj.
Czyś mnie poznał?

Żyd jestem. Walka wieczna między nami...
Wszystkie ogromne wody oceanu
Jeszczeby zdolne nie były zapełnić
Otchłannej głębi między mną a Tobą...
I bezdeń niebios i pustyń roztocze
Mniejsze niżeli dal, która oddziela
Twych wielbicieli od wiary mych przodków,
Dziś mnie tu widzisz! Na drodze życiowej
Już niecierpliwym krokiem wyprzedziłem
Wszystkich, co za mną szli i co przedemną,—

I pierwszy dzisiaj do stóp Twoich wracam!
Już mi obmierzły jęki i konanie,
Łamię dziś wszystkie kajdany mej duszy,
Duszy, co kocha i ziemię i życie!
Lud się zestarzał, a wraz z nim Bóg jego —
Siły, tak długo zduszone przemocą,
Ożyły znowu i w świat pragną lotu!
Światło, o światło! drga we mnie nerw każdy;
Życie, o życie! woła każde tętno,
Światło i życie!...
Więc do Ciebie idę —

Boże—i klękam oto u stóp twoich —
Któryś symbolem jest światła i życia!
Pokłon oddaję wszystkiemu, co piękne,
Co jest potężne w tajnikach stworzenia,
Co bohaterskie, wspaniałe i wielkie!
Pokłon tym wszystkim skarbom, zniweczonym,
Przez małych ludzi z trupią, zgniłą duszą.
Zdrajcy! Skarb życia, wzięty z dłoni Boga,
Pana zastępów i pustyń tajemnych,
Pana zdobywców krainy Chanaan,
Związali ciasno pasami thefilim.



D. EDELSZTAT.

PROLETARJUSZ ŻYDOWSKI.

Dźwigamy, bracia, podwójne kajdany:
My niewolnicy, my żydzi...
Antysemici zadają nam rany,
I bogacz nas nienawidzi.

Nas, młode kwiatki, co przyszłość nam każe
Ozdabiać społeczną rolę,
Depczą wypchane worki i mocarze,
Chcą w wieczną wtłoczyć niewolę.

Żebraków czynią z nas i niewolników
I głodu straszą nas zmorą,
Nie znoszą nawet skarg naszych i krzyków,
Gwałt przyjąć musim z pokorą.

Lecz bracia, żywie jeszcze siła duszy,
Co zło zalewa jak fala,
Co burzy kaźnie i kajdany kruszy
I więźniów z fortec wyzwala.

Gdy moc ta rzeknie wyzwolenia słowo,
Narody zadrżą dokoła,
A wówczas ludzkość swą księgę dziejową,
Bez hańby, łez czytać zdoła.

Bracia, cierpiącą wyswobódźmy ziemię
I przemoc pogrzebmy krwawą.
Zwalmy z ludzkości niewolnictwa brzemię.
Do walki stańmy wnet ławą!

Im cięższą walka, tem milszem zwycięstwo,
Tem słodszym owoc wyzwoleń
Kto w boju, bracia, wykaże swe męstwo,
Stanie się chlubą pokoleń.

Na co nam życie bez praw i wolności,
Pod batem srogich tyranów?
Ludu roboczy, rozprostuj swe kości,
Nad losem swym się zastanów.

Przysięgniem święcie, że ziemię skrwawioną
I lud uwolnim z ucisku...
Marsz do szeregu, bojownicze grono,
Ład nowy osiągniem w zysku!





DAWID EINHORN.

ELEGJE ŻYDOWSKIE.

I.

Ból na mnie cięży tysiąca pokoleń,
Piętno męczarni moje czoło źre...
O, luba moja godzinę wyzwoleń
Kto wie, czy ujrzy kiedy oko me?

Nie wiem, co silniej gnie ciało i duszę:
Życie Kaina, czyli Abla zgon?
Bo mnie podwójne Bóg zesłał katusze:
Męki konania, pogoń z wszystkich stron.

Zewsząd mnie krzywda spotyka, zniewaga,
Za grzechy wszystkich mnie ukarał los...
Gdzież dawna wiara, męstwo i odwaga,
By chwalić Boga wiedziony na stos?

II.

Znikąd pociechy, nic przyszłość nie wróży,
Wejdź w cichy kącik i tam próżno śnij:

Nie widać końca tułaczej podróży:
Wieczna jałmużna i żebraczy kij.

Niebo Bóg zamknął, jak dom—pan bogaty,
Duch święty głuchy na nasz jęk i łzy;
Nasz ból jest większy niź rozległe światy,
A jakże drobni wobec nięgo—my.

Świece w świątyni zgasły, zmilkło echo,
Zasnął wierzący, bezpotomnie, dziad...
Ponuro—chyba ma służyć pociechą,
Ze razem z nami wolność traci świat?

III.

Przed Twą ruiną śnię, pełen pokory,
Wierzę, że nowy stać się musi cud...
Cyt... czy nie piszą już tam nowej Tory,
By nowe słońce ujrzał ludzki ród?

O, nie! nie pukaj do obcych podwoł,
Bo własny prorok przestąpi twój próg,
On świat po drodze poprowadzi Twojej,
A ludzkość zadmie w Twój prastary róg.

Czy nie dość, Boże, mych łez, mej rozpaczy,
Niechaj się ziszczą moje piękne sny,
Niech bujnem kwieciem kwitnie kij tułaczy,
Dowiedź, że panem świata jesteś Ty!

DO CÓRY IZRAELA.

(sonety)

Twój wzrok odurza i do płaczu wzrusza,
Twój wzrok podnieca i koi zarazem,
Rodzonej matki jesteś mi obrazem,
Bo ciebie pała ciało me i dusza.

Możesz ostudzić namiętności wrzące,
Zaklęciem—zmysłów wywołać zniszczenie
Lub znów zapalić w piersi mej płomienie;
Całą jaźń moją spopielić jak słońce.

Bo w dwóch niebiosach dusza twa skąpana,
W płomieniach Wschodu i w śniegach Północy:
Raz jak Salome jesteś rozpląsana,
Raz cię znów boleść Magdaleny gniecie,
Spowitaś w krepę, zdobnaś w lilji kwiecie,
A twe oblicze zdradza los sierocy.

II.

Od dni młodości twa postać mnie mami,
Odkąd to latem, w piękną noc piątkową,
Czarowne z ust twych poiło mnie słowo,
Tchnące boskością, z Pieśni nad Pieśniami.

Przed sobą łąkę widziałem zieloną,
Blask rakiet lazur opromieniał siny,
Na łące—ciebie, spowitą w wawrzyny
Dokoła—wróżek pląsających grono.

Jak gołębica z rozpostartem skrzydłem
Jak biała żmijka igrająca w trawie,
Królewska córa z cudownemi oczy,
Raz śnieżno-biała, raz kraśna jaskrawie,
Powabem dla mnie byłaś i mamidłem
I odtąd duch mój za twym ogniem kroczy.

III.

Los cię na siostrę tkliwą obrał, pani!
By z twego wzroku płynęła otucha,
By w niezgłębnionej katuszy otchłani,
Proroczem słowem pokrzepić nam ducha.

Widziałaś ognie gorejących stosów,
Nas do rusztowań wiodłaś i szubienic,

I znów wróciłaś—mimo krwawych losów—
Z matczynem sercem, z parą jasnych źrenic.

Gdy słyszę przeto, jak żelaza dzwonią,
I wodzę wzrokiem po twoich warkoczach,
Po zdjętej smutkiem twojej śniadej twarzy,—
Odległa przeszłość w głowie mi się marzy:
Z zakutą w pęta widzą siebie dłonią,
A po za sobą—ciebie z łzami w oczach.

IV.

Wiara mych ojców mnie nie wychowała,
By twą urodę podziwiać kobiecą;
Widząc twe wdzięki, które zapał niecą,
Z zamkniętem okiem stanąłem jak skała.

Przez długie lata k'tobie mnie wabiło,
W samotni twoje mamiło mnie lice,
Chciałem twą postać bliżej ujrzeć miłą,
Uroczą z ciebie wyssać tajemnicę.

Nagle przedemną rozwarły się wrota,
Stanęłaś w pełni swej krasy i wdzięku,
Boskie przedemną roztaczając raje...
Wnet mą nieśmiałość zabiła tęsknota,
Jąłem przemawiać bez strachu i lęku,
Językiem, którym mówią kwiatów maje.

V.

Szatan mi zmysły zagrzewał do boju,
Napełnił żyły me dzikiemi jady;
Sercowych ogni twarz zdradzała ślady,
Już zaznać szczęścia nie mogłem w spokoju.

Drażniony żądzą, gryziony sumieniem,
Chciałem rymami uśpić sie dźwięcznemi,
Ukoić serce harmonijnem pieniem,
Snem się niebiańskim oderwać od ziemi.

Lecz kształt twój nagle ukoił pokusy,
Wzrok marmurowy zgasił znicz szatana,
Jak zimna rosa, co spływa ze strzechy;
Zmysłowe wszelkie powypłaszał grzechy,
W podziwie kornie ugiąłem kolana,
Pijąc nieziemskie z ust twoich całusy.

VI.

Wonią majowej nocy upojony,
Przed progiem twoim z tęsknicą czekałem,
Ze mną świat cały czatował z zapałem,
Śląc ci na zwiady gwiazd lśniących miljony.

Nagle ktoś podał mi gałąź kwiatową,
Zwiędłe i zeschłe były na niej liście:
—Nie czekaj, wyrzekł, na lubej swej przyjście!
Lecz wziąłem gałąź, lekceważąc słowo.

Wierzyłem w ciebie i w twą moc na świecie,
Wiosenną wonią koiłem wątpienie,
Wierzyłem święcie w umarłych wskrzeszenie...
Wtem... jakieś cuda zaszły tajemnicze:
W blasku gwiazd twoje ujrzałem oblicze:
Zeschnięta gałąź nowe dała kwiecie.

VII.

Gra świateł, cieni w zbożu szczerozłotem
I gra promieni w jasnych wód krzysztale
Li ona mogłaby powiedzieć o tem,
Jak cicho w tobie śnień się toczą fale.

Twój wzrok jaśnieje proroctw tajemnicą;
Zda się Debory oko promieniuje:
Jak wieszcza Mirjam masz świetlane lico,
Gdy usłyszała boskie Alleluje.

Więc gdy cię w sadzie widzę na spacerze,
W tył czarne włosy rzucone bez splotów,

A czoło twoje wzniesione ku górze,
Jako przed Bogiem, klękać chęć mnie bierze,
Ze siebie dla cię uczynić podnóże,
I wierzyć w cuda niebios jestem gotów.

VIII.

Z ziemskiemi—swoje porównaj uroki;
Wznieś dumnie czoło i w świat stąpaj śmiało:
Wysmukła palma powita twe kroki,
Wachlarzem listnym pozdrowi twe ciało.

Poranna jutrznia lśnić się nie odważy,
Gwiazda promiennych blasków nie roztoczy,
Kiedy rumieniec zobaczą twej twarzy,
Gdy blaskiem słońca zaświecą twe oczy.

Kwiaty napoją ust twych cudne rosy,
Twe czoło z śniegiem lśnić będzie w zawody;
Przed twoją piersią marmur się rozkruszy...
Noc czarna w krucze twoje wnijdzie włosy,
Deszcz w brwi twe zleje swe perliste wody,
A cały wszechświat utonie w twej duszy.

LITWA.

Oplotły mnie czarèm swym pola, gdzie smutek się snuje
[po miedzach,
I szepce coś drzewom samotnym i szarym ugorom i rżyskom.
Oplotły mnie czarem bolesnym błękitne, ponure niebiosa,
Co niemo nad ziemią się kłonią, jak matka nad próżną kołyską.

I zmierzchy różowe milczące, co giną, jak chore sieroty,
I noce, co nurzą się niemo w poświacie bladawej, schorzałej,
Poranki, co rodzą się dziwnie, jak uśmiech na ustach przed
[śmiercią
I dnie, co za mgłami slę kryją, jakgdyby się życia lękały.

Potoki, co cicho bełkocą i błądzą wśród wierzb rozsochatych,
I łąki, gdzie kwiaty jak szczęście i kwitną i giną bezwiednie,
I gaje brzozowe pogodne wśród czarnych bezkresnych ugorów,
Jak jasne marzenia o szczęściu wśród życia szarzyzny
[powszedniej.

Oplotła mnie czarem kraina, gdzie słońce za mgłami majaczy,
Gdzie burza nie wyje wśród gromów—li wiatry się wloką z
[niemocą,
Kraina, co tęskni w swym smutku i snuje nadzieje w rozpaczy,
Kraina, co pieśń mą zrodziła—stęsknioną, samotną, sierocą.

PRZED KLASZTOREM.

Wysokie mury i drobne okienka,
Za niemi cichy, stłumiony szept mniszy,
Zmierzchu poświata poczciwa i miękka —
Tu przystań wieczna dla snów i dla ciszy.

Oto płomyki w okienkach zadrgały,
Płyną z nich modły ponad drzew korony,
Przedemną, zda się, mnich w sutannie białej,
Mnich-widmo staje... słyszę głos stłumiony:

Wszystkośmy, wszystko zajęli na świecie,
Każdą ścieżynę, każdą ustroń mamy...
Przyjdziesz ty do nas, jak zbłąkane dziecię,
Tułacz posępny, zapukasz w te bramy.

Gdy już tam stracisz ostatnią ostoję,
Gdy lic twych żaden wzrok nie rozweseli,
Ujrzysz otwarte klasztorne podwoje—
I światło błyśnie w twej samotnej celi.

Nikt już nie przerwie ci tej ciszy świętej—
Drzewa tu tylko wiodą rozhòwory,
Ujrzysz li łany w bezkres rozciągnięte
I błękit nieba, i uśpione bory.

Wszystko zapomnisz... narodu agonję,
Co stliła serce twe w bezsenne noce,
Samotna lilja, więdnąca w wazonie,
Wsiąknie twój smutek i łzy twe sieroce.

FELD.

TAM, GDZIE WYSMUKŁE CEDRY.

Tam, gdzie wysmukłe cedry niebo tną,
Jordanu wody z gór wierzchołków mkną,
Gdzie prochy ojców śpią pod cieniem drzew,
Gdzie Makabeów polała się krew,
Tam gdzie wleczysta wiosna, wieczny maj,
Jest mój cudowny, miły, drogi kraj!

Choć pamięć o nim jest mi tylko snem,
Chociem rozproszon pośród wielu ziem,
Choć mnie niewoli wciąż ogarnia mrok,
Ku Syonowi kieruję swój wzrok,
Choć-by wygnano mnie na świata skraj,
Modlić się będę o ojczysty kraj!

Lecz gdy boleści i rozpaczy syt,
Mam na obczyźnie zakończyć swó! byt,
Zanim do nieba docisnę się wrót!
Połóźcie, proszę, mnie twarzą na Wschód,
Niech w ciemnym grobie poznam, co to raj,
Gdy spojrzę w stronę, gdzie leży mój kraj.

Tam czekać będę wśród podziemnych dróg,
Aż sobie naród swój przypomni Bóg,
Aż się przepełni nasza czara łez,
Aż Pan położy bólom naszym kres,
Aż nas uwolni od ciemięzców zgraj
I nam powróci nasz prastary kraj.



JAKÓB FICHMAN.

NADCHODZI WIECZÓR...

Nadchodzi wieczór... Puszczam pieśni wodze,
Coraz donośniej brzmi jej dźwięczne echo,
Kocham ruń blado-zieloną przy drodze,
Co wciąż mi w smutku bywała pociechą.
Zachodu słońca uwielbiam purpury,
Lubię, jak w górach brzmią mych kroków dźwięki
Ja nie złorzeczę, śpiew mój nieponury.
Samotność tylko bije z mej piosenki.
Wieczór... Czerwieńsze coraz są niebiosa,
Miłuję coraz bardziej piękną ziemię,
Hula wiatr wolny, lśni srebrzystą rosa,
Z nich mego smutku tkałem złote brzemię.
Lecz coraz cięższe brzemię w sercu noszę,
I jestem codzień bogatszy, bogatszy.
Skarby me smutek zwiększa i rozkosze,
A wzrok wciąż łaknie, choć patrzy i patrzy.

3



DAWID FRISZMAN.

DLA MESJASZA.

Stoi kuźnia nad Jordanem;
W kuźni kował nocą, ranem
Stoi przy robocie.
Ogień nieci, miechem dmie.
Foch-foch! foch-foch! w miechy dmie —
W szczęściu i ochocie.

Na kowadle się płomieni,
Wije, ciągnie, ogniem mieni,
Gorè stali płyta.
Huczy, kując, ciężki młot:
Huk, huk! huk-huk! kuje młot—
Stal się gnie i zgrzyta.

Kuj, kowalu! Niechaj błyśnie,
Niechaj tysiąc iskier tryśnie,
Snopem się rozpali!
Już z pod młota bryzga skra:
Błysk-blask! błysk-blask! Skrzy się skra!—
Brzm! śród iskier fali.

Hej, co kujesz tam kowalu?
„Z najlepszego tnę metalu,
W znoju tu pracuję:
Dla Mesjasza konia tnę,
Hejdod, hejdod, z stali tnę—
Dlań podkówki kuję!“

II.

Stoi tkalnia nad Jordanem;
Tkacz nad tkalnią nocą, ranem
Stoi przy robocie.
Snuje pasmo, toczy wał:
Wir-wir! wir-wir! kręci wał—
W szczęściu i ochocie.

Zwija z krosien przędzy zwoje,
Cienkich nici strzępi roje,
Przez płochy przeciąga.
Przeszło raz w raz nogą tknie:
Tup-tup! tup-tup! nogą tknie—
Nić do nici ściąga.

Ledwie dojrzysz—w szumie, huku
Mknie czółenko, jak grot z łuku,
Żwawe toczy pędy.
Hyżo tu i hyżo tam:
Szust-szast! Szust-szast! sam i tam—
! nie widzieć kędy.

Hej! Co, tkaczu, tkasz wzorowy?
„Z najpiękniejszej tkam osnowy,
W znoju tu pracuję:
Dla Mesjasza szaty tkam,
Hejdod, hejdod pilnie tkam,
Świetną przędzę snuję!“

III.

Siedzi hafciarz nad Jordanem:
Przy krosienkach nocą, ranem
Siedzi przy robocie.
Igła haftu znaczy szlak:
Ścieg-ścieg, ścieg-ścieg! snuje szlak—
W szczęściu i ochocie.

Liczy ściegi, oczka zbiera,
Na krosienkach rozpościera
Wstęgi koronkowe,
Jedwab, złoto srebrną nić:
Ca-ca! ca-ca! srebrną nić—
Blaski lśnią tęczowe.

Haft kneplówy z aplikacją,
Łańcuszkowy z punktuacją,
Ciągły, urywany—
Wszystko w kanwy wplata szmat,
Sztych-sztych! sztych-sztych! w kanwy szmat,
Cudnie przetykany.

Hej, hafciarzu! Co za znaki?
—„Najpiękniejsze szyję szlaki,
W znoju tu pracuję:
Dla Mesjasza sztandar-cud,
Dlań desenie snuję!"

IV.

Hen—w niebiańskich stref roztoczy
Sześć aniołów lot ochoczy
Wznosi. Zdjęci troską,
U stóp tronu Pana wkrąg,
Heidod! heidod! stają wkrąg
Ufni w łaskę Boską

Wszystko piękno, czystość całą
Jasność, świetność, moc wspaniałą
Cudów w niebios świecie—
Wszystko rączo zbiorą wraz,
Heidod! Heidod! zbiorą wraz
I wolności kwiecie.

Wszystką litość dla cierpienia
I potężne swieże tchnienia
Ducha moc hartowną—
Wszystko w jeden stopią twór,
Heidod! heidod! w jeden twór.
Siłą swą cudowną.

Hej! Co czynisz, straży gromów?
—„Z wyborowych tu atomów
W trosce wciąż tworzymy:
Dla Mesjasza żywość tchu,
Heidod! heidod! żywość tchu—
Duszę dlań tworzymy.

„Leci—o biada, biada z nami!..
Już gotowi są z trudami
Wszyscy—kończą zwawi.
I jedynie tylko nam,
Biada! biada! tylko nam
Pan nie błogosławi...

Snać nie dosyć niezliczonych
Wszech atomów zespolonych
Dla tej duszy lotów:
Niestosownie wypadł zbiór,
Biada! biada! mylny zbiór
Górnych nieb klejnotów!

Nie dość piękna i czystości,
Nie dość świetnej tej jasności—

Płonny trud nasz święty...
Ach, zbyt jeszcze-ż słaby jęk
Biada! biada! bólu jęk—
Ciche-ż zbyt lamenty?!...

. . . .

. . . .

Płaczą, płaczą aniolowie...
Wtórem łzawym jęk odpowie—
Kędyś, hen! w przestwory!...
A Mesjasza duszy wciąż,
Biada! biada! żywej wciąż
Niema do tej pory!...

MÓJ MEŁAMED I JEGO KOZA.

Poświęca się „popieraczom" piśmiennictwa żydowskiego w różnych językach.

Niechaj zabrzmi oda wierszem a nie prozą
Na cześć mełameda mego z jego kozą.
Był niegdyś mełamed, zwany rabbi Icze,
Raczej nad-mełamed, jakby orzekł Nitzsche;
Człek mądry, uczony, godny stu piramid,
Odziany nie w łachman, lecz w atłas, aksamit.
A miał kozę dzielną, kozę niepowszednią,
Kozę żwawą z włosem gładkim, siercią przednią;
Kozę ładną, miłą, kozę nad kozami.
Która swoją krasą stado kozłów mami;
Co umiała skakać, pląsać, hopsać gracko,
Beczyć be-me, me-be— słowem kozę-cacko.
A chuda i cienka była także przytem,
Więc się wyróżniała małym apetytem,
Doić zaś się dała, ile kto zapragnie,
Pokorna, spokojna, jak niewinne jagnię;
Potulna, skromniutka, dobrze wychowana,

Lecz trza dalej śpiewać ku chwale jej pana.
Pan ją bardzo kochał, jak nikogo w świecie,
Pieścił ją i głaskał, niby własne dziecię.
Kochał platoniczne, jako owoc rajski,
W szacie różnej: polskiej, żydowskiej, hebrajskiej...
A że serce miał on jak król nie konował,
Więc ją lubił, kochał, hołubił, miłował;
Od rana do nocy ciągle o niej gadał,
Nad każdziutką skazką jej płakał i biadał,
Lub się oblizywał i mlaskał językiem,
Jakgdyby pił szampan, istny Szato-Ikem...
O jednem przepomniał wśród miłosnej wrzawy:
Nie dał jej otrębów, ni siana, ni trawy,
Ani kropli wody, by zwilżyć krew, kości—
Za to wciąż jej prawił o wiecznej miłości;
Miłował ją we dnie, miłował ją w nocy,
Tylko o jej doli nie myślał sierocej.
A biedne bydlątko było coraz chudsze,
Zamiast mięsa—kości, ze szczerbami w futrze...

A czy wiecie, jak się z kózeczką skończyło?
Raz w piękny poranek, albo w nockę miłą
Kochający rebe poszedł do obory,
By, jak zwykle, wyznać jej swoje amory,
Lecz strasznie się przeląkł i zdziwił niemało,
Widząc swojej kózki—wyciągnięte ciało.
Wiecie co sie stało? Łamcie ręce obie!
Tak pieszczona kózka nagle... zdechła sobie.
Ordynarnie zdechła ta nikczemna koza,
Niech na cześć jej pana brzmią rymy i proza:
On jej dalej złożył swej miłości piętno,
Kazał jej pośmiertną mowę elokwentną
Wyrżnąć takim, którzy rżną podobne mówki,
Nie dostając również ni grosza gotówki.
Za to on i inni tacy „miłośnicy"
Łzy ronili w domu, w knajpie, na ulicy,

Dymem się pachnącym zaciągając z fajki...

. . . .

Morał sami snujcie z tej niewinnej bajki.

SZEŚĆ.

(Dramat w czterech aktach.)

Siedzi dziewczę przy okienku,
Pierś miłością drży:
Sześć kędziorów ma na czole,
Z każdej strony trzy.

Mknąc ulicą przeszedł młodzian,
Pełen wrzącej krwi:
Ma sześć włosów w czarnych wąsach
Z każdej strony trzy.

Młodzian czule się umizga,
Głos mu tkliwie brzmi:
Sześć całusów śle panience,
Z każdej strony trzy.

Wtem wszedł papa i młodzieńca
Wyrzuca za drzwi,
Daje mu sześć razy w buzię:
Z każdej strony trzy.





SZYMON FRUG.

PIEWCA CMENTARNY.

Złe chwile miały niejedne narody,
Ich piewcy łkali, lecz zdala przed niemi
Migała zorza wyśnionej swobody,
Skra wyzwolenia dla ojczystej ziemi.

Ale, mój ludu, prożno w świata wirze
Szukam p zykładu dla twych łez, twej męki,
Szukam poety, na którego lirze
Znalazłby oddźwięk twój ból, twe udręki.

Ot piewca nuci śmiałą pieśń bojową,
Drugi rolnika sławi trud ofiarny,
A ja pochodnię trzymam pogrzebową,
I szpadel cmentarny.

Kop bez wytchnienia, kop i kop mogiły,
Bez jęku w piersi, bez łez u powieki,
Grzeb płonne mary, wymęczone siły,—
Grzeb, grzeb na wieki.

A noc bez świtu, bez końca niewola,
Płacz, płacz, gdy tamten gnębi i spotwarza...
O, jak jest straszna, jak męcząca dola
Poety—grabarza.

WEZWANIE.

Jam poznał ciebie, gdym dziecięce roił sny,
Gdym prządł nadziei nić czarownie i wspaniale,
Gdy jeszcze oczom mym nieznane były łzy,
Gdy cierpień dusza ma nie znała jeszcze wcale.
I tyś zjawiła się w jaśnieniu srebrnozłotem,
Spowita wieńcem róż i szatą jedwabistą,
Wieczornych skrzących się w lazurze gwiazdek splotem,—
Gołąbką z jasnych nieb, anielską i przeczystą.
I rzekłaś wówczas mi w natchnionym swym rozgwarze:
—O, spójrz, jak cudny las, jak cicho drzemią niwy,
Jak po zakrętach ich z wietrzykiem lekkim w parze
Wieczorny, złocąc się, mknie ognik migotliwy.
O, spójrz—strumyka plusk, dalekich echo gór,
Pieściwy promień gwiazd, woń świeża róż w przestrzeni,
Jakby zlewają się w niebiański jeden chór
Promieni, barw i brzmień, tchów lekkich i odcieni.
O, spójrz, jak cicho wkrąg i jasno niepomiernie,
Jak wszystko splata się w harmonje, w zgodne pary;
Posłano cię w ten świat, abyś kochając wiernie,
Żyjących w świecie tym miłości uczył, wiary.

Tyś lutnię dała mi... Odwagą żywą tchnące
Palce drgających strun dotknęły zamaszyście,
I rozległ się ich grzmot, i dźwięki czarujące
Strumieniem wartkim z nich runęły potoczyście.
Jam potem wzywał cię, gdy w drżącej piersi mojej
Burzliwe ze snu w lot zbudziły się zapały,

Nadciągły chmurnych dum, złowieszczych uczuć roje,
Gdy jadem duszę mą zwątpienia opryskały.
I tyś zjawiła się spokojna, ale blada:
Zastygły krople łez w źrenichach zadumanych,
Owiała cisza cię, lecz wzrok twój lśnił jak szpada
I igrał złoty blask po rysach twych świetlanych.
Wtem głowę k'piersi mej schyliwszy do połowy,
Z miłością rzekłaś mi, słodyczą i pociechą:
„Przejasnym oby był twój odtąd szlak życiowy,
Śnij kochaj, marz i wierz i znajdź u innych echo!"
Jam chciwie słowa twe, jak tchnienie chwytał świeże,
I nowa struna wnet na lutni się zjawiła,
Wnet o miłości pieśń zabrzmiała oraz wierze
I przepotężna w niej ukryta była siła.
Jam wzywał ciebie, gdy w szeregach bojowników
Za miłość, prawdy blask chorągiew wzniósłszy świętą,
Stargałem siły swe pod wrogów ciężką piętą,
Gdy nędznych zbirów tłum wśród dzikich pień i ryków
Postrącał wszystko w kał i niszczył z całą mocą,
Co w ciągu wielu lat o szczęściu mi prawiło.
I oto zjawiasz się... płomienne skry migocą.
Niewinne czoło twe, co wonią tchnęło miłą
Owija z cierni wian... Krew sączy się ze skroni,
Lecz z oczu iskrzy się tajemna jakaś siła...
Wtem długi smutny wzrok utkwiwszy w niebios toni,
Tyś smętnym głosem swym proroczo przemówiła:
—Czy widzisz tu tę krew?... O, bądź nieustraszony,
Niech ona, jak i mnie, nie gniewa cię, nie złości...
Ufając w prawdy świt i znosząc ból szalony,
Cierpienia innych ucz i mężnej cierpliwości.

I w chórze wieszczych strun wtem jeszcze jednej struny
Dźwiek głuchy rozległ się, przeciągły i hjobowy,
Niby objętej snem plusk fali srebrnorunej,
Niby ostatni stęk w piosence pogrzebowej...

Już wiele dni i lat zmieniło się w kolei:
Mej duszy wielki ból, co dotąd uśmierzała
Czarowna, dziwna moc miłości i nadziei,
Cierpliwość szorstko dziś dławiła wiecznotrwała.
Lecz boleść wznawia się... Nawałą wrąc ulewną,
Z dna chorej duszy mknie obłokiem ciemno-szarym...
I teraz znowu cię z tęsknotą wzywam rzewną
W rozpaczy modląc się z nieustającym żarem.
O, zjaw się ku mnie, zjaw! Już sił mi zbrakło wcale,
Rozdarły serce me nienawiść, wstręt niewoli;
Jam wierny tobie był: kochałem szczerze, stale,
Śmiech odpowiedzą był na miłość mą atoli.
Wierzyłem, lecz że wkrąg tak gęsty mrok był jeszcze,
Ginęło wszystko to, co święte i przeczyste,
Na mą zbolałą skroń okrutnych przekleństw deszcze
Polały zewsząd się... Zawiodłem się zaiste!
W tęsknocie ciężkiej jam wsze struny poprzebierał,
Na lutni, którą-ś mi wręczyła czarująco,—
I struna rwała się za struną, i zamierał
Ostatni całkiem dźwięk pod ręką mą drgającą...
O, teraz zjaw mi się! z płonącym w sercu zniczem,
W cierniowym wieńcu swym i z ostrem ócz żelazem;
O, przybądź teraz znów i bądź mi drogowskazem!
O, przybądź, wielka ma, bez ciebie jestem niczem!

UNIEŚCIE MĄ DUSZĘ.

Duszę moją unieście w błękitną tę dal,
Gdzie rozłożył się stęp bujny, złoty,
Przeogromny, jak wieczny mój smutek i żal,
Jako brzemię mej cierpkiej zgryzoty.

Tam mą wiarę gorącą i jasne me sny
I me dawne obudzę nadzieje
Tam po stepie rozkosznym gorące me łzy
Wielką falą pienistą rozleję.

A gdy dźwięczniej w strun metał uderzę—wnet z kruż
Zapomniane wyleją się dźwięki,
Po olbrzymim się stepie rozlegną—wszerz, wzdłuż
Moje bóle, tęsknoty i męki.

Duszę moją unieście w błękitną tę dal,
Gdzie rozłożył się step bujny, złoty,
Przeogromny, jak wieczny mój smutek i żal,
Jako brzemię mej cierpkiej zgryzoty.

ZMARTWYCHWSTANIE.

W błękitnym, wieczornym namiocie nieba,
Daleko gwiazda wieczorna lśni,
A niebo czyste bez jednej chmurki,
W bezruchu wszechświat cały śni.

Dokoła cicho tak, spokojnie,
Tobie tylko, dzieciątko me, źle...
Obcy tobie spokój, odpocznienie,
A noc ślepa, głucha w czarnej mgle.

Gwiazdy twojej nie czują tęsknoty,
Jasne owe, lecz zimne jak stal,
Jeno w mroku błyszczą oczy sowie
I nietoperz lęci w ciemną dal...

A na starym śpiewa gdzieś cmentarzu
Ptak bezsenny, skryty w grobów cieśń,
W deszczu treli, dźwięcząca jak srebro,
Płynie słodka, czarująca pieśń.

I ptak śpiewa: „O wy, stare groby!
Niosę wam radosną, świętą wieść,
Wam, co trwacie w strasznym śnie, głębokim,
W noc, co jarzmem dusze, zda się gnieść.

Wiedzcie! Wzejdzie kiedyś jasna jutrznia,
Swojem światłem, czystem niby łza,
Mroczne wasze rozświetli rojenia,
Grób ogrzeje, co w martwocie trwa...

Mesjasz idzie już, niedługo przyjdzie,
Wybawiciel—który zbudzi was,
Do nowego was obudzi życia
I odwali śmierci ciężki głaz"!

Ptaku głupi! Pieśń twoja kłamana
Dawno ją, o bardzo dawno znam,
„Mesjasz idzie, już niedługo przyjdzie".
Zadaleko on od naszych bram!

Ci co zmarli mogą długo czekać!
Ale naród nasz—to żywy trup!
Cały naród napół obumarły
Więzi go wygnania wielki grób!

Własną mocą i gorącą wiarą
Z głębokiego się obudzi snu
I sięć nocy zerwie dłońmi swemi,
Sieć utkaną z czarnych mroków lnu.

Bowiem naród nasz stary i chory,
Musi sam grobowy zwalić głaz,
Sam o własnych siłach niech się wyrwie
Z grobów swych, albowiem żyć mu czas.

Niechaj rośnie siłą swą i mocą,
Jak na wiosnę żyzną młody gaj
I niech pójdzie sam, o własnych siłach,
Tam, gdzie własny jego dom i kraj...

I dopiero wtedy Mesjasz przyjdzie,
W traw dywany, w kwiatów kraśny rój,

Przyoblecze wszystkie nasze groby
Jak w odświętny, uroczysty strój.

I na niebie jutrznia się uśmiechnie,
Zejdzie w cień udręki naszej czas,
I ujrzymy, jako w srebrnem świetle
Stanie cały świat dokoła nas.

LEGENDY WSCHODU.

Pamiętną mi wszechnicy sień,—
Tam czystej wiedzy promień złoty,
Niby słoneczny świecąc dzień,
Pchnął duszę mą w nadziemskie loty.
Ale jest stokroć droższą mi
Pamięć dziecinnych przeszłych dni,
Młodości znikł tęczowy sen.
Lecz często zjawi się przedemną
Szereg wesołych, szkolnych scen:
Klasa z tablicą w rogu ciemną,
A nauczyciel—gołąb siwy —
Pomnę, przy małym siedzi stole,
W oczach mu zapał drga prawdziwy,
Jasną zadumę ma na czole,
A twarz rozbłyska smutna, blada,
Gdy świętej księgi baśnie, dziwy
Przeciągłym głosem opowiada...

* * *

Młodości ma,—straconyś raj!
Twe słońce raz nam tylko świeci,
Zgodnym wianuszkiem, siądźcie, dzieci,
O, lutnio, dźwięcznie przeszłość graj!
Opowiem bajkę.

Święty kraj

Od niebywałej cierpiał suszy,
Nie dawał cienia liść spalony;
Złotawą główką kłos nie ruszy,
Nie szumią zaschłe drzew korony,
Niwę—jesieni plon bogaty—
Słońce zmieniło w szkielet nagi,
Wyschły strumienie, zwiędły kwiaty...
Naród nieszczęsny—bez odwagi,
Gdy opuściła go nadzieja,
Tłumnym potokiem szedł do chaty
Świętego rabbi—czarodzieja:
„O, mężu prawy, pomóż nam
I do niebiańskich módl się bram,
By Bóg odmienił ciągły gniew
I zesłał deszcz na zeschły siew!“

* * *

Z pobliskich na najwyższą z gór
Wstępuje z ludem rabbi święty,
Mknie w niebo psalmów zgodny chór,
Kadzideł dym wodnemi skręty
W modrej przezroczy gdzieś przepada...
I płyną modły uroczyste,
Niosąc przed Boga jęk i ból,
Lecz jasna dal, lecz niebo—czyste
I upragniona dżdżu kaskada
Spalonych nie ożywia pól!...

* * *

I słońce wciąż ziemię piecze i pali,
Lecz któż tam wychodzi z mglistej oddali?
W skromnem odzieniu wędrowiec ubogi
Spocząć chce—pewno z dalekiej jest drogi,

W górę wzniósł ręce, kij rzucił na stronę,
I płyną modły proste a natchnione,
„Bóg, co wichrami kieruje na ziemi!"
Wnet wicher huczy skrzydły potężnemi.
„Bóg, który z różnych zgromadza stron chmury!"
Nagle ściemniały przezrocze lazury.
„Bóg, który ziemię łaknącą nasyca,
Od dzieci swych nędzę odwraca i głód!"
Po chmurach wije się wąż—błyskawica.
W oczach narodu wypełnia się cud:
Na góry, na lasy, na łan szeroki
Z obłoków płyną ożywcze potoki,
Dziekczynnym hymnem rozśpiewał się lud...

* * *

I pyta gościa rabin stary:
„Ktoś zacz? Być może jasno czyta
Twój wzrok w tajnikach świętej wiary,
W księdze, co dla nas grzesznych skryta,
W niej często w jednym tkwi wyrazie
Siła, co zgęszcza chmur fiolety?
A może mówię do ascety?
Alboś prorokiem i w ekstazie
Coś rzekł przed chwilą nie pamiętasz?

„Nie, rabbi... patrz, ot elementarz,
Jam nauczyciel prosty szkolny."
„Ale dla czegoż jest powolny
Rozkazom twoim żywioł wszelki?"
„Nie wiem... Ja staram się kropelki
Mądrości, która wiecznie świeci,
Przelewać w serca małych dzieci.
I codzień szczerze błogosławię
Tego, co chlebem nas obdziela,
Co żyć pozwala nam łaskawie,
Świata—wielkiego stwórzyciela..."

4

SKRZYPCE.

Dzień dobry, panowie, jam muzyk bez skaz:
Mam skrzypce i w grze wprawną rękę.
Hej, dziatki-struneczki, poruszcie się wraz,
Cyt... baczność! zaśpiewam piosenkę.

Sulamit, co mężem Srul-grajek jej był,
Pomyślnie dziś zległa, szczęść Boże!
Powiła mu syna—daj Panie jej sił
I dziecko błogosław to hoże.

Wijają i niańczą go żona i mąż,
Kołyszą, śpiewając do chrypki,
A malec kochany powiększa się wciąż,
Hej, żwawo zagrajcie me skrzypki.

Grajeczek kołyskę opuścił nawpół,
Szczebioce i chodzi pomału,
Już mknie do chederu—„uczęszcza do szkół",
Graj skrzypko, graj pełna zapału.

Już kuje a.b.c. w biblijnych brnie mgłach,
Do nauki pała jak łuna,
Już skończył trzynastkę, wiek ducha,*) wtem—trach!
Co stało się? Pękła mu struna.

Dzień idzie za dniem i za rokiem mknie rok,
Liczniejsze minęło lat grono,
Poważny uczynił on w życiu swem krok:
Zaręczył się—ma narzeczoną!

A ot jest po ślubie—żoneczkę już ma,
Kochają się młodzi, szczęśliwi,
Wnet został i ojcem, lecz skrzypka wciąż gra,
Teść jeszcze bezpłatnie go żywi.

---

*) Z ukończeniem lat trzynastu zaczyna się dla żyda dojrzałość religijna.

Wikt jednak darmowy zakończył się—ach!
On walki o byt stał się sługą,
Nastroić chce skrzypce, urwało się, trach!
Pękniętą już ma strunę drugą.

Ma córkę „do wzięcia“ wysmukłą jak słup,
A drugą już też—bez uroku:
Konkury, wesele—a długi po czub,
Bez złota nie zrobisz ni kroku.

Znów mija lat kilka—a starość już mknie,
Kłopoty od nocy do rana;
Po strunach żywota smyk rżnie wciąż i rżnie.
A już struna trzecia stargana.

Li jedna została—tak ciągnie do nut,
Nasz muzyk grać pragnie gorąco.
Do skrzypiec się bierze, daremny jest trud,
Zapóźno—melodje się mącą.

Skrzypeczki skowyczą i jęczą jak w łzach;
Nie idzie z nich nic—do pioruna!
Struneczka się ciągnie i ciągnie, wtem trach!
Ostatnia podarła się struna.

Na ziemi bez strun leżą skrzypki,—bez sił,
Jak człowiek co serce mu pęka,
Któż wie, że są skrzypce, że grajek z nich żył?
Skończona bezmyślna piosenka!

NAGROBEK.

(Wiersz napisany po pogromie w Kiszyniowie.)

Ofiary drogie, czyste, święte
Za naszą wolność, za nasz byt...
Wróg jeszcze bije, rąbie, siecze,
„Zwycięstwa“ jeszcze nie jest syt.

Kat jeszcze swoich rąk nie obmył
Z krwi naszych synów, naszych cór:
Wciąż wiszą jeszcze zamki stare
I stoi jeszcze stary mur.

Nie możem dziś was opłakiwać:
Powietrze nienawiścią tchnie,
Pierś dyszy gniewem, buntem, zemstą,
A burza mknie i rwie i zwie.

Nam czasu brak na łzy, szlochania,
Na żale, skargi, jęk i zgrzyt...
Ofiary czyste, jasne, święte
Za naszą wolność, za nasz byt...

Uderza bęben, grzmią szofary,
Sztandary wieją z wszystkich stron:
Dopiero bój się rozpoczyna,
Lecz bój na życie i na zgon.

Ale wśród burzy dzikich gromów
I pośród wrzasku wrażych zgraj,
Wam ciche śle „El mole rachmim“*)
Dziś cały naród, cały kraj.

DAWNIEJ A DZISIAJ.

Krymki i pantofle z pończochy długiemi,
Pejsy zawijane aż po lica spód,
Długie łapserdaki, sięgające ziemi,
Morze niestrzyżonych, rozczochranych bród,

Czapki sobolowe, jarmułki, „letniki“
Przy kapocie lśniący atłasowy pas...
Gdzie się podział czas ów barbarzyński, dziki,
Głupi, lecz kochany starodawny czas?!

---

*) Modlitwa za umarłych.

Dziś żydzi we frakach z białą kamizelką
Galopują dziarsko wśród błyszczących sal,
Żydówka w brylantach jest dziś panią wielką,
Codzień raut i piknik, fajwoklok i bal.

Wszystko delikatne, subtelne, kształcone,
Gdzie spojrzeć—medali i dyplomów las...
Gdzie są dawne czasy nazawsze minione,
Głupi, barbarzyński, lecz kochany czas?

Gdzie są dawni męże i dawne kobiety,
Gdzie jest serc żydowskich bogobojny wdzięk,
O, gdzie jest skąpany w rzewnej łzie obfitej.
Z głębin serca mknący, nasz żydowski stęk?

Gdzie druh-brat zwyczajny szczery, starodawny,
Bez ukłonów kłamnych i fałszywych kras?
Gdzie się podział głupi, dziki, niezabawny,
Lecz miły, kochany bezpowrotny czas?

POGROM.

Krwi strumienie, łez potoki,
Pożar niszczy wzdłuż i wszerz:
Znów ktoś dzikie, krwawe hasła
Pośród ciemnych rzucił rzesz.
Matki jęczą, ojce płaczą,
Dzieci krzyczą, starce drżą,
Na ulicach leżą trupy,
Ziemia ich zroszona krwią.
Bracia żydzi! miejcie litość,
Głos męczonych mknie do nieb:
Dajcie zmarłym na całuny,
Ofiarujcie żywym chleb.

Chociaż trudno współczuć zdala.
Gdy się tych nie widzi mąk,

Łatwo zgadnąć ból i rozpacz
Ofiar nędznych, dzikich rąk.
Z setek serc jęk jeden płynie,
Jeden ogień z setki chat,
Cały naród jest sierotą,
Gdy ktoś za cześć jego padł.
Bracia-żydzi! miejcie litość,
Głos męczonych mknie do nieb,
Dajcie zmarłym na całuny,
Ofiarujcie żywym chleb.

Krwi strumienie, łez potoki...
Pełen zgliszczy wielki gród,
W okna strach zagląda, trwoga,
Trza ratować, koić głód,
Słaba nasza ręka w boju,
Jej się nasz nie lęka wróg,
Niechże czułe serce nasze
Śle pociechę pośród trwóg.
Bracia-żydzi! miejcie litość,
Głos męczonych mknie do nieb,
Dajcie zmarłym na całuny,
Ofiarujcie żywym chleb.

TE DEUM.

Dzięki ci, Panie, wszechmogący Boże,
Że nie ukryłeś mnie pod skrzydła swoje,
Gdy mnie ciemięzców otoczyły roje...
Żem nie utopił ich krzywdy w pokorze.

I za to, Panie wielki, chwalę Ciebie,
Że mknąc po krajach w niewolę z niewoli,
Jam niewolnikiem nie był swojej doli...
Za męki ziemskie nie chcę nagród w niebie.

Chcę z dumnem czołem iść po życia drodze
I wrogom swoim oświadczyć mam męstwo.
Że nie wybaczę, iż mi ślą przekleństwo
I że mnie krzywdzą niewinnie a srodze.

Dzięki Ci za to, że jam tęsknić w stanie
Za życiem pełnem szczęścia i wolności...
Za gniew mój, w którym bunt namiętny gości,
Dzięki ci, Boże, wszechmogący Panie!

PIASEK I GWIAZDY.

Księżyc i gwiazdy, powiew wiosny świeży,
Noc piękna śpiewa swoją pieśń bez słów,
Prastara księga na stole mym leży.
Po raz tysięczny czytam dziś ją znów.

Czytam i myślą we wspomnieniach grzebię,
Głos Boga słyszę, co brzmiał dawno już:
—Mój ludu, będziesz, jak gwiazdy na niebie
I jako piasek nad brzegami mórz!

O, Panie, starzy medrcy nas uczyli,
Ze ściśle pojąć trzeba słowa twe:
W należnem miejscu i właściwej chwili
Każde ze słów twych musi spełnić się.

O, tak! zasady tej życie nie plami,
Potwierdza świetnie ją obecny czas:
Jak z piaskiem każdy, co chce, robi z nami.
Bezkarnje wszyscy nogą depcą nas.

Tak, jako piasek nędzny, jak kamienie,
Nas pośród wszystkich rozproszyłeś ziem,
Lecz gdzie gwiazd niebnych złociste płomienie,
Czem do gwiazd, Panie, podobniśmy, czem?!

KIELICH.

„Powiedz mateńko, zaliż to prawda —
Iż przed boskimi tam... trony
W niebie—jak dziadus, siwy powiadał—
Jest kielich wielki... złocony?
„Ileż to razy podłość wysmaga
Ludzka—te biedne rzesze tułacze —
Bozia łzę w kielich gorzką uroni
I nad ich dolą zapłacze...
„A gdy się łzami po same brzegi
Wypełni kielich złocony—
Zejdzie na ziemię,
Ów w pieśniach śniony
I upragniony
Przez cały lud cierpiący,
Mesjasz—mateńko? .."
—„O tak ty moja dziecino,
Prawda—kochanie!“
Smucąc się matka odpowie,—
A dziecko główkę podpiera
Wątłą rączyną
I chwilę duma,—poczem pytanie
Zadaje nowe. „Powiedz, mateńko,
Szczebiocze dziecię—czy się uzbiera
Kiedyś w kielichu łez tyle,
By szedł ten Mesjasz drogi na ziemię,
Zanim będziemy wszyscy w mogile?"
„...A może kielich bezdenny?"
I niknie z lica uśmiech promienny—
I myśli dziecię, patrzy matce w oczy,
Zali się dusza jej nie rozmroczy?
I smutno dziecinie...
Błysnęła łezka, jak perła,
W matczynych rzęsach,
Potem na czoło opadnie...

...Czy dziecię myśli jej zgadnie?

. . . .

Przyjmij, kielichu, coś w niebie,
i tę łzę ludzką do siebie...

TRZY KSIĘGI.

I.

Pieśń nad pieśniami.

Ach śpiewaj: Zapala się zorza wieczorna,
Zefirów skrzydełka chłód niosą,
I zdrzemnął się kraj gileadzki i marzy
Mgłą siną spowity i rosą.

Jedynie na szczycie Karmelu skalistym
Różowe promienie się kładą,
Górzystą drożynką pastuchy spóźnione
Już pędzą ostatnie swe stado..

Ach, gdzieś ty, mój luby? gdzie namiot twój biały?
I kędyż trwa droga daleka?
Gdzie pasiesz twe stado? i gdzie odpoczywasz,
Gdy słońce w południe dopieka?

Czyś głos mój dosłyszał? Czy widzisz namiętność,
Co czarnem wystrzela mi okiem...
Ach! długo szukałam mojego kochanka,
Gdy ziemia spowiła się mrokiem.

Ach! długo szukałam i n am go nakoniec!..
Wzrok jego mnie pali, zachwyca,
On lewą swą rękę pod głowę mi złożył,
A prawą tak pieści me lica!

Sklepieniem nad nami splatają się cedry,
Zamknęły nas mirty ścianami,
A trawy wilgotne i róże sarońskie
Rozsłały się łożem pod nami.

*
* *

Przecudne obrazy!.. Tę pieśń nieśmiertelną
Salomon—król tworzy na tronie;
A jasny poranek promieńmi wesela
Na czole mu igra i płonie....

Młodzieniec w koronie po lirze swej szybko
Białemi przebiega palcami,
I pieśń z aromatów i z ogniów—miłosna
Dźwięcznemi się leje falami...

II.

PRZYSŁOWIA.

Już lira miłosna, kwiatami spowita,
W dalekim gdzieś kącie spoczywa;
Pod chmurną, poważną milczenia pieczęcią,
Już słodka się pieśń nie odzywa...

Poranek ustąpił upałom południa,
I oto z ust k óla surowo
Wylewa się potok kipiący—płomienny;
To „przysłów" potężne mknie słowo.

Gryzącą satyrą biczuje swawolę
Rozkoszą, wygodą pomiata,
I pracę wytrwałą, w swej wielkiej mądrości,
Osadza na tronie wszechświata.

Tak, praca wytrwała, robota wesoła
W porannej różowej godzinie,
A cichy spoczynek i ciepła modlitwa,
Gdy zmierzch wraz z wieczorem nadpłynie.

Pić wodę jordańską z trzeźwego kielicha,
Zjeść małą garść ziaren suszonych,
Pokrzepić się we śnie marzeniem niewinnem
Oddychać śród lasów zielonych!...

„Stroń, synu, od uczty pijanej, szalonej,
Od dzikiej namiętnej swawoli;
I nigdy nie zawierz objęciom kobiecym,
Bo one to uczą niewoli!...

Ach, nie wierz słodkiemu ogniowi rozkoszy,
W nim siła nazawsze przepada;
Na łzy i na smutek ponury się zmienia
Wesołość, i śmiech, i biesiada...

Tak, słodko—zapomnieć, lecz prędko się skończą
Minuty rozkosznych twych złudzeń...
Sen pierzchnie za chwilę i radość twą przerwie
Okropna godzina przebudzeń.

Więc przeklnij hulanki pijane, szalone,
I stroń od namiętnej swawoli,
Nie rzucaj się nigdy w objęcia kobiece,
Bo one to uczą niewoli!..“

*
* *

Z królewskiej wyżyny śniącego Libanu,
Ze wzgórz Efraimu zielonych,
Zstępuje bogini poznania, mądrości,
I spieszy do komnat złoconych.

Jej głowa potężna, laurami spowita,
Jaśnieje w wieczności koronie...
Południe swe złote promienie rzuciło
Na czoło twe, o Salomonie!

Mąż wielki w koronie nad księgą sie schyla
A z ust jego głośno, surowo,
Słów potok się leje, jak rzeka kipiąca:
To „przysłów“ wspaniałe mknie słowo...

III.

EKKLEZYJASTA.

Na zachód schyliło się słońce czerwone;
I zmierzch wieczorowy, ponury,
Cichutko się przekradł przez okna pałacu
I cieniem swym okrył marmury.

Spójrz, tam pod kolumną On siedzi... Na plecy
Kędziory mu srebrne spadają,
A myśli głębokie, a myśli pochmurne
W przygasłych mu oczach błyskają..

„Poznałem już wszystko, co serce przynęca,—
Tak szepce on z gorzką tęsknicą,—
Zrywałem najlepsze rozkoszy owoce
Zuchwałą i silną prawicą.

Potęga i rozkosz i tłumy służalcze
I władza, co światy zagarnia,—
Ach wszystko to marność, o! marność bez celu,
Dla ducha chorego męczarnia...

Tajemnej mogiły granice tak wązkie
I sen tam i ciemność na wieki.
Jak żebrak spać będę pod pysznym grobowcem
Ja, niegdyś od smutków daleki...

I lata przeminą, i pomnik zapadły
Mą wielkość zagrzebie ruiną...
I echa mej sławy w pamięci potomków
Powoli na zawsze zaginą..

Używaj więc swojej młodości, młodzieńcze,
W zbytkownych rozkoszach miłości,
Śród gwarów i śmiechów pijanej biesiady
I w wirze szalonej radości!...

To lata—sekundy, jak wicher, przebiegną;
Czas wszystko, co przeszło, zagarnia;
Ach, wszystko to marność, o! marność bez celu,
Dla ducha chorego męczarnia!"

* * *

I zaszło już słońce za góry chermońskie,
Co szczyty swe wzniosły w półkole...
I wieczór legł cieniem na czole królewskiem,
Na bladem, zmarszczonem już czole.

Król-starzec w koronie nad księgą się schyla
Pochmurną i siwą swą głową,—
I złote marzenia szczęśliwej przeszłości
W pamięci odtwarza na nowo...

FATA MORGANA.

Nie tam, gdzie nieba strop, palącym dysząc znojem,
W powietrze leje żar i wskroś tęsknotą tchnie,
I gdzie czerwony step piasczystem łonem swojem
W bezbrzeżną tonąc dal, w ponurym drzemie śnie;
Nie tam, gdzie z braku wód znużona karawana
Leniwy wlecze krok, brnąc w piasku po kolana,
Gdzie smagły stepów syn, Beduin z chmurnym wzrokiem,
Swój zaostrzony słuch wytęża nadaremnie,
I chwyta każdy dźwięk, i tęskni potajemnie,
Śród tych zamarłych stron, pod niebem tem szerokiem,
Nie tam, lecz tutaj, tu, gdzie zorza taka blada,
I gdzie w wilgotną mgłę blask słońca tęsknie wpada,
Tu śród północnych stref, ja marzę... ileż razy
Powietrzny szereg widm i światła i obrazy!...

* * *

Żegnajcie wszyscy wy, współbiesiadnicy mili,
Wy, coście ze mną wraz za głośną sławę pili!
Od moich dawnych snów uciekam w szlak surowy;
Ja innych kwiatów chcę, ja zorzy szukam nowej,
I inna sława dziś błysnęła mi w oddali
W tajemnej czarów mgle... Nie szczękiem groźnej stali,
Nie ślepych mocą sił, nie krwią, co bucha z łona,—
O, sława ta nie tem zdobyta i kupiona:
Z tablicą mądrych praw, z cudowną pieśnią wieszcza,
Przed cichy kroczy tłum i tam się zjawia ona,
I wróżbą wielkich dzieł zdziwiony słuch upieszcza,
I wszystkich podłych dróg klnąc ciemność i zawiłość,
Zwiastuje prawdy blask, wszechwolność i wszechmiłość!
Na głowie wieniec ma, nie z mogił smętnych szyków
Zebrane kwiaty w nim— i tron jej nie ruina:
Ma ona zastęp sług, lecz nie ma niewolników,
Modlitwę zna bez łez, wesołość zna bez wina.
Nie gwarna uczta jej—lecz za to wolna droga
Prowadzi przed jej stół. I nie pytają tam:
„Gdzie jest ojczyzna twa? W jakiego wierzysz Boga?
Za kogoś wznosił miecz, czyś ty podobny nam?!..!“
„Przybądźcie wszyscy tu, przybądźcie prawem gości:
Ktokolwiek zrobił coś dla prawdy, dla miłości,
Kto walczyć z mrokiem, z złem, szedł śmiało na bezdroże;
Kto kroplę szczęścia wlał w ludzkiego bólu morze!“
I oto idą już... od wschodu, od zachodu,
Z południa pysznych pól, z północnych idą śniegów...
Ach, słyszę brata głos—jak zabrzmiał śród szeregów.

. . . .

. . . .

* *

Wiem, niestety

Że to jest tylko sen, dziwaczny sen poety,
Co może nigdy, ach, nie wcieli się w tym bycie,
A ja zeń, Boże mój, me całe czerpię życie!

Gdy śmierć i zło i mrok ze wszystkich pełzną stron,
Ten sen użycza sił i wiarą moją—on
Jak cherubina blask lśni śród cmentarnej głuszy,
Tak lśni mi wiara ta, o Panie moich losów!
Więc nie daj zniknąc jej ze smutnych mych niebiosów,
Nie dozwól zgasnąć jej w zbolałej mojej duszy!

OPOWIEŚCI DZIADUNIA.

Coś smutnego czytasz, dziadku,
W książce starej i zniszczonej,
Bo spływają łzy obficie
Po twej twarzy pomarszczonej.

Ale rzuć te smutne myśli,
Porzuć książkę smutnej treści,
Opowiadaj nam wesołe
Bajki, baśnie, opowieści.

„Nie znam, dziatki, żadnej baśni,
Ludzie inni wiele znają,
Czczą te baśnie jak świątynię,
I swą prawdą nazywają.

Ja wam lepiej to opowiem,
Co prastare głosi dzieło,
Książka zmięta zniszczona:
„Wiele lat już upłynęło.

Gdy dziadkowie wasi starzy,
Jeszcze czytać się uczyli,
Dziećmi byli maleńkiemi
I w ojcowskim domu żyli.

Dobrze dzieciom w domu było
Pod ojcowskiem czujnem okiem,

Na rodzimych polach, niwach,
Na przestworzu, na szerokiem,

Ale myśmy byli skorzy
Do niesnasek każdej chwili
I w sąsiedzkich grząskich błotach
Bardzo często się brudzili.

I rozgniewał się nasz ojciec,
Kazał tułać się po świecie:
Z sąsiadami, rzekł on, żyjcie
Jeśli do nich tak ciągniecie".

I poszliśmy na tułaczkę
Coraz dalej, coraz dalej,
Nie lubili nas sąsiedzi
I okropnie traktowali.

Ten, by duszę nam znieprawić,
Skarby nam przekładał duże,
I choć naszej chciał zagłady
Bywał wilkiem—w owczej skórze.

Ów nas krajać, spalić kazał
Z okrucieństwem najstraszniejszem,
Dla zbawienia w życiu przyszłym,
I dla męki w teraźniejszem.

Byli ludzie tam jak żmije,
Jak kamienie, jak zwierzęta:
Każda chwila się stawała
Wśród nich ciężka i przeklęta."

—Ależ, dziadku, przecież długo
Trwać nie mogło takie życie?
„Długo, długo, moje dzieci,
Ale czemuż się dziwicie?

To, co było—jest i teraz
I, być może, zawsze będzie,

Bo zwierzęciu ciągle ciasno
Z tem co ludzkie, w jednym rzędzie.

Źle nam było, źle nam będzie,
Silne wciąż nas tłuką pięście,
Lecz zła dola jest nam drogą,
Bo w niedoli—nasze szczęście.

Posłuchajcie: burza wyje,
Morze huczy, aż przestrasza
Szerokie, jak nasza wiara,
Głębokie, jak boleść nasza.

Pieniąc, kłębią się bałwany,
Te symbole naszej męki:
Fale te—to są łzy nasze,
Burza ta—to nasze jęki,

Wody w morzu tym wzbierają
Z każdym dniem, każdą godziną
A z powrotem w ciągu wieków
Fale pieniąc się wciąź płyną.

Ale za to pò odpływie,
Gdy wstępują w brzegi fale,
Pięknym drogim podarunkiem
Obdarzają nas wspaniale.

Gdzie przed chwilą się widziało
Łzy, cierpienią i zgryzoty,
Teraz, wzrok nasz napawając,
Cenne, drogie lśnią klejnoty.

Szafirami, rubinami
Nie są drogie te kamienie,
I nie służą cla strojnisiów
Jako ciała upiększenie.

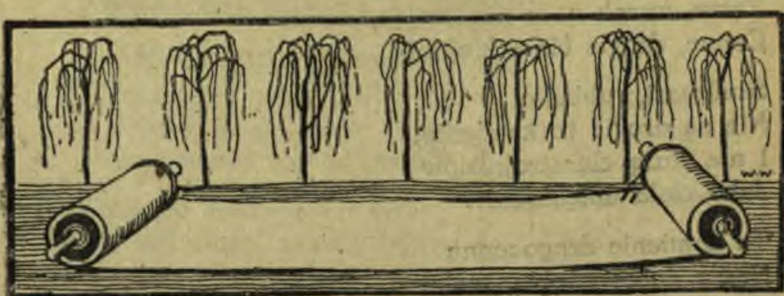
Te kamienie drcgocenne
Naszą duszę zdobią, piekszą,

By szlak życia oświecała
Swą jasnością jeszcze większą.

To jest, dziatki, wiara nasza,
Wiara twarda, jako kamień,
Wiara, która lśni jak słońce,
Jasnym blaskiem bez omamień.

Ze spokojem i bez strachu
Znosim wrogów ciężkie pięście,
Bo w nieszczęściu nasza wiara,
A w tej wierze—nasze szczęście."

Tak dziadunio bardzo często
Opowiada smutne dzieje,
Opowiada, płacze rzewnie
I przez łzy się cicho śmieje.



DWÓCH CHASYDÓW.

(Na nutę „Dwóch grenadjerów")

Dwóch dzielnych chasydów do Kocka coś mami:
Na Kuczki chcą iść do cadyka:
Jak święty ich rebe rozmawia z duchami
Usłyszeć—ich żądza przenika.

Wtem słyszą po drodze wieść smutną, straszliwą,
Aż biedni zadrżeli ze zgrozy:
Za jakąś praktykę nabożną, czy dziwo
Cadyka zabrano do kozy.

Strapiła chasydów ta wieść niewesoła,
Aż skóra im cierpnie na grzbiecie:
—O, biada mi, bracie,—z nich jeden zawoła:
Od tego mnie nagła śmierć zmiecie.

I drugi ma oczy łzą smutku zroszone,
Lecz nie chce snać umrzeć za młodu:
—Śmierć dla cię nietrudna,—ja dzieci mam, żonę
Te zdechną bezemnie tu z głodu.

—O, cóż nas obchodzi i żona i dzieci,
Skierujmy nasz wzrok do obłoków,
Niech sobie zdychają, jak psy, w kupie śmieci,
Nasz rabbi, nasz rabbi śród oków.

Mam prośbę do ciebie: w ostatniej minucie,
Gdy snem już wieczystym zadrzemię,
Pochowaj mnie, bracie, na kockim kirkucie,
Bo w Kocką ja pragnę wnijść ziemię.

I tałes sobotni z srebrzystym wyłogiem,
Z szerokiem rzemieniem naczółki,
I szofar, dzban wódki—u raju przed progiem
Bym trąbić mógł z rebem do współki.

Spokojnie zachranię tak pośród mogiły
Wiecznego mi snu nic nie skłóci,
Aż kiedyś usłyszę cadyka głos miły,
Gdy w szabas mi zmires*) zanuci

Wtem rebe podepcze na grobie mym liście
To śmierć mi wnet życiem upiększy:
Wychylę kruź wódki—zatrąbię siarczyście
I hejnał wypuszcze największy.

*) Zmires—śpiewki sobotnie.



MICHAŁ GORDON.

MÓJ TESTAMENT.

Mam wkrótce umrzeć, moje dziecię,
I w lepsze życie wybrać się,
Więc nim na tamtym będę świecie,
Wysłuchaj szczerze słowa me.

Jam ci zasady wpajał zdrowe,
Przez cały życia mego czas:
Masz czułe serce, mądrą głowę,
Więc słowa me nie pójdą w las.

Lecz skreślić muszę w testamencie
Słów kilka, nim mi zbraknie tchu:
Gdy skończysz dzienne swe zajęcie
Wczytuj się w to, co piszę tu.

Gdy urodzony jesteś żydem
Bądź nim do końca twoich dni,
To imię z czcią noś, nie ze wstydem,
Bo ono w dziejach chwałą lśni.

Choćbyś w najwyższej był godności,
W żydostwie trwaj wśród obcych rzesz,
Są ludzie pełni dla nas złości,
To dzicy głupcy, wierz mi, wierz.

Bo nazwa „żyd“ jest naszą sławą,
Mimo, że nedzny jest nasz los,
Broniliśmy jej walką krwawą,
Mknąc pod katowski miecz, na stos.

Wogóle ludzkość, świat nasz cały
Ma prawo wieść swobodny byt:
Bogacz i nędzarz, wielki, mały,
Mocny chrześcijanin, słaby żyd.

Więc nie gardź, dziecię me, nędzarzem,
Choć Bóg go dotknął dolą złą,
Nie korz przed możnych się ołtarzem,
Bo wszyscy ludzie równi są.

Na robotników biedne tłumy,
Co noszą wodę, rąbią drwa,
Nie miewaj spojrzeń, pełnych dumy,
Bo nie jest hańbą praca cna.

Dla głupców nawet nie miej wzgardy,
Bo gdy jest dziki ten i ów,
To przeto, że ma łeb zbyt twardy,
Trzeba im rozum lać do głów.

Nieszczęsnych wspieraj wciąż usłużnie
Twych zysków dzieląc z nimi plon,
I nie śmiej pytać przy jałmużnie
Biednego, jakiej wiary on.

Nawet tatara, czy cygana
Datkiem i dobrem słowem krzep:
I on na obraz stworzon Pana,
Podaj mu wodę, sól i chleb.

Niech pycha mózgu ci nie zaćmi,
Byś, będąc żydem, pojąć mógł,
Że wszyscy ludzie są nam braćmi,
Bo wszystkich stworzył jeden Bóg.

Tak ojciec twój, przed zwarciem powiek,
Pojmuje cnót życiowych szczyt:
Niech będzie z ciebie zacny człowiek,
Lecz i zarazem dobry żyd!

A. GRAFMAN.

BUDOWA RUIN.

Niejeden wzniosłem gmach okazały, —
Być budowniczym kazał mi los,
Lecz się szalone wichry zerwały
I zamieniły je w ruin stos.

Dziś na tułaczce jestem na nowo,
Pustynią stał się rodzimy gmach,
Huragan wyje smutno, grobowo,
W ręku kij trzymam, wędrując w łzach.

Lecz będę ciągle wznosił pałace,
Mimo wiatr silny i ciemną noc,
Bo tem chcę moją uwiecznić pracę,
Że ruin po niej zostanie moc.





JEHUDA HALEWI.

Wiek XII.

PIEŚNI MORSKIE.

I

Niepomny domu, ojczyzny kochanej,
Śmiało po tafli puściłem się fal;
Napowrót nieście mnie, żwawe bałwany,
Na łono matki, hen w odległą dal!

Wietrze zachodni, uwolnij mnie z sieci,
Popchnij mą łódkę na ojczysty brzeg,
Na skrzydłach orlich serce me tam leci,
Niech nie mniej szybki będzie i twój bieg.

Pośpiesz się, wietrze, w tem szlachetnem dziele,
I wnet się cofnij od mych drogich ziem,
By się od ciebie nowi przyjaciele
Moi o szczęściu dowiedzieli mem.

II.

Morze się gniewa i marszczy i zżyma,
Wije się, drgając, jak zatruty wąż,
Nagle wściekłemi spogląda oczyma,
Zakołysało się i warczy wciąż.

Morze skowycze, i warczy i wyje,
Otwiera paszczę, pełną białych pian.
Otchłań wyłania fale-lwy i żmije
Co w dziki, krwawy puszczają się tan.

Oto dolina rozwarła się nagle..
To znowu góra wyskoczyła z fal...
Maszty się chylą, powiewają żagle,
Ty, serce moje, twarde bądź jak stal.

Bo wszechmocnego Boga masz na niebie
Morze rozcina jego wielka dłoń,
On do ojczyzny poprowadzi ciebie,
Po przez przepaści, przez wzburzoną toń.

III.

Na niebie księżyc świeci piękny, szczytny,
W dali jak djament lśni zwierciadło wód,
W opończy swojej sino-aksamitnej
Noc przyszła, niosąc ukojenia cud.

To nie noc wcale, to Saba-królowa,
Złocisty na niej połyskuje strój,
Oddycha cicho jej pierś marmurowa,
Spowita w złoto i rubinów rój.

Jak owce z trzody rozbiegły się fale,
Osobno każda drga w leciutkim śnie,
Drży srebrne morze i gwiazdy-opale,
Gdzie morze, niebo, gdzie bałwany, gdzie?

Dwa morza—nocy skołysało brzemię,
Śpią jak dwaj bracia jednej matki krew;
Jest jednak trzecie morze, co nie drzemie: —
Me serce—nowy powstaje w niem śpiew!

PŁACZ, SYONIE! *)

(Tren żałobny na dzień zburzenia świątyni, 9 Aba)
(Urywek z „Kinnoth").

O, płacz, Syonie chlubo narodu,
Jako niewiasta w bólach porodu
I jako dziewa po oblubieńcu,
Co stracił życie w weselnym wieńcu.

Świątynia nasza do cna zburzona,
Pośród kapłanów świętego grona;
Wróg barbarzyński w bluźnierczym szale
Dziś ją plugawi, szydząc zuchwale.

Anielskim śpiewem kohen, lewita
W cudownym chramie Boga nie wita,
Nie płyną modły ich ku wyżynie—
Krew braci naszych tam tylko płynie.

Muzyczne wszelkie znikło narzędzie,
Więc wszędzie niemo i głucho wszędzie,
Nie zwiedza więcej świętego grodu
Synedrjon—poczet mędrców narodu.

Dym ofiar wonny wzwyż się nie słupi,
Pierworodnego nikt nie wykupi,
Samotny stoi ołtarz skalany,
Bo pierzchła rzesza i jej kapłany.

Płaczą królewskie Dawida dzieci,
Korona złota na nich nie świeci;
Złamane, smutne z żałobą w duszy,
Ich widok chyba i kamień wzruszy.

---

*) Wiersz tén przypisywany przez niektórych Jehudzie Halewiemu dajemy według wolnego przekładu żydowskiego dokonanego przez L. Kestina.

Cześć nasza z drogich uciekła zgliszczy,
Odkąd wróg niecny pustoszy, niszczy,
Odkąd nas wszystkich przystraja społem—
Miast szat odświętnych—worek z popiołem.

I świętobliwi nazarejczycy
Leżą, jak zdechłe psy na ulicy;
Dzieciom, na oczach u matki—wdowy,
Wróg o kamienie roztrzaskał głowy.

Po tej ohydzie—nieprzyjaciele
Z niedoli naszej czynią wesele:
Zniszczywszy wszystko ogniem i stalą,
Ucztują, tańczą i w bębny walą.

Być wielkie grzechy nasze musiały,
Bo zniknął Syon i naród cały,
Z wielkiego państwa dzisiaj ni znaku,
Lud jak w żałobnym idzie orszaku.

Ruiną stał się gród nasz uroczy,
Czarna śmierć po nim złowrogo kroczy,
Bluźnierca, dysząc złością przeklętą,
Burzy, bezcześci każdą rzecz świętą.

O ciężko nam jest w tej smutnej porze,
Lecz i Twe imię skalano, Boże!
Czy niedość kara Twoja nas boli?
Kres racz położyć naszej niedoli.





J. HEFTMAN.

ZŁODZIEJKA.

Niebo ponure... Łzy rzewne mu płyną,
Morze się gniewa, falą miotą siną...
Cóż tu się stało?
Kradzież, okropną kradzież popełniono,
Olbrzymią, nie małą!
Dal, nieskończona dal morska zginęła,
A niebu skradziono
Calutki błękit, ten szczyt arcydzieła...
Nie dziw, że niebo spowiło się w chmury.
A morze wszczęło wielki krzyk ponury.

Ale się kradzież na szczęście wykryła,
Mórz błękit w oczach masz ty, moja miła!
Szelmo-dziewczyno!
Skąd się do ciebie wzięły takie oczy?
Djablo podobne do morskiej przezroczy,
Tak są głębokie, tak w tajną dal płyną!
To nie twa własność,
Ich lazur, jasność
Dalibóg, droga, skradzione, skradzione...

Śmiejesz się, mrugasz, lice masz czerwone?...
Boisz się wyznać, co zdradza twój śmiech?
Zbądź trwogi, dziewczę, nie dostaniesz pałek,
Niebo tak duże, że ściągnąć kawałek,
Dalibóg, nie jest taki ciężki grzech.

Ha, pięknie, ładnie! złodziejką-ś została,
Lecz nową kradzież wykryłem dziś, mała!
Tak, to rzecz pewna,
Słuchaj: zostałem i ja okradziony,
Przytaczam fakt ci, nie żadną rzecz mylną,
Poprostu serce porwano mi całe,
A w zbrodni czuję tej—rączki twe białe,
A żem nie jest z drewna
Proszę cię, dla mnie być nieco przychylną...

Na inne zbrodnie twe spuśćmy zasłony:
Kradzież u nieba nic mnie nie obchodzi,
Niech morze warczy, że je okradł złodziej...
Lecz ja bezwzględnie karzę przeniewiercę:
Więc oddaj coś mi skradła—moje serce.





MENACHEM HURWICZ.

MOJA GWIAZDECZKA.

Niebo gwiazd miljonem świeci,
Strop od świateł tych się roi,
Lecz ze wszystkich gwiazdek, dzieci!
Jedna duszę moją poi.
Mniej od wszystkich innych błyska
Ta gwiazdeczka moja mała,
Lecz mi tak jest swojska, bliska,
Pierś ma ku niej żarem pała.
Bez niej ból mi serce gniecie...
Na największych gwiazd plejady
Nie zamienię nigdy w świecie
Tej gwiazdeczki mojej bladej...

Dużo krajów świat ma cały,
Ale kocham tylko jeden:
Ten kraj przodków moich chwały
Dla mnie jest jak raj, jak Eden.

Gwiazdka ma blask nędzny zsyła
Wśród promiennych nieb kobierca,
Dla mnie ona jednak miła,
Bo w głębinie tkwi mi serca.
Ze wszech krain—ideałem
Dla mnie świętej ziemi postać,
Tyle ich przewędrowałem,
Że we własnej pragnę zostać.



CZAS SERCE ME OBDZIERA...

Czas serce me obdziera ze świetlistych zórz,
I wnet myśli jak dzikie gołębie napędza,
Co szyję wyciągają pod rzeźniczy nóż:
Tak roi mi się nasza ruina i nędza.
Lecz białe te gołębie w czarną postać wcielę,
Przeistoczę je w kruki,—dość już cierpieć, dość!
Nie pozna nikt tych ptaków, spalę je, spopielę
Na ogniu, który wznieca nienawiść i złość.

ŚMIERĆ KAZIMIERZA WIELKIEGO

(fragment z poematu „Esterka".)

I.

I właśnie w owo mgliste zaranie,
Kiedy Esterkę zdjął strach i ból,
Król Kaźmierz jedzie na polowanie,
Do lasu obok Opoczna pół.
Tu droga wiedzie w dolinę tę.
Gdzie lube dziewczę król poznał swe.

Królewski orszak drzemie głęboko,
Lecz króla widzeń nawiedza rój;
Świetlany sen mu rozjaśnia oko!
Król spiesznie namiot opuszcza swój,
Na konia wsiada, w dolinę mknie,
Gdzie poznał dziewczę kochane swe.

Cień nocy ciemnej ledwie się chowa,
Dolina w gęstych spoczywa mgłach,
Hen gdzieś się śmieje lub płacze sowa,

Króla zdejmuje drżenie i strach:
Pomyślał: duchy są pewnie złe
W miejscu, gdzie dziewczę pokochał swe.

Gdy król się zbliżał do modrej rzeki.
Wnet stanął dęba królewski koń;
Już luby domek był niedaleki,
Wtem król ze siodła spadł niemal w toń,
Zemdlał i życia zakończył dnie
W miejscu, gdzie dziewczę pokochał swe.

II.

Narodu idą gęste kolumny,
Rzucają w mogiłę wzrok,
Mknie orszak szlachty mocnej i dumnej,
Ludu też kroczy wiele u trumny,
Pogrzeb sprawiono mu świetny, szumny,
I suną z powrotem krok.

Z powrotem kroczy orszak żałobny,
Spowity w smutek jest lud;
Grób taki śliczny, strojny, ozdobny,
Wkrótce i pomnik stanie nadgrobny,
Lecz lud samotny tak, tak osobny,
Sierocy owiał go chłód.

Gdzie duch królewski przeszedł po ziemi,
Zdjął wszystkich żal i ból.
Lud cały płacze łzami rzewnemi,
On dobro czynił dłońmi własnemi,
Chłopi bez niego bezbronni, niemi,
Umarł im ojciec, nie król.

Wszystkich przejęła żałość gorąca,
Lecz pocieszyli się wnet,
Esterka tylko łkała bez końca;

Dla niej ostatni zgasł promień słońca,
Umarł narodu jej cny obrońca,
Kto dziś go zbawi od bied?

Żal ziemię polską całą pożera,
Umarł tak drogi jej mąż;
Esterka stale w okno spoziera,
Ze łzą w dal patrzy, gdzie górna sfera,
Sroga dla kraju nastała era,
Lecz ona widzi go wciąż.





SZ. IMBER.

HATIKWO.

Nie straciliśmy nadziei,
Choć zły los nie drzemie,
Że ujrzymy kraj ojczysty,
Naszą świętą ziemię.

Póki tęskność w sercu gości
Wiecznego narodu,
Póki z marą o przyszłości
Rwie się on do Wschodu.

Póki zbożnie mkną pielgrzymi,
Do ojczyzny miłej,
By się modlić u pomników
Naszej sławy, siły.

I dopóki u świątyni,
Co dziś jest ruiną,
Brzmią westchnienia siwych starców,
Łzy młodzieńców płyną.

Póki w niemilknącym szumie,
Jordan wody toczy,
Póki żyd o Syon błaga,
Ledwie przetrze oczy.

Póki o ojczyźnie drogiej
Żyd piosenkę nuci,
Można wierzyć, że Wszechmocny,
Wolność nam powróci.

Pamiętajmy o nakazie,
Co dał wódz nam stary:
Póki jeden żyd pozostał,
Nie postradać wiary!

Nie straciliśmy nadziei,
Choć zły los nie drzemie,
Że ujrzymy kraj ojczysty,
Naszą świętą ziemię.



ELJASZ IZGÓR.

WIELKIE I MAŁE.

Nędzna rdza często zgryza stal potężną,
A mały robak niszczy wielki dąb.
Góra przed kroplą wód jest niedołężną,
Przed pianą morską pada skały zrąb.

Skra wielkie gmachy w ruinę obraca
I spustoszenie srogie szerzy wkrąg,
Gmachy, co wzniosła długa ludzka praca,
Co setki mózgów dźwignęły i rąk.

Lecz choć rdza silna, nie chcę siły takiej,
Wolę być słabym, lecz twardym jak stal,
Nie chcę gryźć dębów, jak nędzne robaki.
Nie chcę być drobną kroplą morskich fal.

Pragnę być wielki, jak słońce, jak skały,
Jak zamki, owoc ludzkich prac i chlub;
Duszę mą wielki porywa, nie mały,
Choć mały wielkich często strąca w grób.

GHETTO.

Uliczki ciasne i tonące w błocie,
Niskie chałupki; sprzęty: stół i łóżko;
Szyby wybite, zapchane poduszką,
Kominy krzywe, jak pazury kocie.

Kramy sprzedają łojówki i śledzie,
Tasiemki, mydło, cytryny i masło;
Handlarz byt w nędzy i rozpaczy wiedzie,
Ma kark schylony, źrenicę wygasłą.

Dziateczki mają duże głowy wodne,
Rączki i nóżki cieńkie, jak patyczki,
Zsiniałe wargi, oczy skrzące, głodne,
Wąskie piersiątka i wyschłe języczki.

Rzężą serduszka i płoną oczęta,
Kaszlą i duszą się biedne ptaszęta;
Wciąż gniazdko rzuca nowy gość maleńki;
Dziecięce mnożą się grobki-trumienki...



JEHOASZ.

RÓWNOŚĆ SODOMSKA.

Jak nam powiada stara legenda,
Co po spleśniałych księgach się szwęda,
Sodoma słynna z swej gościnności
Tak przyjmowała przybyłych gości,
Co z obcych krajów przywędrowali,
By w pięknym grodzie mieszkać najstalej.
Wykwitna była dla nich gospoda
(Kronikarz każdy adres wam poda)
A w niej żelazne wciąż stało łóżko,
Jak się należy: z kołdrą, poduszką;
Łóżko ni duże, ni małe było,
W sam raz—spać było w niej bardzo miło;
Gdy jednak gość był nieco za długi,
Wnet operator mknął na usługi
I delikatnie wziąwszy puginał,
Zbytni kęs nogi zręcznie ucinął;
Gdy się okazał przybysz zamały,
Nogi do końca mu nie sięgały,
Zaczęto ciągnąć go z całej mocy,

Że jeszcze tejże uroczej nocy
Na cudne niebo Opatrzność Boża
Już z gościnnego wzięła go łoża.

Tak w cnej Sodomie zawsze się działo,
Bo równość była tam modłą stałą:
W poglądach, wierze, kulturze,—nodze,
Kto nie chce równy być wedle miarki
Musi być za to ukaran srodze.
Na szczęście przyszedł deszcz smoły, siarki
I czczący równość ten gród anieli
Z bożego świata wnet djabli wzięli.

WOJNA KLEPEK i OBRĘCZY.

(Bajka).

Przy wina beczce
Obręcze i klepki
Żyły w ciągłej sprzeczce.
Spór był zawięty i krzepki.
Barbarzyńcy—klepki wołały—
Wy, piekła postacie,
Bezlitośnie nas uciskacie
Przez żywot cały.
Otaczając niby nas opieką,
Zachowujecie się jak pany,
Nas za niższe uważając stany.
Nie zajdziecie, ciemięzcy, daleko.
Zobaczmy wreszcie,
Któż wy jesteście,
I co znaczycie?
My wina ochraniamy życie:
Gdy obręcz spadnie

Wszystko dalej jest dobrze i ładnie,
Lecz niech w klepce powstanie szczelina,
A beczka zwolna jest bez wina.

Zaś obręcze na to im odrzekły:
—Niedorzeczny cały gniew wasz wściekły,
Całe wasze szczęście,
Że my trzymamy was w kupie,
Przez gniot nasz, przez nasze pięście.
Gdy tylko zluźniamy ciemięstwo,
Kres waszej przychodzi jedności,
Rozpadacie się jak kości
W zgniłym trupie.
Im nasze zwiększa się zwycięstwo,
Tem lepiej dla beczki i dla jej napoju,
Które my ochraniać mamy,
Stanowiąc zbawienne ramy
Ładu i spokoju.

W ten sposób kłócą się coraz bardziej
Klepki i obręcze,
Każdy przeciwnikiem gardzi,
A w siebie patrzy jak w tęczę.
Nie mogą dojść do pojednania
Na punkcie, kto wino ochrania.

Tymczasem wśród tych pięknych zwadek
Zdarzył się brzydki wypadek:
Szpunt,
Na który przez cały bunt
Przeciwnicy mili
Wcale nie patrzyli
(Li siebie samych uznając za grunt)
Wyślizgnął się troszeczkę,
Opuścił beczkę,
I za chwilkę małą
Całe wino się wylało.

SMUTNY NARÓD.

Narodem żałoby jest biedny mój lud,
On smuci się nawet w weselu...
Twój wygląd, twój wzrok, twoja mowa, twój chód
Tchnie jękiem i łzą, Izraelu!

O stracie wolności żałosny ów śpiew,
Wąż wspomnień minionej twej chwały,
Przeniknął ci w duszę, i wślizgnął się w krew,
Mózg toczy, rwie serce w kawały.

Ot Pesach przychodzi, podniosła to noc,
Świątecznie lśni domek twój szary,
W jedzeniu obfitem zaczerpnąć chcesz moc
I wina pić cztery puhary.

Więc siedzisz przy stole, na tronie, jak król,
Królestwo masz małe wokoło,
Żoneczka przybrana w aksamit i tiul,
A dziatki się śmieją wesoło.

Lecz cóż masz na sobie? grobowy to strój,
W śmiertelnej koszuli król dumny:
Do głowy widm czarnych wnet tłoczy sie rój,
Owiewa duch śmierci, strach trumny.

A nim kielich trunku masz zbliżyć do warg,
Jesz jaje na pierwszy początek,
To znak jest wygnania, katuszy i skarg,
I innych niesłodszych pamiątek.

To znów jesz „charojses“ na prac ciężkich znak,
Tej gliny, co gniotłeś w Egipcie,
Jak może wieczerza, jak wino iść w smak,
Ponuro, choć ziemią zasypcie!

Narodem żałoby jest biedny mój lud,
On smuci się nawet w radości,
Kraj drogi stracony, dziś nędza i głód,
Co dziwna, że smutek w nim gości.

MORD RYTUALNY.

(Z księgi Kahalnej.)

Dom Boży szczelnie ludem zapełniony,
Kantora rzewne w niebo płyną tony,
Jako na Paschę przystało.
Mieszkańcy ghetta ubrani odświętnie;
Promienni wiarą, modlą się namiętnie,
Czcząc Boga prośbą i chwałą.

Kantora pienia echem dźwięczą w dali,
Gromada w modłów długich tonie fali,
Błagając Pana nad Pany...
Wtem drzwi bóżnicy szorstko się otwarły,
Lice nabożnych z przestrachu zamarły:
Wszedł nagle gość niespodziany.

Tłum, zbrojny w kije, zawzięcie się tłoczy,
Ma dzikie twarze i szatańskie oczy,
Krzyk jego sięga do nieba:
—Chrześciańskie dziecko od wczoraj zginęło,
Wyście je skradli, to wasze jest dzieło,
Wam krwi do *macy* potrzeba.

„O, wy zbrodniarze, wy wrogowie krzyża!“
Wtem z tłumu wychrzta do szafy się zbliża,
Gdzie zwoje Zakonu leżą.
Tam martwe ciało znajduje dziecięce:
Pokłute piersi, gardło, nogi, ręce
Buchają jeszcze krwią świeżą.

W piersi się biją Izraela syny,
Gorzki jest owoc niespełnionej winy,
Twarz ciżby zemstą się żarzy.
Już czują wynik ponurej zamieci,
Pogrzeby dziadów, ojców, matek, dzieci,
Ofiary krwawej potwarzy.

Przy wschodniej ścianie stoi rabin stary,
On jeden nie drży.. Pełen świętej wiary
Do rzeszy mówi w te słowa:
„Bóg Izraela bezkresne ma siły,
On może zmarłych obudzić z mogiły,
Nasz Bóg, wszechmocny Jehowa!“

Anioła śmierci nie straszy go kosa,
Proroczy wzrok swój podnosi w niebiosa,
Na boży cud czeka śmiele.
I oto zmarły budzić się poczyna,
Ożyły członki, zajaśniała mina,
Krew żywa zawrzała w ciele.

—„Teraz, kochany, idź i pokaż godnie,
Kto z nas popełnił tę ohydną zbrodnię,
Co hańbi imię człowiecze“...
Rabina słowo zaraz w czyn się wciela,
„Trup“ wnet jak w kleszcze wziął—donosiciela
I przed sam ołtarz go wlecze.

Potem znów skonał ten trup zmartwychstały:
Przygasły oczy i członki skostniały,
Cud spełnił swe przeznaczenie...
Rabin w kąt wrócił, ukrył twarz w tałesie,
Blask z oczu zniknął, głos w niebo się niesie,
Znów czoło spowiły cienie.

I znów modlitwy brzmi rozciągłe pienie,
Lud już nie błaga, lecz śle dziękczynienie,
Za cud Wiecznego czci imię.

. . . .

Ten fakt zapisał do księgi kahalnej
Reb Cwi, człek zbożny i stylista walny
W kwiecistem słowie i rymie.

SURMA i LUTNIA.

Okrutna wojna wre dookoła,
Wojenna surma donośnie woła,
Szermierzy do boju wzywa,
I ot wiszącą na ścianie lutnię,
Ogarnia zazdrość, więc woła smutnie:
—Jaka ta surma szczęśliwa.

Lecz po namyśle, rzecze spokojnie:
—I ja wziąć udział potrafię w wojnie,
Choć lubię pokój i ciszę:
Gdy w walce zmoże śmierć bohatera,
Dla mnie się zaraz misja otwiera:
Grą słodką go ukołyszę.

PATRJOTYZM.

Na świecie pewien kwiatek znam,
Bez deszczu, rosy bujnie rośnie;
Nie stawia mu brak słońca tam,
Piękniejszy w zimie jest niż w wiośnie.

On rośnie w śniegu i wśród burz,
Gdy żadnem zielem nie lśni błonie;
Burza mu daje błękit, róż,
Jaskrawe barwy, słodkie wonie.

Gdy piorun bije, wali grad,
Gdy wszystko ginie od zamieci,
Najpiękniej kwitnie ten mój kwiat,
I najwspanialszym blaskiem świeci.

Ten kwiat się patrjotyzmem zwie,
Wykwita z narodowej duszy,
Ożywcze soki ból mu śle,
Żywią go męki i katusze.

NIEDŹWIEDZIA RÓWNOŚĆ.

(Bajka.)

Hasło wolności, co od dawnych czasów
Istnieje z wielkim pożytkiem dla ludzi,
Zaczęło także krzewić się śród lasów:
Zwierz dotąd dziki, krwiożerczy, zuchwały
Nagle się budzi
I głosi piękne, wzniosłe ideały.
Zwłaszcza wśród młodszych zwierząt,
Których nierząd
Dotychczasowy do głębi porusza,
Rwie do wolności się wrażliwa dusza.
Postanowili
Nie czekać ni chwili
I wszyscy ławą:
Od wilczej szlachty do owczej hołoty,
Walczyć o wolność i prawo
I złamać podłą przemoc lwa, despoty
Lwa, który jednem machnięciem ogona
Strach szerzył pośród zwierzęcego grona.

„Cni towarzysze,—wrzasnął lis wymowny—
(Jak wiadomo, zawdy
Lis się odznacza miłością do prawdy)
Czy my jesteśmy niewolnicy, klowny,
By bez szemrania, cisi jak gołębie,
Od lwa brać po gębie
I jeszcze kiesy wypróżnić dłań głębię?
By raz na zawsze zwolnić się od batów,
Radziłbym wysłać paru delegatów. .
Ot dwa naprzykład czcigodne niedźwiedzie,
Do kóz i owiec i koni i krów,
Co w jeszcze cięższej od nas jęczą biedzie,
Że niema więcej już krwawych tyranów,
Że zwierz wszelaki, czy to ten czy ów,

Będzie na wieki cały, szczęśliw, zdrów,
Bo już nie będzie ani sług, ni panów.
Lecz, zacna rzeszo, dobrze się zastanów:
Trza dodać jeszcze warunek;
By bratni śród nas ustalić stosunek,
Każdy swą musi przyłożyć robotę,
By wspólnie całkiem zwyciężyć despotę.

I tak też było: gdzie tylko posłowie
Braterstwo w pięknej głosili przemowie
Spotkali wszędzie wiele entuzjazmu,
Każdy zrozumiał, ideał w łeb lazł mu...
—Ba, wół z niedźwiedziem będą całkiem braćmi,
A może nawet zasiędą pospołu
Do jednego stołu—
Rzekł byk—już nic mi głowicy nie zaćmi,
Ostatnią kroplę krwi dam z przyjemnością,
Byle się cieszyć wolnością, równością...
Czy mógł kto lubić lwa, co ciało gryzł mu,
Więc bardzo dużo było patrjotyzmu.

I ot bój zawrzał, pełen gniewu, grozy:
Krowy i owce, byki, psy i kozy,
Walczyły dzielnie, bo znęcił każdego
Niedźwiedzi manifest miły,
Wszyscy do walki, jak ćmy w ogień biegą,
Ostatnie swoje wytężają siły,
Aż w końcu wojsko to dzielne, zwycięskie
Święciło wroga ostateczną klęskę:
Na ziemi martwe lwa już leżą kości,
A kraj niedźwiedzi zażywa wolności.

Nagle się zbliża owca, w troje zgięta,
Do starszego z niedźwiedzi,
Co właśnie nad lwa kością dziś się biedzi
I tak doń rzecze:
—Wspólny dziś mamy dzień wolności święta,

Bo odkąd społem szła zwierzęca trzoda,
Jest jedność i zgoda.
Lecz czy i moje rozluźnią się pęta?
Czy ja też państwa będę miała pieczę?
Czy twardy orzech owczego problemu
Jest rozgryziony całkiem po owczemu?

—Co?—odrzekł niedźwiedź wymownie a pięknie,
A brzuch od śmiechu omal mu nie pęknie.
Ty, owco podła, też nie chcesz obrozy?
Bratnie się tobie marzą ideały?
Za ten czyn zuchwały
Z wami niż wprzódy będzie jeszcze gorzej,
Wy owce, dziki zwierz i niekulturny,
Śmiecie się równać do nas, warstwy górnej?
Wy buntownicy, anarchji szatany,—
Dla was stworzone są tylko kajdany...
Zresztą, czy nie dość wam jeszcze równości,
Ze gdyśmy przeciw lwiej walczyli sile
Razemście z nami pogrzebali kości
W jednej mogile?!

DWAJ PACJENCI.

W szpitalu stoją łóżka dwa:
W jednej półżywa postać szara,
Twarz blada, wzrok spowija mgła,
W mózgu maligny krąży mara,
On szepce coś: rzęzi lub łka:
Pogromu świeża to ofiara.

Tuż obok w łóżku leczy guz
Człek inny—„moskal“ niezawodnie:
Ten sam go przyprowadził wóz,
Co tego, nad kim spełnił zbrodnię;
I jego pogrom tutaj wniósł:
Zrabować buty chciał, lub spodnie...

Nad każdym z tych pacjentów dwóch
Wnet deska zamknie się grobowa,
Żyd zmawia modły, czyniąc ruch,
„Moskal“ spowiedzi szepce słowa,
Uleci w niebo obu duch,
Po każdym z nich zostanie wdowa.

Rzucają wzajem na się wzrok,
Niema w nim złości, nienawiści:
Któż nakierował zbójcy krok,
Dla czyjej było to korzyści?
Może tej krwi niewinnej tok
Sen o braterstwie kiedyś ziści?

Może mogiły czarnej próg
Świetlany owoc ludziom wyda,
Że jest dla wszystkich jeden Bóg:
Dla chrześcianina i dla żyda;
Że nie rosjanin żyda zmógł,
Lecz dobro zmogła tu ohyda.

Szyderczym śmiechem szatan drwi,
Z tej, co się życiem zwie, świątyni:
Strumienie łez i rzeki krwi
Aż do trumnianej płyną skrzyni;
Na świecie łuna wojny lśni,
Aż śmierć pokoju nie uczyni.

JÓZEF JOFFE.

CO ZA HAŁAS?

O, co za hałas, że ja piję?
Rżnę własne wino, a nie czyje,
Bo gdy zasycha gardło me,
Czy tłuszczem mam smarować je?

O, tak! do dziewcząt krew mi pała,
Lecz cóż mam począć z żądzą ciała?
Czy gdy niewieści ujrzę ród,
Jak święty mam się kłaść na lód?

Gdy gorszą moje was piosenki,
Niech z ust wam ich nie płyną dźwięki,
Bo nie przez swe morały cne
Zmusicie do milczenia mnie!



L. JOFFE.

PIEŚŃ WIOSENNA.

Promienna wiosna k' nam przybyła
Świetlane nowe dźwięczą pieśni,
W żyłach gra świeża krew i siła
Dusza z ponurej wyszła cieśni.

Po długiej zimie cud Bóg czyni:
Ziemia wydaje plon bogaty;
Zakwitły drzewa na pustyni,
Na grobie rosną piękne kwiaty.

Natura pieśnią drga wesoło,
Świat Boży się odnowił cały,
Miast śmierci, życie wre wokoło,
Nieznane pieśni nam zabrzmiały.

Uczucie nowe wśród nas gości,
Marzenia w duszy drgają, żyją:
O nowej mocy, o młodości,
Brzmią nowe słowa: wolnośćj, Syon.

Pełen radości, szczęścia, dumy
O nowem życiu żyd dziś marzy,
Nadziei się dźwignęły tumy
Wśród słabych, chorych i nędzarzy.

I głos młodzieży słychać miły:
„Żydzie, rzuć gnuśność, niedołęstwo,
Chcemy ci wszystkie oddać siły,
Odwagę, młodość, pracę, męstwo.

Choć nas niewoli gmiotło brzemię,
Nie zgasła dzielność nasza stara,
Za naród nasz, za naszą ziemię
Nie ciężka żadna nam ofiara.

Gdy nam Syonu sztandar wieje,
Płacz nas ogrania i wesele,
Stare się budzą w nas nadzieje,
Szczytne przed sobą czujem cele.

Świeci i grzeje słońce Wschodu
Znów wśród niewoli mrocznej cieśni,
Mknie nowa wiosna dla narodu,
Odżyły stare jasne pieśni.



ELEAZAR KALIR
(Wiek VII lub X)

MODLITWA O DESZCZ.

Praojciec Abram, wybraniec Twój,
Biegł do Cię wartko, jak wody zdrój;
Błogosławiłeś go wolą wzniosłą,
Niby drzewinę, w wodzie wyrosłą.
Od ognia strzegłeś go i od wody,
By mu się żadne nie działy szkody;
On, jak przy wodzie. Twe słowo siał, —
Ty nie skąpiłeś mu łask ni chwał.

Niech w imię jego olbrzymich cnót,
Spadną nam hojnie strumienie wód!

Gdy spieszył wodę aniołom nieść,
Abram usłyszał radosną wieść:
Jałowa, niby bez wód krzewina,
Sara urodzi niebawem syna.
Wkrótce usłyszał Abram Twój zew,
By lać, jak wodę, Izaaka krew,
Lecz Izaak zbożnie przed stopy Twe,
Jak wodę, serce wylewał swe.

Niech w imię jego olbrzymich cnót,
Spadną nam hojnie strumienie wód!

I na Jakóba zechciej mieć wzgląd:
On z łaską przeszedł Jordanu prąd.
Wciąż pełen wiary, bez grzechów, skaz,
Od źródła śmiało odwalił głaz,
W odważnej walce poszedł w zawody
Z aniołem, co był z ognia i wody;
Odtąd go ręka Twoja okala:
Płomień nie może go zmódz, ni fala!

Niech w imię jego olbrzymich cnót,
Spadną nam hojnie strumienie wód!

Wyciągnion z wody na Nilu brzeg,
Był wielki Mojżesz, niezwykły człek;
Przyszłego teścia gdy ujrzał trzody,
Pasterkom pomógł zaczerpnąć wody,
Gdy złaknął naród, który on pasł,
By zdobyć wodę, uderzył w głaz:
Nagle na rozkaz potężny Twój,
Z kamienia wody wytrysnął zdrój.
Niech w imię jego olbrzymich cnót,
Spadną nam hojnie strumienie wód!

Aron, w opończe spowity pstre,
Pięć razy w wodzie zanurzał się;
Gdy szedł do chramu przed Tron pad Trony,
Umaczał ręce w wodzie święconej.
Gdy w modłach duszę miał wylać całą,
Strumieniem wody oblewał ciało;
Gdy lud do cielca mknął, jak wód fala,
Od tych grzeszników trzymał się zdala.
Niech w imię jego olbrzymich cnót,
Spadną nam hojnie strumienie wód!

Kiedy z Egiptu umknął Twój lud,
Tyś go przez wodne bałwany wiódł,
A gdy piekące uczuł pragnienie,
Wód osłodziłeś gorzkie strumienie;
Za to dla ciebie, mężny jak lew,
Jak wodę potem przelewał krew;
I dziś nas ratuj, wszechmocny Boże,
Gdy nas niedoli zalewa morze..
Niech więc Twój zbożny doczeka lud,
By spadły hojnie strumienie wód!

MODLITWA O ROSĘ.

Udziel nam, Panie, ożywczej rosy,
By suchą ziemię zwilżyć spragnioną,
Niechaj się ziarnem napełnią kłosy,
Rozkwitnie zboże i winne grono.
Zwal od nas ciężkie nieszczęcia brzemię,
I od posuchy zbaw naszą ziemię.

Wikwintny bogacz i nędzarz bosy,
Błaga Cię, Boże, o trochę rosy!

Ześlij nam trochę ożywczej rosy,
Byśmy rok mieli syty, szczęśliwy,
Niech drzew wierzchołki strzelą w niebiosy,
Niech zielenieją stołeczne niwy.
Niech miasto próżne i opuszczone
Dawnego blasku wdzieje koronę.

Wykwintny bogacz i nędzarz bosy,
Błaga Cię, Boże, o trochę rosy.

Niech zwilżą krople ożywczej rosy
Ziemię przez ciebie błogosławioną,
Chwalebne zabrzmieć nie mogą głosy,
Kiedy boleścią drga nasze łono.
Ześlij Twą łaskę przez ros tumany
Na naród ongi przez Cię wybrany!

Wikwintny bogacz i nędzarz bosy
Błaga Cię, Boże, o trochę rosy!

Ześlij kropelkę ożywczej rosy
Na pełne płodów zeschnięte góry,
Poco z rozpaczy rwać mają włosy
Niewinne ludu syny i córy?
Zwilż tylko nieco nasze zasiewy,
A ku Twej chwale zadźwięcza śpiewy!

Wykwintny bogacz i nędzarz bosy
Błaga Cię, Boże, o trochę rosy!

Udziel nam trochę ożywczej rosy,
A pełne będą szpichlerze nasze.
Zadźwięcza raźno sierpy i kosy,
I my będziemy śpiewać, jak ptaszę.
Duch nasz zostanie wiarą zroszony,
Jak zbawczą rosą suche zagony.

Wykwintny bogacz i nędzarz bosy
Błaga Cię, Boże, o trochę rosy!

Ześlij kropelkę ożywczej rosy,
By nam nie przepadł nasz chleb codzienny,
Ty, który rządzisz naszymi losy,
Nie wyjałowisz krainy plennej.
Nas nie opuści w tej ciężkiej doli
Pasterz, co wywiódł lud swój z niewoli.

Wykwintny bogacz i nędzarz bosy
Błaga cię, Boże, o trochę rosy!





DAWID KASSEL

LITWACZKI.

O, litwaczki, moje siostry!
Sąd wybaczcie mój zbyt ostry:
Wśród tysiąca—pełnej kras
Niema jednej chyba z was.

Macie czarne włosy, oczy,
Ale serca to nie mroczy,
Gdy w sobotni letni dzień
Mknicie w sadu gęsty cień.

Jedna śni w miłości szczęście,
Druga leci na zamężcie.
Ach ten mąż! na posag dlań
Skąpi wciąż huf Soń i Tań.

A ta jedna zakochana
Martwi w nocy się i zrana,
Pierś jej pęka, serce drży:
Może luby li z niej kpi.

Więc wszystkimi gardzi chłopcy,
Każdy dla niej podły, obcy,
Bladą twarz ma, błędny wzrok,
Gdy „na kursa" wlecze krok.

L. KESTIN.

LAGBOJMER W LESIE*).

Raźno, gwarno maszerują dzieci,
Dziś ich święto, mają wolny czas;
Z procą, strzelbą młode wojsko leci,
Krzyk i śmiech ich budzi śpiący las.

Z chederowej wypuszczeni cieśni,
Mają wzrok promienny, dźwięczny głos;
Przeszłość naszą opiewają w pieśni,
Naszą sławę, szczęście, świetny los.

Gwar dziecięcy tęsknoty napędza,
Za minionym wdziękiem dawnych lat,
Pierzcha boleść życiowa i nędza:
I żyd kiedyś żył wesół i rad!

Znowu cicho! zmilkły dziatek pienia,
Las pogrążon w swoim zwykłym śnie,
Lecz l a g b o j m e r obudził wspomnienia
I uśpiona pieśń z serca się rwie.

---

*) Lag Ba—omer, trzydziesty trzeci dzień okresu „Omera“, czyli „Sefiry“. Dzień ten uważany jest za półświęto wśród żałobnej „Sefiry“ przyczem według tradycji dzieci wybierają się wtenczas na wycieczki za miasto.

ŚWIECZKI CHANUKOWE.

W chwili rozpaczy, nędzy i zgryzoty,
Kiedy dokoła ponuro i ciemno,
Do dawnych dziejów wznieś fantazji loty,
One pociechą natchną cię przyjemną.

Sen miły, słodki duszę twą ogarnie
I myśl w niebiańskie uniesie wyżyny,
Odnowi przeszłość: rozkosz i męczarnie,
Walki, zwycięstwa, bohaterskie czyny.

Więc zapal, żydzie, dziś świeczki jarzące,
Które wypłoszą z duszy twojej mroki,
Zaświecą jasno, jak promienne słońce
I w kraj nadziei skierują twe kroki.





Prof. H. Graetz ur. 1817 um. 1891 r.

H. KLÜGER.

HENRYKOWI GRAETZOWI.

(W setną rocznicę jego urodzin 1817—1917.)

Niegdyś Izrael na swej własnej ziemi
Żył własnem życiem, zwyczajami swemi,
Otoczon ludów licznych wielką czcią;
Lecz grom się zerwał, by ukarać winy,
I strącił naród ze szczytnej wyżyny,
Zburzył świątynię, ziemię zbryzgał krwią.

Żydowskie państwo zgniótł na długie lata,
Na wszystkie strony rozproszył nas świata,
W luźne atomy zmienił ludów kwiat...
I jako naród na strzępy rozdarty,
Rwały się także dziejów naszych karty,
Po wielkich czynach zginął wszelki ślad.

Wtedyś Ty przyszedł, mistrzu niezrównany,
Zrosiłeś duchem dziejów naszych łany,
Ogień gienjuszu swego tchnąłeś w nas;
Martwe fragmenty, upowite w pyły,
Na żywą całość cudnie się złożyły,
Służąc pomnikiem po wieczysty czas.

Jak świetlna wieża, co rozjaśnia morze,
Tyś w wiekopomnym promiennym utworze
Na morze dziejów naszych rzucił świt;
A z tego morza i z toni podania
Minione życie cudnie się wyłania.
Żywy narodu maluje się byt.

Wspaniały obraz dawno zmierzchłej chwili,
Gdy władli króle, prorocy uczyli,
I lud się trudził pod cieniami drzew;
Gdy ponad bytu powszedniego wrzawę,
Wielkiego Boga wynoszono sławę
Przez modły rzeszy i kapłanów śpiew.

To dramat, pełen boleści i wdzięku,
Gdzie bohaterzy bez skargi i lęku
Dawali życie wśród psalmowych pień;
Płonęły stosy, padały ofiary,
Niejeden zginął mocny naród stary,
Ale Izrael przetrwał po dziś dzień.

Te cudne dzieje maluje twe dzieło,
Co niejednego z nas wiarą natchnęło,
Że lepszych losów godzień jest nasz lud;
Więc póki przeszłość swą mamy w estymie,
My, dzieci, wnuki czcić będziem twe imię
I wiecznie cenić twój natchniony trud.



J. A. LEJZEROWICZ.

ŻÓŁĆ.

Nie szukam złota, ani sławy,
Wszystko, co daje świat plugawy
To dla mnie marny kram...
Gdzie się podziała moja dusza?
Nic nie obchodzi jej, nie wzrusza,
Żółć jeno w piersi mam.

Jako u zatrutego węża,
Żądło się we mnie wciąż wytęża,
Chcę ugryźć, wpuścić jad;
Niechaj mną jednak nikt nie gardzi,
Samego siebie gryzę bardziej,
Niż cały nędzny świat.





A. LESIN.

NASTROJE.

Wieczór jest zły i w żałobie głębokiej,
A serce smutek rozdziera i strach,
Pędzą i gonią złowróżbne obłoki;
Pełne tajemnic, zagrzebane w mgłach.

Niebo to w jedną, to w drugą mknie stronę,
Goni je trwoga i ponura moc,
Chmury zmykają drżące i strwożone,
Aż je porywa huragan i noc.

Tak dnie mijają, miesiące i lata
Na tym padole rozpaczy i łez:
Mnóstwo pokoleń ucieka ze świata,
W ciemnej nicości znajdując swój kres.

Tak życia ludzkie znikają w mogile,
Tajemny śmierci porywa je mrok...
Smutny jest wieczór, ranek, wszystkie chwile,
Pierś drży ze strachu, łza zasępia wzrok.

SZ. MARTYNOWSKI.

LUDZIE A NIEBO.

Pragniesz przyszłość znać, kochanie?
Spójrz! Czy widzisz łan cmentarny?
Oto, co się z ludźmi stanie,
Taki spotka nas kres marny.

Patrz, jak walki wrą najkrwawsze,
W morzu łez i krwi świat tonie,
Ale niebo tak jak zawsze
Śmiechem gwiazd i słońca płonie.

Słońce drwi, śląc blaski swoje,
Lśni szyderstwem gwiazd plejada,
A świat ludzki, jak much roje,
Pada, pada, pada, pada.



HILEL MALACHOWSKI.

SŁOWO PROROKA

Jezajasz 58.

Cóż wy myślicie, podstępne świętoszki,
Że waszych oszustw nie widzę, obłudy?
Próżno ofiarą—jak pogańskie bożki —
Chcecie, Mnie—Boga, przebłagać za brudy.

Do świątyń mkniecie i zgięci we troje,
Chcecie pokornie upaść na kolana;
Zakonu mego całujecie zwoje,
A w niebo woła krew przez was przelana;

Przez posty Mego ujść pragniecie sądu,
Mój gniew przebłagać przez pochlebstw wymowę,
By znów nazajutrz grzęznać wśród nierządu.
Gnębić sierotę i ciemiężyć wdowę.

Nie znajdzie drogi do Bożej litości,
Kto krzywdzi biednych, z bliźnim walki toczy;
Nie ten jest zbożny, kto klęka i pości,
Ten jest nim, kogo zdobi czyn uroczy.

Nie pragnę modłów ku pustej zabawie,
Sprawiedliwości chcę, prawdy i cnoty;
Bez ofiar dobry czyn pobłogosławię,
Bom Ja Bóg Wieczny, a nie cielec złoty.

Nie mnie szanujcie, lecz me słowo Boże,
I namiętności złe ujmijcie w karby;
Wówczas wam szczęścia zajaśnieją zorze,
Dam wam pomyślność, i zdrowie, i skarby.





MENACHEM.

POLSKA.
(Streszczenie większego poematu.)

Jam nie wzrósł, Polsko, wśród twych żyznych łanów,
Mój pradziad nie szedł nocą po twej drodze
Z tłomokiem, towar dźwigając dla panów;
Dziad nie drierżawił młyna ani szynku,
Gdzie chłop i szlachcic spijali się srodze,
Ani handlował butami na rynku...
Lecz, choć na innej całkiem wzrosłem glebie,
Ja znam cię, Polsko, i pojmuję ciebie.

Wiem, że nad tobą czarne chmury wiszą,
Ponure cienie krążą wśród twych zgliszczy;
Że kurz okrywa żywy ślad twej sławy,
Sławy, co żadna przemoc jej nie zniszczy;

Że brzmi w powietrzu pieśń twa, tchnąca ciszą,
Bez słów, jak nasza pieśń u wód Babelu...
I ot ja, wieczny wędrowiec bez celu,
Najtkliwiej doli twej współczuwam krwawej,
Ja z pocieszeniem przybywam do matki;
Co po swych dzieciach siedzi na pokucie;
Więc przyjm me szczere serdeczne współczucie,
Choć ból tak świeży,—tak srogi, tak rzadki...

Nie błogosławię'ć, pobożna czcicielko
Lekkomyślności bożka... Jemu właśnie
Ofiarę drogą złożyłaś i wielką
Z życia swych synów, co w hełmie i zbroi
Cześć ci zdobyli, która nie zagaśnie:
Chwałę wietrznicy, co ciągle się stroi,
Krwi na gałganki nie żałując swojej...
Nie mogę ciebie błogosławić przeto
I dziś, nieszczęsna, lecz lekka kobieto!

Zbyt drogą dla nas była twa gościnność:
Za oddychanie twem powietrzem, pani!
Wśród wonnych lasów, pól ghetowej cieśni
Żądałaś od nas zbyt kosztownej dani...
Czcząc przytem jednak szlachetność, niewinność
Tyś nas na stosie wzniośle nie spalała,
Jako współwiercy twoi owcześni;
Nie dałaś w ręce kata na katusze,
By tem dla Boga była większa chwała
I by zbawione były nasze dusze;
Nas na cyrkowe nie pchałaś areny,
By nas tam dzikie rozszarpało zwierzę,
Jakto czynili szlachetni rycerze
Z wilczemi kłami i sercem hyjeny.

Twe damskie serce innej chciała płacy:
Patrzałaś z ganku wykwintnych pałacy,

Jak nędzne, śmieszne, wylęknione żydki
Z wzniesioną połą długiego chałatu
Przed psem zmykają, by ocalić łydki,
Przed psem, co szczują na nich twe junacy.
Upita winem, liczyłaś z rozkoszą
Chłosty, co spadły na helotów plecy;
I tak anielsko śmiałaś się z tej hecy:
Jak oni ciosy krwawe mężnie znoszą,
Jak w dzikiej nucie, w której cześć zamarła,
Ku chwale swemu dowcipnemu katu
M a j u f e s płynie im z chrypłego gardła!
To była płaca, co nasz lud ci dawał
Za łyk powietrza i za chleba kawał.

Z przesytu zamków mknąc do chałup głodu,
Z lekkości twojej żyd mógł ciągnąć zyski:
Stał się potężnym „skarbnikiem narodu".
Wszystko mu w ręce oddawał twój nierząd:
Ogrodu zieleń, drwa lasu, pól zboże,
Ryby ze rzeki i mięso od zwierząt,
Ptastwo i mleko, trumny i kołyski;
Bo ręce twoje były nazbyt hoże,
By tknąc się pracy, prócz kruża i miski...
Lecz chciałaś z żyda zrobić niewolnika,
Co rączkę pańską całuje w pokorze,
Śpiewa m a j u f e s i koziołki fika,
Pracuje ciężko, no i z głodu zdycha..
Lecz ukarana została twa pycha...

O, tak współbracia moi cię okpili!
Z mozolnej pracy bez wytchnienia chwili
Kawałek chały mają na sobotę,
Na śluby córek płotki z twojej rzeczki;
Pijają wino—przy k i d u s z, h a w d u l e,
Mężczyzni stroją się w t a ł e s, kapotę,
Dzieciaki w c y c e s, kobiety w peruki,
W l a g b o j m e r jeżdża na leśne wycieczki...

Tak schedę dziadów przetrwaniają wnuki.
Zebrali skarby, ukryte w szkatule,
Schowane w ziemi, wciśnięte gdzieś w rowy,
Wielki kapitał mają narodowy:
Trzy łokcie płótna na całun grobowy.
Dziś jesteś pełna szlachetnego gniewu
I „gwałtu!“ wołasz ze źrenicą łzawą:
„Niewolnik ukradł plon mojego siewu
Nietylko ciało owija w łachmany,
Lecz z ducha także otrząsa kajdany,
Chce żyć jak człowiek, nie jak rab nękany!“
Walkę mu tedy wypowiadasz krwawą.
Toczoną rączkę wkładasz w beczkę śledzi,
W jedwabnej sukni stajesz przy szynkwasie,
Twa drobna nóżka po bruku się biedzi,
Przy dziegciu nosek twój traci na krasie...
Pragniesz się zemścić nad krnąbrnym narodem,
Za winę buntu ukarać go głodem.
A tak wojując, uśmiechasz się dziarsko,
Znacząco mrugasz: „a nuż raby podłe
Znów przyjdą dłoń mą uścisnąć szynkarską.
Na starodawną kark pochylą modłę,
Dawne mi skoki powtórzą sobacze,
A ja im chętnie przebaczę, przebaczę“...

Wybacz mi, Polsko, kraino przyszłości!
Choć nienawiści przekraczasz Rubikon,
Choć ku mym braciom złością pałasz dziką,
Żałuję ciebie... Gniew, co w tobie gości,
Pijane oczy, rowścieczone lico,
Mówi, że sama jesteś niewolnicą...
Lecz przyjdzie chwila: skra, co tkwi w twem łonie,
Promiennym ogniem wolności zapłonie,
Wtedy, jak grzeszna Magdalena ongi,
O przebaczenie prosić będziesz sama
I nam wybaczysz... A syny wygnania

Staną przy tobie dumni jak posągi,
Wolni i równi, lecz pełni kochania,
Ucichną klątwy i wojenna gama
Złączeni w prawie, tej spójni jedynej,
Staną przy sobie wszystkie kraju syny,
Ojczyzna wszystkich do ofiar zachęci,
A smutna przyszłość zginie w niepamięci.

L. MEYER.

„SŁUCAHJ, IZRAELU!“

I.

Rozpocznij, dziecię, modlitwy słowa,
Słowa tak dawne, jak pieśń wiekowa,
Słowa nam dane, jak zakład Boży,
Jako podpora w pośród bezdroży,
Nie znajdziesz ludzi na ziemskiej kuli,
Coby głęboko ich prawd nie czuli;
Czy też żalowi oddani złemu,
Czy to ich sercu ulgi potrzeba,
Ślą owr słowa pod błękit nieba:
„O, Izraelu, wierz Panu swemu!“

II.

„Wstawaj chłopczyku! Wstawaj dzieweczko!
Bo już na niebie świeci słoneczko,
Umyjcie rączki, tak Pan Bóg każe,
Włóżcie ubiorki, umyjcie twarze,
Potem przystąpcie do księgi owej,
I mówcie słowa z karty wiekowej“
Tak budzi dziatki każdego rana
Matka, gdy prace już rozpoczęte,
Lecz najprzód czyta te słowa święte:
„O, Izraelu, czcij swego Pana!“

III.

Gdy po dniu pracy, trudu i trwogi,
Znów żyd wstępuje w domowe progi,
Lub gdy zebrawszy swej pracy plony,
Znowu powraca w domowe strony;
Wtedy z łzą w oku, z sercem dziękczynnem,
Modły swe składa w kole rodzinnem,
Gdzie siedzi żona, dziatwa kochana,
I znowu wznosi modlitwy słowa
Modlitwy starej, jak pieśń wiekowa:
„O, Izraelu! wielb swego Pana!"

IV.

Jeśli Izrael oddany skrusze,
W dniu uroczystym wznosi swą duszę
Ponad znikome pokusy świata;
Wówczas pieśń jego myślą bogata,
Po wszystkich krańcach zgodnym brzmiąc chórem
Milknie i gaśnie wraz z nieb lazurem,
Gdy już gwiazdeczki nikną nad ranem,
I wtedy święta brzmi pieśń wiekowa,
Wzniosła, jak duchów tajna rozmowa:
„O, Izraelu, kórz się przed Panem!"

V.

W dniach, gdy nienawiść świat ku nam głosił,
Gdy Żyd stokrotną wciąż śmierć ponosił,
W dniach, gdy za wiarę w jednego Boga,
Śmierć go czekała straszna, złowroga,
On, by pozostać w swych ojców wierze,
Oddawał życie w krwawej ofierze;
Twarz jego smutna, łzami zalana,
Lecz usta jeszcze głoszą zwycięzko,
Słowa płacone śmiercią meczeńską:
„O, Izraelu, wierz w swego Pana"!

VI.

Rozpocznij, dziecię, modlitwy słowa,
Słowa tak wzniosłe, jak pieśń wiekowa,
Słowa, co nosił żyd na sztandarze,
Gdy już ojczyste stracił ołtarze,
I dziś on jeszcze ten sztandar ściska,
Gdy życie milknie—gdy śmierć już bliska,
Gdy już wieczności dotyka progu,
Gdy już spoczywa w śmierci kolebce,
Jeszcze zmartwiały te słowa szepce:
„O, Izraelu, żyj w Panu Bogu!“

ŻYD.

Jam wzrastał obcy ci, narodzie podeptany,
Jam nie dla ciebie snuł natchnione pienia;
rędzia nauk twych i twego jarzma rany,
Obcemi były mi, jak twe wspomnienia.
I gdybyś, jako wprzód, był silny i szczęśliwy,
I gdyby cały świat cię nie poniżał,
Ja byłbym inne czuł dążenia i porywy,
Z miłością bym do ciebie się nie zbliżał.
Ale, gdy widzę dziś, jak gnębi cię ohyda,
Jak zginasz czoło swe w daremnej skardzę,
Gdy hańbę zda się mieć, kto nosi imię „żyda",
Gdy gawiedź, widząc cię, ma srom na wardze;
Gdy jako podły pies, wróg na cię zęby szczerzy,
Gdy chce ćwiartować cię, w zawiści głodzie, —
Daj skromne miejsce mi śród tłumu twych szermierzy,
O, biedny mój narodzie!

Obcy wyrosłem ci, shańbiony ludu mój,
Nie tobie'm śpiewał w chwile natchnienia,
Twych cudnych legend czar i twego życia znój
Jest mi tak obcy, jak twe wierzenia.
Jan ongi, gdybyś znów szczęsny był, siłę miał,
Przed ludy nie stał z czołem zniżonem,
Gdyby twój wolny duch ku słońcu pędził wewał,
Jabym ku tobie nie szedł z pokłonem.
Ale za naszych dni, gdy nieba sięga szczyt
Twych mąk i czekasz próżno zbawienia,
Ale za naszych dni, gdy sama nazwa „żyd"
Dla tłuszczy hasłem jest potępienia.
I gdy twój liczny wróg, jak sfora żerczych psów,
Rwie trzewia twoje w zaciekłym głodzie,
Pozwól powiększyć mi szermierzy twoich huf
Mój pohańbiony biedny narodzie!



LEJB NAJDUS.

OCZY WSCHODNIE.
(Z motywów wschodnich.)

Gdy patrzę, luba, w twoje czarne oczy,
Widzę noc wschodnią z mgławemi lazury,
Tonącą w woni kwiecia, ros przezroczy,
Strojną w gwiazd rzędy, niby w pereł sznury

Hen z mgły dalekiej płomyczek wygląda,
Jakby pierś nocy płonęła pożogą;
Snać z karawaną wiedzie ktoś wielbląda
Od palm oddechu zwilgoconą drogą.

Szmer z winnic słychać, jak głos ducha ruin,
Cichutki trawy wiew kołysze ziemię,
W oddali nuci pieśni swe beduin,
Co przed swą chatą leży, lecz nie drzemie.

Gdy czarna rzęsa twoje oko skuwa,
I sen dziewiczy na łoże cię mami,
To zdaje mi się, że w twem oku czuwa
Noc cicha wschodnia z perłami-gwiazdami.



H. D. NOMBERG.

OPUSZCZONA KOCHANKA.
(Na motyw ludowy)

Kupię ja deseczki sobie,
Mam pieniądze już,
I łódeczką śliczną zrobię,
W nurt się puszczę mórz.

Udam się corychlej w drogę,
W cudną siną dal,
Długie swe rozpuszczę żagle,
Popłynę śród fal.

Puszczę żagle, łódź poleci,
Wiatr przyspieszy bieg,
Wietrze drogi, nieś łódeczkę
Hen na tamten brzeg.

Na wielkiego morza brzegu
Leży piękny gród,
Tam młodzieniec się przechadza
Tuż przy prądzie wód.

Jak on mile się uśmiecha,
Mówi, nuci śpiew...
Czy wie, jak mi serce bije,
Jak mi pała krew?

II.

O półzmroku na tym brzegu
Stanęła ma łódź:
Patrzę—z dziewą spaceruje,
Miałby zdradę knuć?

Gdy mnie ujrzał, wnet zawołał:
O, Rachelko ma:
Przybiegł i w mą łódkę skoczył,
Pierś mu ogniem drga.

Pieści, ściska mnie, całuje,
Bawi słowem swem,
Przyszła tamta i przewraca
Łódkę na wierzch dnem.

Razem z nim do morza wpadam,
Ryba łyka nas:
Nasza łódź samotnie płynie
W smutku długi czas.

Płynie łódź-sierota, gnana
Przez wiatr, burzę złą;
Niechaj po nas kadysz zmówi,
Kto zobaczy ją.

KOŁYSANKA.

Biegną, pędzą chmury czarne,
Wiatr wyje i dmie,
Z mgieł Sybiru śle ci ojciec
Ukłon, dziecię me!

Wiatr nam czułe śle ukłony,
Cicho, dziecię, sza!
Tam twój tatuś stoi z taczką
W ręku szpadel ma.

Kopie coraz głębiej, głębiej,
Blady niby trup;
Nie smuć się: dla fałszu, krzywdy
Kopie wieczny grób.

To nie pierwszy, nie ostatni
Z tych, co zmógł ich bój.
Nie płacz: wielkim bohaterem
Jest ten rodzic twój.

Na mężnego bojownika
Wyrośniesz i ty,
Śpij, kochanie, siły nabierz
Nie płacz, na co łzy?!





I. L. PEREC.
Z proroków.

BÓG SIĘ PYTA:

Jeśli mną przepełniony świat,
Poco mi wznosisz chram?
Alboż ja jem lub piję rad?
Co z twoich ofiar mam?

Na co mi wołów mięso, krew?
Zjedz sam je lepiej wprost!
Lub twoje własne tłuszcz i krew?
Więc porzuć śmiało post.

A modły twe—błaganie łask?
Mam ścierpieć mord i łup?
A gdy się modlisz—na co wrzask
Czy-m głuchy jest jak trup?

A ręce twe, co zginasz wpół?
Wiem, że są długie zbyt.
Poco swą głowę schylasz w dół,
Czy ci za myśli wstyd?

NIE SĄDŹ.

O, nie sądź, bracie, że świat jest szynkownią,
Gdzie drogę trzeba torować do beczki
Pięścią, pazurem i żreć, pić, jak inni;
Patrzeć zdaleka szkalnemi oczyma,
Mdleć i połykać o głodzie swe śliny,
Ściągnąć żołądek, co w dreszczach dygoce...
O, nie sądź, bracie, że świat jest szynkownią...

O, nie sądź, bracie, że świat nasz jest giełdą,
By mocny słabym, zbir zacnym handlował,
By od dziew biednych kupować ich hańbę,
Od niewiast mleko z piersi, mózg od mężczyzn,
Od dzieci uśmiech niewinny,—co bywa
Nieczęstym gościem na licu dorosłych...
O, nie sądź, bracie, że świat nasz jest giełdą...

O, nie sądź, bracie, że świat dzikim lasem
Dla wilków, lisów, rabunku, oszustwa;
Niebo zasłoną, by Bóg nie zobaczył;
Że mgła jest, by nam na ręce nie patrzeć,
Ziemia—by wessać krew ofiar przemocy...
O, nie sądź, bracie, że świat dzikim lasem.

Świat nie jest karczmą, ni giełdą, ni lasem:
Wszystko się mierzy i wszystko się waży;
Ni łza, ni kropla jedna krwi nie ginie,
Nie gaśnie próżno ni jedna skra w oku.
Łzy rzeki tworzą, z rzek powstają morza,
A z mórz potopy i z iskier pioruny...
Nie sądź, że niema ni sądu, ni sędziów...

9

POBUDKA.

Otuchą krzepcie dziś mój lud,
By mężniał duch na życia trud
I mocno w ręku dzierżył ster!
Nie bądźcie wichrem dla tych skier,
Co w sercach tlą—bo jadem noc.
Lecz pobudzajcie jego moc,
Lecz podsycajcie płomień ten,
Bo jadem noc i śmiercią sen!
Otucha krzepcie wciąż mój lud.

Otuchą krzepcie lud wśród burz—
Niejedną noc on przetrwał już,
Niejeden on już toczył bój—
A w błękit wznosił sztandar swój,
A dumnie pośród burzy trwał,
Jak hardy, granitowy wał...
Otucha krzepcie dziś mój lud.

PRAWDA I KŁAMSTWO.

Kłamstwo jest bez nóg—wszak wiecie—
Tak brzmi w księgach świętych motto;
Kłamstwo jedzie więc w karecie,
A zaś prawda brnie piechotą.

Prawda pada ze zmęczenia,
Z ciągłych marszów ma nagniotki;
Kłamstwo, pełne powodzenia,
Pędzi cwałem, jak kokotki.

I na prawdę bryzga błotem,
Batem ją uderza w lica...
Drwią przechodnie:—Nie wie o tem,
Że trza na bok zejść—nędznica!



J. J. PROPUS.

NOC PORANNĄ MROCZY JAŚNIĘ.

Noc poranną mroczy jaśnię,
Starość się przybliża siwa,
Oko coraz bardziej gaśnie,
W sercu coraz zimniej bywa.

Kwitną, więdną i schną kwiaty,
Wschodzi i zachodzi słońce;
Ja całemi słyszę laty
Tylko wiatry szalejące.

Drwię z starości smutnej, podłej:
Przyjdź, otwarte masz wierzeje;
Chcę zaduszne zmówić modły
Za tęsknotę, za nadzieję.



NOE PRYŁUCKI.

NIE CHCĘ SPOKOJU!

Spokojem w życiu szarem się brzydzę:
Niech-że ja kocham, niech nienawidzę,
Niech wrę, niech dążę, snuję nadzieję,
Niech-że ja płaczę i niech się śmieję,
O, nie krępujcie mi rąk i nóg,
Bym żądzę życia ujawnić mógł!

Niech-że przeklinam, niech błogosławię,
Niech burzę, wznoszę, niech śnię na jawie,
Niech stare światy zwalę do końca,
Niech nowe nieba dźwignę i słońca,
O, nie krępujcie mi nóg i rąk,
Życie bez dążeń jest pełne mąk!



PAULA PRYŁUCKA.

Ż Y D.

Przed czasem zestarzały,
Twarz bladą ma, jak płótno,
We troje zgięty cały,
A oczy patrzą smutno.
Już zaraz od spowicia
Trapiony, uciśniony,
Stałego nie zna życia,
Wciąż gnany na wsze strony...
Rozpaczy szczyt—
Oto jest żyd!
Byt jego w płacz się wciela
I nikt mu łez nie utrze,
Dziś nie zna on wesela,
Z przestrachem śni o jutrze.
Od urodzenia dźwiga
Kłopotów pełną paczkę,

Okrutnie los go ściga...
Wprzęgnięty w ciężką taczkę,
Wlecze swój byt—
Oto jest żyd!
Lecz całe życie godnie
O kraju przodków marzy,
Po ludzku żzć swobodnie
U starych chce ołtarzy,
Czy jednak się doczeka,
Gdy śmierć co kroku czyha?
Kraj przodków lśni z daleka,
A dola dusi licha...
Lecz wiary syt,
On wierzy w świt.
Oto jest żyd!

NASTROJE.

Po kamieniach i po kwiatach
Biegłam z żąszą mą gorącą
By z wiatrami hulać, szaleć
Koić łzy, co spokój mącą

Po dolinach i po morzach
Biegłam tchnieniem mem głębokiem
Czy mię Boży cud przywita
Przyjacielskim swoim wzrokiem?

Po snach mknęłam i po życiu
Upowita w natchnień zorzy
Chciałam marzyć z „nim“ i dążyć
Lecz się cud nie spełnił Boży.

KAJDANY DZWONIĄ.

Kajdany dzwonią, dzwonią, dzwonią
A dźwięk ich płynie w dal błękitną,
Dziś w nich bojownik prawdy jęczy,
Co za ideę walczył szczytną.

Kajdany dzwonią, dzwonią, dzwonią,
I „sprawiedliwość“ czynią godnie:
Wczoraj je dźwigał zbój okrutny,
Co z zimną krwią popełnia zbrodnie.

Kajdany, skruszcie się, stopniijcie
I do przeszłości przejdźcie nocy:
Zbrodniarza wy nie poprawicie.
A wolne duchy drwią z przemocy.

P. M. RASKIN.

PESACH.

Pomnę, jak dokoła dziadka
Siedzi dzieci tłum radosny,
A na dworzu wietrzyk wieje,
Świeże tchnienie nowej wiosny.

Pierwsze słońca lśnią promienie
I twarzyczki grzeją młode,
Złoto leją w dziadka oczy
I mu grzeją siwą brodę.

Kocham dziadka wzrok rozumny,
Zamyślone jego oczy;
W ustach jego—starych dziejów
Zmartwychwstaje kształt uroczy.

Cudne nam obrazy wskrzesza,
W barwy zdobiąc je tęczowe:
Stare bajki opowiada,
Stare, ale wiecznie nowe.

Mówi nam o dniach paschalnych,
Co przybyły do nas w gości,
Mówi nam o święcie żniwa
I o świętych dniach wolności.

Pesach dla nas świętem wiosny
Uroczyście wciąż je czcimy:
O, nietylko piękne wiosny—
Naród ma też brzydkie zimy.

Wtenczas wiosna nasza przyszła:
Srogie były zimy chłody,
Lecz nam słońce wnet przyniosło
Promień szczęścia i swobody.

O niewolnym ludzie prawi,
Co bez kraju, bez ojczyzny
Obcym zamki wznosił, mając
Na swem ciele batów blizny.

Co kajdany dźwigał ciężkie,
Całe wieki znosząc mękę,
Nie próbował więzów skruszyć,
Lecz całował katom rękę.

Nagle mąż się zjawił wielki,
Siła pchnęła go nieznana,
Stargał pęta, przemógł wroga
I zniweczył moc tyrana.

Pojął, że w krzywdzonym ludzie
Drzemie wzniosłych czynów zaród,
Tchórzów zmienił w bohaterów,
Niewolników w wolny naród.

Szlak ciernisty do wolności
Musiał przebyć lud wybrany,
Aż przed wolą jego—morza
Rozstąpiły się bałwany.

Słup ognisty wiary w puszczy
Towarzyszy żydom stale...
Wszystko dziadek opowiada,
Oczy święcą mu w zapale.

„Wtedy wiosna nasza były,
Kres nieszczęsnej, smutnej doli,
Potem lato przyszło piękne:
Byt bez jarzma, bez niewoli".

Powiedz, dziadku, długoż trwało
Lato, czas ten wymarzony?
Głos staruszka nagle słabnie,
W dół ma łzawy wzrok utkwiony.

„Och, i później, dziatki drogie,
Były zimy, pełne zgrozy:
Gęste chmury, nawałnice,
Burze, wichry, grad i mrozy.

Znów od długiej srogiej zimy
Dusza ludu zmarzła skrzepła,
Ileż sił zmarniało, zwiędło
W braku słońca, w braku ciepła.

Naród znowu stracił męstwo,
Wznosi zamki znów za... blizny,
Dźwiga ciężkie obce jarzmo,
Znów bez kraju, bez ojczyzny".

„Powiedz, dziadku, wywróż, drogi
Czy się skończy i ta zima?"
Z oczu starca łzy się sączą,
Odpowiedzi długo niema.

„Tak, kochani, wciąż po zimie,
Wiosna k'nam się zjawia w gości,
Wiecznie jarzmo trwać nie może,
Lud dojść musi do wolności.

Znów się muszą w nim obudzić
Wola, duch, poczucie mocy,
Musi słońce wzejść swobody,
Po niewoli długiej nocy.

Lecz tymczasem, drogie dzieci,
Nim ten czas nastanie sławny
Pesach musi być pamiątką
Li po wiośnie zmierzchłej, dawnej!"

SZOWUOS.

Starym obyczajem biedny i bogaty
We święto Szowuos dom ozdabia w kwiaty.
Lecz choć raźno zwyczaj ten obchodzą tłumy,
Jednak w mojej głowie budzi smutne dumy.
Gdy spostrzegam kwiaty w pełnym ich rozkwicie,
Przedemną powstaje całkiem inne życie.
Widzę kraj nasz stary, co go Boża wola
Ozdobiła w palmy i zielone pola.
Cò tam zboża w polu, traw na sianożęci,
Natura bogata święto zbioru święci!
Tam się czci wesoło święto dojrzewania,
Nie jak w krajach smutku, na ziemiach wygnania.
Męże tam jak cedry, niewiasty jak palmy
Hymny wolne pieją i pobożne psalmy.
A ochocza młodzież: dziewice, młodzieńce
Z pól wracają, niosąc świeżych kwiatów wieńce.

* * *

Wtem głos słyszę z nieba: dość marzyć, poeto!
I miast pól i kwiatów widzę nędzne ghetto.
Och, utracił dawno żyd rodzimą grządkę,
Odtąd ma w szowuos kwiaty—na pamiątkę.
To nie żyd już zdrowy i do czynu skory,
Nie żyd wieśniak krzepki, jeno tułacz chory.
Tu żyd siać zapomniał, młócić i bronować,
Za to się nauczył—cierpieć i wędrować.
Na ten widok serce wybucha okrzykiem:
—Czy na wieki, żydzie, będziesz niewolnikiem?
Czyś na zawsze stracił wolę, moc—zakaty?!
Czy wciąż zbierać będziesz tylko obce kwiaty?
Wciąż po cudzej glebie będziesz deptał grzązkiej,
Bez własnego kwiatka, bez swojskiej gałązki?
Zdala-ż od ojczyzny, jej pól i ogrodów
Wciąż obchodzić będziesz święto pierwszych płodów?!

PO POGROMIE

(Pisano po rozruchach antyżydowskich w Rosji.)

Znów po świecie się roznosi
Pogromowy dziki siew,
Znowu leją się jak strumień
Nasze łzy i nasza krew.

Znów się tułać z miejsca w miejsce
Musi żyd, by znaleść schron,
Znów zbestwione katy hańbią
Cześć sióstr naszych, cór i żon.

Znowu męczennicy nasi
W poniewierce są jak śmieć:
Niepoznani, w grobie wspólnym
Nędzny pogrzeb muszą mieć.

Znowu ofiar jest bez liku,
Co przysparza wroga dłoń,
Znów o pomoc błagać musim,
Chociaż hańba pali skroń.

Znowu stary naród zginać
Przed ciemięzcą musi kark,
Jego broń—El mole rachmim,
Co mu rzewnie płynie z warg.

Tylko jęczeć możem, płakać
I rozpaczy zrobić ruch...
Oto w co się dziś zamienił
Makabejski dawny duch.

Więc pytanie śle w niebiosa
Dumny i świadomy żyd:
—Boże, co jest trudniej przenieść
Naszą boleść, czy nasz wstyd?!

SZCZĘŚLIWEGO ROKU!

Czysto, niewinnie, bez życia brudów,
Wabiąc jasnością nasz mętny wzrok,
Z morza żywota pełnego cudów
Wypływa na świat dziś Nowy Rok.

Witaj nam, drogi, i służ najgodniej,
Jak dobry anioł pośród nas siądź,
Czyń, byśmy byli dumni, swobodni,
O, Roku, nowym naprawdę bądź!

Nowego ducha daj, nowe cele,
Skutecznym uczyń nasz bój, nasz trud,
By nowa radość, nowe wesele
Opromieniały nasz stary lud.

Lata poprzednie się nam sprzykrzyły,
Ty nas, jak ojciec, do serca tul,
By nas minęły,—spraw, druchu miły,
Stare katusze i stary ból.

Stare przekleństwa, stare cierpienia
Zbyt nam życiowy wyssały sok...
Troski wygnania i rozproszenia—
Niech wszystko zmiecie to Nowy Rok!

W KUCZCE.

Noc chłodna, cicha—przestrzeń nieb
Miljonem gwiazd pokryta;
Dziad siwy siedzi w kuczce swej
I w świętej księdze czyta.

Niby brylantów, pereł sznur
Migają gwiazdek krocie:
—Jak długo, dziadku, powiedz mi
Przesiedzisz w swym namiocie?

Milczysz, by żaden wyraz ci
Powszedni ust nie zmazał,
O duchach czytasz?—powiedz kto
Ci z nich się dziś ukazał?

Doniosłą jest modlitwa twa,
Z duchami mowa—słodką;
Odemnie ukłon oddać racz
Prastarym naszym przodkom.

Gdy ojciec Abram zjawi się,
Poznaj go z naszym wiekiem:
Izmael ustatkował się
Już nie jest dzikim człekiem.

Prędzej niżeli Ezaw-brat
Żydowi da kęs chleba:
Od rodzonego brata zbiedz
Do przyrodniego trzeba.

Gdy Izaak zaś odwiedzi cię
Ezawa przedstaw szczęście:
Choć go nie błogosławił nikt,
Moc dóbr mu dały—pięście.

Bez przerwy walczy mieczem swym
O przedmiot niby wzniosły,
A biedny Jakób śle mu w dar
Barany, capy, osły.

Gdy Jakób przyjdzie, prawdę mu
Rżnij bez obłudy cienia:
Z dwunastu dziś zostało mu
Półtrzecia pokolenia.

A lud ten pośród wielu ziem
Labanom licznym służy,
Ma przez „pałeczki“ chleba kęs
Wśród wiecznej swej podróży.

I przed Mojżeszem prawdy złej
Nie skrywaj pod zasłoną:
Lud jego gniecie glinę wciąż
Okrutnym faraonom.

Jak dawniej lud ten krnąbrny jest,
I choć jest dumny wielce,
Niekiedy kornie schyla łeb,
Gdy widzi—złote cielce.

A gdy proroka święty duch
Na ziemię naszą wraca,
Każ mu na powrót prędko iść:
Zbyteczna jego praca.

Mów mu, że tu swój wieszczy byt
Wieść musiałby przedwcześnie:
Nie grzeje nas wymowy żar,
Nie poją jeszcze pieśnie.

Powiedz mi dziadku, ale—ach!
Czemu wytrzeszczasz oczy?
Może już teraz z wyżyn nieb
Przychodzi gość proroczy.

O, widzę, dziadku, że twa twarz
W powagi mgle się chowa,
Odchodzę już, dobranoc ci,
Pamiętaj moje słowa!

NASZE HASŁO.

Dosyć na obcej ciężko orać roli,
Na korzyść innych nieść mozolny trud,
Nie chcemy jęczeć w jarzmie i niewoli,
Obcych utuczać, samim cierpieć głód.

Dość niebotyczne dźwigać piramidy,
Co faraonów wszelkich zdobią kraj,

Czas się wyzwolić z ucisku qhydy,
Zmienić obczyznę na ojczyzny raj.

Czas już niewoli rozkruszyć kajdany
Hańbie wygnania czas położyć kres,
Podnieść na duchu nasz naród nękany,
Czyny wykrzesać z tęsknoty i łez.

Trzeba porzucić płacz gnuśny i zgniły,
Smutek, co cięży na piersi jak kloc,
Trzeba zjednoczyć nasze wspólne siły
W wielką, potężną i owocną moc.

Trzeba pracować z pomyślnym wynikiem,
Siać, by w przyszłości dojrzał piękny płód;
Ten jest nikczemnym tchórzem, niewolnikiem,
Kto o to nie dba, by wyzwolić lud.

Niech naszem hasłem będzie jedność, zgoda,
Wiara w zwycięstwo i swobody maj,
A nas nie minie sowita nagroda:
Lud odrodzony, odzyskany kraj.

PIEŚŃ LETNIA.

Prosisz mnie, luba, bym ci dzisiaj piosnkę
Zaśpiewał letnią o wesołej treści:
—Już mi się pieśni sprzykrzyły żydowskie
—Powiadasz—pełne smutku i boleści.

Nie mogę—mówisz—znieść dźwięków ponurych,
Gdy wszystko wkoło hołd radości niesie:
Kwiatki na łące, ptaszęta w lazurach,
Trawka w dolinie i źródełko w lesie.

Tam, gdzie żniwiarze swoje pieśni dzwonią,
Gdzie dźwięczy śmiech ich pogodny bez końca,
Udaj się, luby, z swą natchnioną skronią
I przynieś dla mnie pieśń życia i słońca.

O, nie znasz, luba, duszy marzyciela,
Poety, który na obczyźnie śpiewa:
Wszystko się dla mnie w czarną postać wciela,
Bólem tchną kwiaty, i kłosy, i drzewa.

Nie naszem ziarnem są zasiane pola,
Nie nasza piosnka rozbrzmiewa w dolinie,
Miast kwiatów—ciernie daje nam niewola,
Z ust naszych jęki, płacz rwą się jedynie.

O gdzie jesteście, doliny i góry,
Ojczyzny naszej, gdzie pola i gaje?
Bez was ja smutny chodzę i ponury,
Bez was i lato szczęścia mi nie daje.

O palmach, cedrach, luba, ciągle marzę,
Lustrzanych źródłach, co srebrem migocą,
A serce moje jest wspomnień cmentarzem,
Na którym pieśń ma roni łzę sierocą.



J. REINGOLD.

MOJA PIEŚŃ.

Wam, cni towarzysze, wam, bracia rówieśni,
Co w znojach trawicie swe dnie,
Wam śpiewam żałosne, mąk pełne me pieśni
I jęk mego serca wam ślę.
Choć nie wiem, czy echem odezwą się w duszach,
Czy czyja zakipi z nich krew,
O mękach wciąż śpiewam, mozołach, katuszach,
Nędzarzom poświęcam mój śpiew.

Stworzyły mą lutnię: głód, nędza, cierpienia,
A w sercu głęboko na dnie
Tkwi ból i bojowo nastrają me pienia,
Do walki z wyzyskiem lud zwie.
Więc nie wie ma pieśń, co to śmiech, co wesele,
Jej nuta: zgrzytanie i gniew,
Lub krwią i żelazem tchną smute me pienia:
Nędzarzom poświęcam swój śpiew.

Estradą mi warsztat, maszyny orkiestrą,
Wtóruję wciąż dzikiej tej grze,
Kieruje zaś majster, kapelmistrz-maestrò,
Bez końca muzyka ta rżnie.
Melodya to stara, ponura, żałosna,
Jak wicher, co wyje śród drzew;
I nie wie ma gęśl, cò to słońce, co wiosna,
Nędzarzom poświęcam swój śpiew.





ABRAHAM REISEN

TĘSKNO MI.

Tęskno mi, luba, więc imię twe szepcę,
A może ty wspomnisz dziś o mnie,
Tak cicho w mej biednej maleńkiej izdebce,
I jasno i mile, choć skromnie,
I jasno i mile choć skromnie—
Lecz nikt nie przychodzi tu do mnie.

Tęskno, najmilsza, i lat młodych żal...
I siedzę, gdy wieczór nadchodzi,
Wpatrzony gdzieś w pustkę, wsłuchany gdzieś w dal.
Wiatr skargi posępnie zawodzi,
I zda mi się—ktoś tu przychodzi.

O WY, PERŁY MOJE!

O, wy perły moje,
Łzy wy me dziecięce,
Czy was pozbierały
Czyjeś dobre ręce?
Po dalekich krajach
I po ziemi całej—
Wszędzie wy się, perły,
Cicho rozsypały,
Pójdę ja po świecie,
Wrócę ja przez życie,
Zbierać perły moje,
Nizając je na nicie.

HURAGAN*).

Uderzył huragan w mą biedną chatynę
I zniszczył dobytek mój cały:
I drogie pamiątki, i życie człowiecze
Ofiarą żywiołu się stały.
Czy mogę się gniewać na burzę i piorun,
Co z ślepą szaleją wszak siłą?
Lecz to mnie oburza, przygnębia i rani,
Że słońce też przy tem świeciło.
Wiatr, burza i piorun—im wszystko daruję:
Spełniły rozkazy nieb godnie,
Lecz jakże tam słońce tak jasno świeciło,
Spokojnie się patrząc na zbrodnię?!

---

*) Wiersz ten jest aluzją do pogromu kiszyniowskiego.

NA NUTĘ PASCHALNĄ.

Przez całą zimę w sercu mem
Czułem ciemności moc przeklętą,
Lecz przyszedł jasny wiosny dzień
I przyniósł z sobą P e s a c h - święto.
Już wyprzątnięty c h u m e c - kwas:
Społeczne waśnie, kłótnie, swary;
Pomknęły wszelkie troski het,
Ponury, zimny smutek stary.
Panuje w duszy s e d e r -ład,
Tak pięknie, jasno i tęczowo,
Pójdź w me objęcia, luba ma,
I w sercu mojem bądź—k r ó l o w ą!

HANDLARZ.

By módz pędzić nędzny byt,
Chodzi z workiem biedny żyd,
Bieży ciągle z domu w dom,
Krzyczy, nie wie, co to srom;
O, jak smutnie głos mu drży,
Gdy wciąż po podwórzu grzmi:
Handel, handel!

Któż jesteście, żydzie mój?
Co was trapi: głód czy znój?
—Na Krochmalnej mieszkam ja,
W dziurze, gdzie panuje mgła,
Z żoną, dziećmi różnych lat,
W zimie wciąż tam wieje wiatr,
W lecie, wiośnie—z nieba łask,—
Słońca tam nie wchodzi blask;
Pędzić wciąż mi każe los,
A mój drżący woła głos:
Handel, handel!

Innych słów mam także moc;
Lecz te zna spokojna noc,
Gdy mnie ona do dom pcha,
Złamanego pracą dnia;
Słowa te w mej piersi wrą,
Zlane łzą, zroszone krwią...
Lecz zadużo gadam już,
Może mnie przepędzić stróż...
Sprzedaj pan, coś: łachman, but,
Bym ukoić mógł swój głód!
Handel, handel!

JÓZEF ROLNIK.

DO CZARTA, KSIĘGI!

Do czarta księgi, ich twórców zatłukę!
Precz mełamedzi, idźcie precz odemnie!
Ja wolę poznać kochania naukę,
I jak być przez „nią“ kochanym wzajemnie.
Wykułem Talmud i komentarz wszelki,
Zbawienie niosłem umarłym i żywym;
Nauki jednej nie poznałem wielkiej,
Jak dziewę kochać i być z nią szczęśliwym.



SARA REJZEN.

ŻYCIE.

Polem krwawego boju jest życie,
Więc weź ze sobą błoń,
Łzy twe i jęki niech płyną skrycie,
Dla ludzi jasną miej skroń.

Życie bezdusznym jest okrutnikiem,
Lecz z dumnem czołem idź,
O bólu swoim nie płacz przed nikim,
Nikt słabych dziś nie zwykł czcić.

Życie jest dla nas krwiożerczym katem,
On stryczek dla cię ma;
Więc walcz i broń się przed strasznym światem,
Li to ci szczęście da.

NOWOCZESNA BOHATERKA.

Gdy ujrzał ją, pokochał wraz,
A jest on znawcą żeńskich kras:
Jej oczy są, jak morza toń,
Przez oddech jej tchnie kwiecia woń,
Jej głos to cudnej skrzypki dźwięk,
Jak dąb ma kształt, jak słońce wdzięk,
Lecz niczem cud jej ócz i lic,
Posagu bowiem nie ma nic.

Nie dla niej stworzon ślubu mirt,
Z nią można wieść jedynie flirt,
A gdy rozkoszy bierze gust,
Można się tulić do jej ust.

Inna jest brzydka niby noc,
Niezgrabna, ciężka jako kloc,
Gruba jak wieprz, lepka jak ćma,
Ale jej papa posag da.

On pierwszą strącił w dół, jak trup,
Z drugą legalny bierze ślub.



MORRIS ROSENFELD.

MOJA PIEŚŃ.

Nie stroik złoty moją krtań
Układa do śpiewania;
Nie możnym niosę korną dań,
Gdy gęśl ma pieśń wydzwania.
To niewolnika płacz i jęk
Do śpiewu pierś mą budzi—
I drga, jak płomień, pieśni dźwięk
Za pokrzywdzonych ludzi.

Ot, czemu nikną siły me
I pasmo dni się zrywa;—
Czem wynagrodzić może mnie
Nędzarza dłoń życzliwa?
Za łzę on też mi płaci łzą—
I oto-m nagrodzony;
Miljony łez mym skarbem są,
I płaczę za miljony.

W WARSZTACIE.

Gdy dziko w warsztacie zahuczą maszyny,
Tak jest mi, jak gdyby mój duch we mnie spał;
Sam w sobie jakoby przepadam bez śladu,
Świadomość zanika—maszyną-m się stał!
Pracuję bez końca, pracuję bez miary,
Już tyle zrobiłem, a praca wciąż trwa;
Dla kogo i na co—nie pytam i nie wiem,
Bo jakże-ż maszyna zamyślać się ma?

Wymarły uczucia i myśli wymarły—
Uśmierca je gorzki i mąk pełny trud;
Najlepszą treść duszy, najczystszą, najgłębszą,
Szlachetne porywy i wzloty—on zgniótł.
Pierzchają sekundy, minuty, godziny,
Przemija mych nocy i dni długich ciąg:
Ot, koło obracam, jak gdybym je gonił,
Nieświadom czynności zdrętwiałych mych rąk.
A zegar w warsztacie nie cichnie na chwilę:
Wskazuje i bije i cyka tu wciąż;—
Ach, pomnę! znaczenie pzedziwne tych cykań
Przed laty uczony wyjawił mi mąż.
Jak przez sen, coś jeszcze dotychczas pamiętam:
Że zegar jakoby mą myśl budzić miał
I... co?... Nie pytajcie mnie, już zapomiałem,
Nic nie wiem, maszyną-m bezduszną się stał!

Lecz nieraz, gdy bicie zegara usłyszę,
Inaczej rozumiem już sens jego słów;
Wrażenie mam nieraz, że woła wahadło:
„Nie próżnuj, do pracy zabieraj się znów!"
I w dźwiękach zegara gniew majstra poznaję,
A w twarzy zegara—jest majstra zła twarz;
Uczuwam, że zegar do pracy nagania
I łaje: „Maszyno, maszyno, szyć masz!"

I wtedy dopiero, gdy wrzawa ustaje,—
W obiadu czas, kiedy już wyszedł mój pan,
W mej głowie zaczyna coś świtać powoli,
Niedolę swą czuję i ogień mych ran.
I gorzkie łzy moje, ach, łzy te gorące
Mój obiad zwilżają, mizerny chleb mój;
Jedzenie mię dusi, nie mogę jeść, biada!
Okrutna-ż to praca, o krwawy-ż to znój!

W południa czas warsztat wygląda, jak pole
Walk strasznych, gdy broni przycichnął już dźwięk;
Wokoło, ach! tyle ciał widać poległych,
Ku niebu się zrywa przelanej krwi jęk.
Za chwilę ryk trąby do szturmu zawoła,
Umarli powstają—znużony ich krok,
I walczą żyjące te trupy—za obcych,
Aż wszystkie padają i chłonie je mrok.

W katuszach na plac ten bojowy spoglądam,
W mem sercu rozpala się zemsta i złość,
A zegar—pojmuję go teraz!—mnie budzi:
„Niech koniec nastąpi, niewoli już dość!"
On myśl mą rozjaśnia, orzeźwia uczucia
I uczy, że chyżo ucieka mój czas:
Nędznikiem jam był, gdy milczałem dotychczas,
Przepadnę, gdy z ścian tych nie wyrwę się wraz!

Ów człowiek, co we mnie spał dotąd, się budzi,
Niewolnik, co czuwał, zapada w sen tuż.
Ha, teraz właściwa godzina nadeszła,
Kres musi nastąpić, niedoli dość już!
Wtem słychać świstawkę—wszedł majster—zgiełk rośnie,
Bój wkoło się wszczyna—faluje tłum głów—
Pochłania mię gwar—o nic nie dbam—nic nie wiem —
Maszyną bezduszną, maszyną-m jest znów!

PRZY MASZYNIE DO SZYCIA.

Spójrzcie na tego człeka tam!
On sił resztkami żyje;—
Lecz bez ustanku, dzień za dniem
Wciąż szyje, szyje, szyje.

Uchodzą dni, miesiące w dal
Za rokiem rok upływa;
Przygarbił mu się wątły kark,
Lecz praca trwa straszliwa.

Z czoła mu ciurkiem kapie pot,
Rumieńce niemoc spędza;
Nie siła już pracuje tu,
Lecz pcha i goni—nędza!

Noc tyle mu wyssała łez,
Od lat już nie schną oczy,—
A każda suknia, którą szył,
We łzach się gorzkich moczy.

Jakiż go jeszcze czeka los?
Trapiony coraz srożej,
Długo-ż ma straszne koło gnać?
Co temu kres położy?

Nie wiem;—lecz tego-m pewny jest:
Gdy padnie raz bez sił,
Wnet inny go zastąpi człek
I będzie szył i szył...



ŁZA NA ŻELAZKU.

W warsztacie duszno, mrok i chłód!
Żelazko pcham—to w tyl, to w przód!
Męczy mnie kaszlu suchy dźwięk,
I z chorej piersi rwie się jęk.

Jęczę i kaszlę, serce łka;
Wilgnie mi oko, spada łza;
A łza ta—mimo ognia żar—
Kipi i kipi wciąż, bez miar.

Znikł sił mych ślad wśród długich mąk—
Żelazko mi wypada z rąk;
A owa łza, ta ciężka łza,
Łza moja wciąż na ogniu drga.

W mem sercu—ból, a w głowie—szum,
Na ustach słów mam gorzkich tłum:
„Łzo, druhu wierny, powiedz mi,
Czemu-to nie chcesz zniknąć ty?

O niema łzo, powiedz mi wraz,
Czy w oku mem jest dużo was?
Czyś jest ostatnią może łzą,
Którą mi dzisiaj losy ślą?

Lub możesz posłem: chcesz mi rzec,
Że zaraz więcej będzie ciec?
I to też powiedz, druhu mój,
Czy skończy się ten ciężki znój?"

Więcej-bym pytań zadał jej,
Tej mojej łzie, łzie ciężkiej mej,—
Lecz słowom położyły kres
Potoki świeżych gorzkich łez:

Pojąłem wówczas, chyląc skroń,
Że wielka jeszcze łez mych toń.

MÓJ SYNUŚ.

Maleńkie dziecię w domu mam—
Chłopczyna to jest chwat:
Gdy ujrzę go, to zda mi się,
Że moim cały świat!

Lecz rzadko, ach, widuję go,
Gdy czuwa—w ciągu dnia;
A w dom gdy wracam, on już śpi,
Bo noc oddawna trwa.

Do pracy mię wygania świt,
A wczas mam w późny mrok:
Obca mi własna moja krew,
Ach, obcy dziecka wzrok!

Dowlokę się do izby mej
Zbolaly i bez sił,—
Od bladej żony słyszę wnet,
Jak grzeczny synuś był;

Jak słodko gwarzył, pytał wciąż:
„Mamusiu, powiedz mi—
Kiedyż-to tatuś wróci już?
Przyniesie dla mnie trzy'?

Słucham, z zapartym szepcąc tchem:
„Syneczku, słuszność masz!"—
Ojcowska miłość pali pierś—
„Zobaczysz moją twarz!"

Już nad łóżeczkiem schylam się
I w dzę, jak snów rój
Porusza drobne wargi mu:
„Gdzie, gdzie jest tatuś mój?"

Całuję błękit jego ócz—
Otwarły się. „O, mów,
Poznajesz tatę"?—Ujrzał mnie
I zamknął oczki znów.

„Tu stoi, skarbie, tatuś twój
I tobie t r z y dać chce."
Usteczka poruszają się:
„Ach, gdzie jest tatuś, gdzie?"

Ból ściska serce me, do dna
Goryczy-m spełnił kruż:
Raz, synu mój, obudzisz się,
A mnie nie będzie już!

ROZPACZ.

O, gdybyż dzień jeden w tygodniu mieć wczas,
Od jarzma być wolnym jedyny choć raz!
I pana zapomnieć skrzywioną, złą twarz,
Zapomnieć, że cierpieć pokornie—los nasz,
Zapomnieć warsztatu i krzyki i huk,
Niewoli straszliwej za sobą mieć próg!...
—Zapomnieć się pragniesz i wytchnąć chcesz ładnie?
Niedługo na spokój ci czekać wypadnie!

Już liście i kwiaty opadać chcą z drzew,
Wnet ptaki zanucą ostatni swój śpiew,
I w szereg cmentarzy zamieni się świat!
Ach, jak-by swą wonią orzeźwił mię kwiat!
I, zanim traw skonu nastąpić ma dzień,
Jak radbym wietrzyka choć raz użyć tchnień!
—Na polu być pragniesz z zielenią i rosą?
Ha, dobrze! zaniosą cię w pole, zaniosą!

Staw srebrzy się w słońcu i ciągnie się w dal, —

Nieziemskie jest piękno i czar jego fal.
Jak mile chłodziłaby kąpiel mą skroń!
Chęć wielka mię bierze zanurzyć się w toń
Bo w pracy staszliwej opadłem tak z sił,
Wyzdrowiałbym, gdybym raz wodą się zmył!—
—Wykąpać się tobie tak bardzo zachciało?
Nie troskaj się, wkrótce obmyją twe ciało!

W warsztacie jest ciemno i kłębi się dym—
Więc bluza ma brudna w podziemiu jest tym!
Podobna-ż, bym jeszcze o czystość tu dbał?
Lecz wszystko za czystą koszulę-bym dał?
Toć godzi się chyba, by prawy mógł człek,
Po-ludzku pracując, być czysty jak śnieg!
—Więc białej odzieży tak prosisz z pokorą?
O, w biel cię niebawem całego ubiorą!

Las wonną świeżością tchnie, drzew jego cień
Jest miejscem, gdzie puściłbym wodze swych śnień
Ptaszęta ślą tęskne piosenki swe tu,
A słodkie ich tony kołyszą do snu...
W warsztacie natomiast duszący jest dym,—
Ach, jakżebym w lesie orzeźwił się tym!
—Ochłodzić się pragniesz? To cóż ci po borze?
Toć cały niebawem ochłodniesz już może!

Jak wielkim bogactwem prawdziwy jest druh!
Przez niego nadzieją pokrzepia się duch!
Przyjaciel prawdziwy osładza nam byt
I w życia mrok wnosi radosny swój świt;
Lecz jam jest sierotą, samotny m jak głaz—
Nie darzy przyjaźnią mnie nikt z pośród was!
—O, będziesz niedługo miał druhów obficie;
Czekają już oni na twoje przybycie!

Choć pierś ma w kaszlu drga chorobliwie,
W zaduchu trawię me dnie;
Dobywam plony na cudzej niwie,
Nie zieję zemstą, żalu nie żywię,
Lecz serce me bólem tchnie.

Wzrok mam schorzały, błędny, sterany,
A oczy są pełne łez;
Zbolałej duszy piekące rany
Na zewnątrz rwą się poprzez łachmany,
Zwiastując mi szybki kres.

Choć rany zieją, krwawią się, pieką,
W podziemiu pędzę mój byt;
Pod zimnych majstrów srogą opieką,
Godziny nudne, jak żółw, się wleką,—
W sercu rozpaczy mam zgrzyt.

Gdy w progi domu wracam wieczorem,
O których od rana-m śnił,
Jam nie człowiekiem już, lecz upiorem;
Z duchem złamanym i ciałem chorem
Na łóżko padam bez sił.

Na drugiem łóżku żona ma leży,
Kołysząc dziecko do snu,
I śpiew żałosny z piersi jej bieży
O doli cichych pracy rycerzy,
A kaszel wtóruje mu.

O swoich dumam i szlochać chce się:
Gdy dzisiaj skosi mię zgon,—
Cóż mym najdroższym jutro przyniesie,
Kto dłoń im poda w życiowym lesie,
Kto chleba da im i schron?

Kto ich nazajutrz pieczą otoczy,
Uchroni od gwałtów, zdrad?
Czy ktoś im otrze spłakane oczy,
Czy ich przygarnie cny lud roboczy,
Czy z torbą puści ich w świat?

Dumam do późnej godziny, w której
Powieki kleją się w śnie...
Lecz ot, zabłysnął ranek ponury, —
Znów mknę, gdzie nędzy syny i córy
W mozołach pędzą swe dnie.

DO LUBEJ.

O luba moja, tyżeś to?!
Czy tu mam snuć miłości nić!
Czy ty naprawdę pragniesz tu
W warsztacie przy mym boku być?

Kochane dziecię, rzuć tę myśl!
Nie tu dla marzeń cichy kąt:
Tu włada żar i gwar i szum —
Zaklinam cię, o, uchodź stąd!

Nie wolno mi cię widzieć tu,
Całować pięknych twoich lic:
Tu wszystko-m sprzedał—dłoń i wzrok
I czas i moc—tu nie mam nic!

Choć śmiercią jest bez ciebie byt,
Na wszystko błagam cię: idź, idź!
Tu wre zacięty bój o chleb—
Kto głodu ujść chce, musi szyć.

Do mej izdebki później przyjdź,
Gdy noc otuli dawno świat;
Tam, wolny, złożę u twych stóp
Mych uczuć żar i myśli kwiat.

Tam oprę skroń o twoją pierś,
Wynurzę treść mych żądz, i śnień
I, pieszcząc dłoń, opowiem ci,
Co dał mi długi, smutny dzień.

Całować będę usta twe,
Gorących łez wypłaczę zdrój;
Najdroższy życia mego skarb—
Skarb lutni mojej—będzie twój.

Do śpiewu natchnie moją gęśl
Twej duszy czar i ciała wdzięk;
I każdy szept twych bladych warg
Obrócę w ton, przekształcę w dźwięk...

Lecz teraz, luba, musisz iść!
Tu miłość traci wszelką moc:
Dla nas nastaje życia świt,
Gdy wszystkich już uśpiła noc.

CZEM JEST ŚWIAT?

Jeśli sypialnią jest ten nasz świat,
A człowiek śpiącą istotą,—
Chciałbym przez życia niewiele lat
Nić marzeń snuć szczerozłotą.

Chciałbym mieć złote łoże, jak król,
Śnić miłość, wolność i szczęście;
By snu nie płoszył mi żal, ni ból,
Ni zemsty ściśnięte pięście.

A jeśli życie—to suty bal,
Z jakiej mnie krzywdzą zasady?
Chciałbym też tańczyć wśród gładkich sal
I miejsce mieć u biesiady.

Ja świetnie trawię najtłustszy kęs,
A trunek mnie z nóg nie ścina;
Czemu chleb jadam, miast smacznych mięs,
I piję wodę—miast wina?

A jeśli znów ogrodem jest świat,
Chcę deptać trawy kobierce;
Nie tam iść, kędy pan puścić rad,
Lecz kędy zapragnie serce.

Na czole chciałbym mieć wianek z róż—
Dość mam korony cierniowej!
I z lubą, chyląc miłości kruż,
Rwać mirty i liść laurowy.

Lecz jeśli placem boju jest świat,
Gdzie słabych zwycięża silny,
Niczem mi ojciec własny, ni brat—
Nad wszystko bój mi jest pilny!

W obronie słabych,—gdzie gnębi wróg,
W sam ogień wpadnę z pośpiechem,
A jeśli kula mnie zwali z nóg,
Potrafię skonać ze śmiechem!

DOKĄD?

Dokąd-to idziesz, piękne dziecię?
Patrz, ziemię jeszcze kryje noc,
I taki cichy wkoło świat,
Nie zabrzmi nigdzie głosu ślad; —
Sen świeżość dałby ci i moc!
Swą główkę we śnie kwiatek chyli,
I w gniazdku jeszcze ptak nie kwili...
A ciebie dokąd-to wiatr gna,

Tak wcześnie już, o, biedna ma,
Nim się zaczęło świtanie?
„Idę zarobić coś, panie."

Dokąd-to idziesz, piękne dziecię
Tak pusto wszędy, taki chłód,
Mrok miasto skrył i zieleń pól,
Spoczywa wszystko, umilkł ból;
I słabnie wciąż twój drobny chód...
A jeśli dzień się nie uśmiecha,
Jak przyjść od nocy ma pociecha?
Noc głucha, ślepa, noc jest zła; —
Dokąd tak późno, biedna ma?
Może na czyjeś spotkanie?
„Idę zarobić coś, panie."

SŁOWIK DO ROBOTNIKA.

Dziś letni jest dzień, dziś cudny jest dzień!
Czy słyszysz ton mojej piosenki?
Słoneczko śle z nieba pąk złotych swych lśnień,
Mej braci skrzydlatej bór pełen jest pień,
A z trawki much lecą pobrzęki;
Zdrój szemrze, w dolinie strumyka brzmi gwar,
Błoń—kwiatów rozlewa woń słodką i czar:
Już dość twojej w fabryce męki!
I tobie przyroda nie skąpi swych tchnień —
Dziś letni jest dzień, dziś cudny jest dzień!
I każdy z przyrody dziś ręki
Radości dostaje, ociera swe łzy, —
Lecz wszyscy pytają, gdzieś podział się ty:
I twoja jest cząstka tu, będziesz ją miał,—
Ach, weź, robotniku, weź dzisiaj swój dział!

Dziś letni jest czas, dziś cudny jest czas!
Motylek już taniec swój wszczyna,

Spójrz, deszczyk się mieni tysiącem swych kras,
Tam góry się piętrzą, zieleni się las,
Zapachu jest pełna dolina;
Owieczki igrają śród kwiecia i drzew,
Pastuszek usłyszał pastuszki swej śpiew —
Już cudów nadeszła godzina!
Nie zwlekaj więc, drogi! Żyć jeden masz raz —
Dziś letni jest czas, dziś cudny jest czas!
Niech trochę zaczeka maszyna!
Tak długo pracujesz już we dnie i w noc,
Tak idzie na marne żelazna twa moc!
Po latach męczarni—radośnie raz żyj
I śmiało z rozkoszy kielicha dziś pij!

Dziś letni jest dzień, dziś cudny jest dzień!...
Ach, krótkie jest pieśni mej trwanie:
Wybije godzina za kilka już mgnień,
Gdy wrony posępnej przesunie się cień,
A moje zamilknie śpiewanie.
Dopóki więc z drzewa dziś nucę ci ten
O szczęściu, miłości złocisty mój sen,
Nie zwlekaj, aż wszystko ustanie!
Nie zawsze niebiosa tak pełne są lśnień —
Dziś letni jest dzień, dziś cudny jest dzień!
Skorzystać zeń trzeba, kochanie!
Podobnie jak ty przy maszynie swej schniesz,
Tak wszystko na ziemi zanika, ach, też;
Króciutkich chwil parę—to żywot jest twój:
O chwilę się spóźnisz—przegrany jest bój!

STARY KRAWIEC.

Przy igle strawił lata młode,
Wiek cały musiał szyć i szyć;
Pot ciurkiem kapie mu na brodę,
Białą, jak ta na igle nić.
Majstrzy go wszyscy mają w cenie,
Każdemu z nich sprzedawał trud;
A jednak puste ma kieszenie,
A żona, dzieci cierpią głód.

W pracowni widać go o świcie,
Gdzie już pracuje w pocie lic.
Zarabia całe swoje życie
I nigdy nie roztrwonił nic.
A jednak wiecznie cierpi biedę
Ten niestrudzony, pilny mąż;
I, gdzie coś dostać znów „na kredę"
Przy pracy o tem myśli wciąż.

On milczy, jak warsztatu mury;
Przed majstrem go ogarnia strach;
Wstrętne mu strajki, awantury,
A święty mu—krawiecki fach.
On milczy, ten męczennik stary, —
Jedynie kaszel mówi zań;
Łzę przykrywają okulary,
A ciągły katar dusi krtań.

Gdy młodsi z towarzyszów grona,
Nań spojrzą, serce im się rwie;
Ten starzec—postać ta skulona —
Straszliwą dla nich wróżbą tchnie.
Już widzą śmierci szpony czarne—
Nagrodę za uczciwy trud...
I oni pójdą tak na marne,
Nim staną u mogiły wrót.

NA SPACERZE.

Słoneczko lśni mile. Przez miejską ulicę
Z chłopczykiem mym idę: wybladłe ma lice
W wystawie się piętrzą owoców tysiące—
On do nich spojrzenia posyła gorące;
To rączkę wyciągnie, to tupnie znów nóżką—
Jak chętnie by spożył rumiane jabłuszko!
Uderza mu serce, napoły przytomnie
To wzrok do owoców kieruje—to do mnie.
O, wiem, czego pragniesz, nieszczęsne me dziecię,—
Lecz owoc nie dla nas dojrzewa na świecie!

Idziemy więc dalej... Z sklepowej wtem szafki
Wabiąco nań patrzą prześliczne zabawki.
Mój chłopczyk z uśmiechem już na nie spogląda,
A potem znów na mnie—czy wiem, czego żąda.
Przymila się, stroi pocieszne swe miny
I gwałtem mnie ciągnie do lśniącej witryny.
Ach, wiem, czego łaknie to serce dziecinne—
Chce także, jak dzieci zabawić się inne.
Chcesz cacko? Czy nie wiesz, kochane me dziecię,
Że cacka nie dla nas istnieją na świecie?

Przysiągłem więc wówczas, że miejskim już szlakiem
Nie będę przechodził z nieznośnym chłopakiem.
On płacze i błaga: „na spacer chce, ojcze!"
Choć wiem, że dlań w domu powietrze zabójcze,
Lecz: „cicho!" mu mówię, a serce mi pęka,
Że dręczy się już ta istotka maleńka,
Że zgrzyt już się wziera w serduszko dzieciny—
Ach, za cóż to wszystko, za czyje to winy?!..
A jednak, hamując swój płacz pokryjomu,
Odzywam się szorstko: masz siedzieć tu, w domu!"

PRACOWNIA

Stoi mizerota —
Dom o starym murze;
Na dole jest karczma
Bóżnića—na górze.
Tam—do pijatyki
Pospólstwo zasiada,
Tutaj—kupka żydów
Nad wygnaniem biada.

Ale wyżej, wyżej
Gdy się kto wgramoli,
Ujrzy izbę mroczną,—
O, biadaż jej doli!—
Rzadko kiedy mytą
I czyszczoną rzadko,
Której brud jest ojcem
A wilgoć jest matką.

W izbie tej się stale
Pracowicie trudzi
I, zda się, bez skargi—
Aż trzydziestu ludzi.
Mężczyzn oraz kobiet
Garstka wynędzniała —
Potargane dusze
I powiędłe ciała!

Tutaj się rozbija
Majster—podła dusza:
Wrzeszczy, klnie, wymyśla—
Jak zwierz, się rozjusza.
Bo on królem tutaj—
Mąż więc, czy niewiasta
Słuchać go powinni,
Słuchać go—i basta.

LEW.

I czemuż wy swój brzuch, do stu!
Pasiecie mięsem tłustem,
A mnie rzucanie kość, jak psu,
Co wszystko zmiata z gustem!

Jak psu, co wciąż bezdomnie gna
I wszystko żre w potrzebie,
A gdy ktoś gnat mu z łaski da,
Jest jakby w siódmym niebie!

Jak psu, co, wiecznie cierpiąc głód,
Za nędzny ochłap wszelki
Pokornie liże panu but,
Jejmości—pantofelki.

Ostrożnie ze mną! Bom ja lew,
Ząb wcale mam nie tępy,—
A gdy mi w żyłach zawre krew,
Rozszarpię was na strzępy!

Znam las, znam step—tam ze mnie chwat,
Ujrzałem dzień pod drzewem;
A kiedy ryknę—zadrży świat,
Struchleje przed mym gniewem!

To nic, że dziś w milczeniu trwam,
Nie sądzcie, żem tak głupi,
Gdy złamię kratę, biada wam!
Obrócę w stos was trupi!

NA CMENTARZU.

Noc cicha. Po niebie szybują mgły czarne;
Lśni księżyc i gwiazdy migocą.
Bóg snu mnie zaciągnął na pole cmentarne,
Gdzie wszystko tchnie śmiercią i nocą.

Kto leży w mogiłach—wie o tem dno dołu;
Złe z dobrem jest w jednym tu szyku,
Ze szczęściem tu ból pogazebany pospołu,
A pan śpi przy swym niewolniku.

Niekiedy wiatr liście u drzew zakołysze,
I słychać przedziwne wyrazy;
Pozatym znów głucho, czuć ciszę i ciszę,
Umarli—ci milczą, jak głazy.

Ach, ileż tu mogił! Kto rzec się odważy,
Gdzie leży człek biedny, pan możny,
Gdzie groby bogaczów, mogiły nędzarzy
Gdzie leży pobożny, gdzie zdrożny?

Błoń wiatru muskają leciutkie podmuchy,
Pieściwie szeleszczą drzew liście:
„O, św ęty wam pokój, samotne wy duchy,
Niech spokój wam służy wieczyście!"

Wtem bóg snu mi rzecze: „Patrz, wkoło kamienie,
Na prawo i tam po lewicy;
Napozór te same pod niemi śpią cienie, —
Czy jednak nie widzisz różnicy?"

Przyglądam się grobom, nie szczędząc uwagi;
Ból serce mi targa i gniecie:
Ten grób taki łysy, ubogi i nagi,
Na tamtym lśni zieleń i kwiecie.

Dlaczego—bóg rzecze—ten grób jest tak łysy,
Jak dobrze spostrzegłeś ty właśnie,—
Nad tamtym lśnią kwiaty i płaczą cyprysy?
Przyczynę ci zaraz wyjaśnię.

„Ten człek, czyj grób zdobi kwieciste okrycie,
Odzierał lud biedny ze skóry,
Trudzącej się rzeszy zatruwał on życie,
Zamęczał jej synów i córy.

Do ust jego krew robotnicza się lała,
On gniótł, dobroczyńcą się mieniąc;
Stąd żył on wygodnie, stąd nabrał on ciała
I urósł w potęgę i pieniądz.

Ten znój wyzyskanych, te łzy, ten pot krwawy,
Co z ludzi wytoczył przed laty,
Dziś kwieciem wytryska, grób zdobiąc plugawy:
To krew robotnicza—te kwiaty.

Nie, inny mieć winien tych kwiatów kobierce,—
Męczennik je winien mieć trudu:
Wydały je mózg robotniczy i serce,
Łzy, męki, mozoły, krew ludu.

Wtem słyszę: szum dziwny, złowrogo wiatr wieje,
Jak gdyby zgorszony grabieżą:
„Oddajcie im kwiaty, oszuści, złodzieje, —
Te kwiaty do biednych należą!“

Wiatr zmienił się w burzę, wiatr huczy i wyje,
Grzmi zdała wrzask dziki, wrzask trupi,
I słychać wołanie, niewiedzieć już czyje:
„Oj, głupi ty byłeś, oj głupi!“

Z mogiły nędzarza ktoś naraz wychodzi,—
Głos woła wyniosły, królewski:

„Ciemięzco, nietylko mych kwiatów tyś złodziej
I trumny twej moje są deski!

„Nietylko twa trumna, lecz całun twój biały,
I pomnik twój, razem z nagrobkiem,
Co masz tylko—nasze to znoje ci dały,
To wszystko jest naszym dorobkiem!"

Duch skończył i w górę się wzbijał z szelestem,
A gromy nie ścichły i wycie;
Wciąż wołał: „Czekajcie, już mądry dziś jestem,
Za wszystko wy nam zapłacicie!"

Ze strachu-m się zbudził, lecz ducha wyrazy
Po dziś mi na jawie się roją:
„Mojemi nietylko są kwiaty i głazy,
Lecz wszystko własnością jest moją!"

DO ZDOBYWCÓW ŚWIATA.

Troszeczkę mniej, troszeczkę więcej...
Czemu tak gnasz, do stu tysięcy!
Ty łowco nikłych cieni?!
Czy płód podłości twej i siły
Wraz z tobą pójdzie do mogiły,
Lub śmierć na życie zmieni?

Mąż czarny ostrzem lśniącej kosy
Najlepsze wytnie kwiaty, kłosy
Na życia twego błoni;
Nie weźmie darów—jest bez skazy,
Wykona czasu wnet rozkazy,
I nikt cię nie obroni.

Niech tylko śmierć się z tobą zmaga—
Wnet pierzchnie moc twa i odwaga...

Ach, jaka straszna zdrada!
Patrz, usta toną w zimnej pianie:
Zawiłe życia tak zadanie
Śmierć rozwiązuje blada.

O pomoc wołasz? Bądź spokojny,
Nie ujdziesz cało już z tej wojny—
Napróżno się zapędzasz!
I cóż zdobyłeś, królu dumny?
Włożono cię do ciemnej trumny,
Umarłeś tak jak nędzarz!

Troszeczkę mniej, troszeczkę więcej...
Dość już pogoni tej zwierzęcej!—
Za każdym, nakształt cienia,
W ślad stąpa szczwany łowca stary
I ciska wszystkie życia dary
Na fale zapomnienia.

WOLNOŚĆ.

Gdy ucho nic dokoła
Dosłyszeć już nie zdoła
Gdy zdawna wszyscy śpią;
Śród niemej ciszy nocy—
Jak gdyby z czarów mocy—
Dostrzegam nagle ją:

Kobietę urodziwą
I silną, lecz—o, dziwo!—
Policzki blade ma;
Włos złoty jej ramiona
Pokrywa, jak opona;
W jej oku błyszczy łza.

Spoziera na mnie w męce;
Podnosi obie ręce:
Z nich zwisa kajdan skręt!
I mówi głosem łzawym:
„Mym zbawcą bądź łaskawym,
Uwolnij mnie z tych pęt!“

Żal chwita mnie głęboki —
Kieruję do niej kroki,
By pęta zdjąć z jej rąk...
Lecz wnet odbiegam: żmija
Potworna, patrz! owija
Kajdany mocne wkrąg.

Na całe krzyczę gardło,
Lecz wszystko, jakby zmarło,
Śpi wciąż kamiennym snem.
„Zdrętwiałe prężcie kości!
By wolność dać wolności,
Do boju hej ze złem!“

I biegnę tu samotnie,
Powtarzam krzyk stokrotnie—
Lecz trwa bez końca noc:
Daremnie pierś się trudzi,
Słodkiego snu tych ludzi
Nie przerwie żadna moc.

Więc widząc jej katusze,
Sam jeden pomóc muszę,
Choćbym miał zginąć tu!
I rzucam się na żmiję!—
Wtym: „głupcze!“ śmiech skądś bije—
I budzę się ze snu...

NIEWOLNIK PIÓRA.

Sądziłem, że w warsztacie źle,
Że lepiej jest w redakcji,—
Lecz ciężki spotkał zawód mnie
I zmusił do reakcji.

To pióro, co służyło mi,
Dziś źródłem jest ucisku:
Kroplami teraz piszę krwi
I mało stąd mam zysku.

Jam niegdyś stroił cały świat
W trykoty, aksamity,—
Dziś obcym już nie szyję szat,
Lecz jestem sam „obszyty"!

Któż dziś złagodzić zdoła mi
Cierpienia duszy srogie!
Ból skrycie w głębi serca tkwi—
Lecz zdradzić go nie mogę.

Otwórzcie mi pracowni drzwi—
Do igły znów zasiędę!
Tocz, majstrze, ile chcesz mej krwi—
Narzekać już nie będę.

Chcę w pracy znów, jak wół, jak koń,
Dni trawić bezprzytomnie;
Lecz sprzedać mogę tylko dłoń,
Pióro—należy do mnie!

PIEWCA W NIEWOLI.

Już nie brzmiała pieśń natchniona
Długie, długie dni, miesiące;
Duch złamany, pierś zraniona,
Muzy mej zagasło słońce.
Płodzę „cięte“ artykuły,
O programy kopje kruszę,—
Zamiast ton snuć z liry czuły,
Słodką pieśnią poić dusze.
Wieszczy cherub pcha leniwie
Rydwan prozy brudno-szary,
Uczuć wzniosłych już nie żywię,
Pierzchły myśli, prysły mary!

Chwastem ma porasta gleba,
Kwiaty chylą główki smętne;
Chwalę wciąż dla kęsa chleba,
Co mi obce, co mi wstrętne.
Rżnę sensacje na skinienie,
Z nędznikami wszczynam kłótnię;
Czy tak zbrukam me natchnienie
I roztrzaskam moją lutnię?
Pióro codzień maczam w błocie,
O powszedniej śniąc potrzebie;
Już nie umiem w pełnym locie
Po fantazji bujać niebie.

Grzęznę, tonę coraz głębiej
W dziennikarskim lepkim kale;
Próżno rozpacz serce gnębi,
Próżno się na los mój żalę.
Biada temu, kto mozolną
Sprzedał dłoń—śród maszyn szumu;
Stokroć biada, kto myśl wolną

12

Na usługi sprzedał tłumu.
Nie, już dłużej nie wytrzymam,
P ekło to porzucić muszę;
Niech już lepiej chleba nie mam,
Ale niech mam wolną duszę!

PIEŚNI Z ULICY NĘDZY.

Z ulicy nędzy płynie dźwięk—
Okropneż to są pieśnie!
Czemu z mej piersi rwie się jęk,
I oko wilgnie? Skąd ten lęk,
Aż serce drży boleśnie?
Ach, pieśń, co w żyłach ścina krew,—
Ulicy-m nędzy słyszał śpiew!

„Rodzynki, migdały" *)... Nie znacież tych słów?
Nad kołyską matka je śpiewa.
Znużona siedzi u dziatek głów,
Nędza ją dusi, lecz znów i znów
Pieśń o „złotej kózce" pobrzmiewa.
Dzieci chorują, mąż skonał śród plag;
Rodzynki—w pieśni, w izbie chleba brak.

Z niewinnych ust dziecięcych brzmi
Piosenka słodka, żwawa...
O pieśni młoda!—przejdą dni,
A czysty dźwięk pochłonie ci
Straszliwa maszyn wrzawa;
I zgłuszy fabryk stuk i gwar
Tej muzyki dziecięcej czar.

---

*) Piosenka o „rodzynkach i migdałach" oraz o „złotej kózce"—żydowska kołysanka ludowa.

Oto badchon*), pośród śmiechu gam,
Dla młodej śpiewa pary...
Warsztatu dzieci! los wasz znam:
Już jutro powrócicie tam,
By zostać po wiek stary
Badchon, śpiewając wam, się śmiał
Och, jabym z głębi serca łkał!

Tam, śpiewkę nucąc, blady człek
Przy prasie swej się męczy;
Dziw, że mu dźwięki niosą lek!
Wtym wzrok mój na cień śmierci wbiegł,
Co tu na skrzypkach brzęczy:—
Pojąłem, że już blizki dzień,
Gdy życia dech uleci zeń.

Z ulicy nędzy pieśni ty,
Co we mnie tchniesz katusze!
Pierś moja dzikim gniewem drży,
Pięść zaciśnięta, w oku skry,—
Zgnieść tę niedolę muszę!
Zawiele nędzy dręczy nas—
Już tę ulicę zamknąć czas!

ADA NEGRI.

Mam siostrę ja rodzoną
W krainie pełnej kras.
Śpiewaków leśnych grono,
Gdy wiosny przyjdzie czas,
Z cudownej jej piosenki

*) Badchon—żartowniś, rozweselający gości na weselach żydowskich.

Brać dla się może wzór;
Jej ton jest słodki, miękki—
Subtelne jego dźwięki
Brzmią, jak aniołów chór.

Pieśniarze i anieli
Ten podziwiają śpiew.
Jej piosnka nie weseli—
W niej żal brzmi, zgrzyt i gniew.
Ból wielki ma w swej lutni,
Opiewa dolę złą;
Nie dla opasłych trutni—
Dla tych, co wiecznie smutni,
Nastraja lirę swą.
N eraz, gdy myślę o niej,
To hołd jej złożyć chcę,—
Więc dzisiaj uścisk dłoni
Za morze ku niej ślę.
I ja mam łez miljony,
Opiewam ból i płacz
Mej braci pokrzywdzonej;
Gorące me ukłony
Od druha przyjąć racz!

DRZEWO Z GHETTA.

W New-Yorskim ciasnym g h e t t o,
Gdzie rwetes miejski wre,
Prastare stoi drzewo,
Zawodząc żale swe.

Zdumione wkrąg spoziera—
I dziwnie tęskno mu:
Samotne, samiuteńkie,
Nieszczęsne jestem tu.

Dym fabryk mam dokoła
    I wrzask kupczących mas;—
O gdzieście, dawne ptaki,
    I gdzie jest dawny las?

O gdzieście, wiatry świeże?—
    Ja wasz pamiętam chór!
O gdzieście wy, lazury?
    Gdzie nieba jaśń bez chmur?

O gdzieście wy, olbrzymy?
    Już nie pędzicie wcwał
Na dzikich swych rumakach,
    Od których las aż drżał!

Wspominam inne czasy,
    I z piersi rwie się jęk:
Ach, dawnych zmilkł olbrzymów
    Srebrnego śmiechu dźwięk!

Jak pięknie słonko lśniło,
    Ptak pieśni nucił rad;
Pogodny i świetlany—
    Ponętny był to świat!

Dziś widzę skrzętne mrówki,
    Spieszące tu i tam;
Z przyrodą człek się rozstał,
    Zamienił ją na kram.

Cóż poczne ja, sierota,
    Na takim nędznym tle?
Zabraliście przyjaciół—
    To weźcie też i mnie!

Zetnijcie mnie toporem
    I rzućcie szybko w piec:
Ja nie chcę—jako pomnik—
    Wolności grobu strzec.

DO KWIATÓW JESIENIĄ.

Kwiaty, wy najcudniejsze na ziemi istoty
Całowane od słońca, utkane z promieni
I z eteru, najmilsi druhowie miłości!
Wy, które-ście do wiosny tu przybyły w gości,—
Jeno dla tych kwitniecie, co zadowoleni,
Lecz obcy wam mdlejący z głodu i spiekoty

Do tych ślecie swe blaski i słodkie uśmiechy
Którym szczęście obficie roztacza swe dary;
Tych, co do-woli w niebios kąpią się błękicie,
Wy, kwiaty, upiększacie jeszcze i stroicie,—
Lecz obce-ście nieszczęsnym, którzy bez uciechy
W pocie czoła życiowe dźwigają ciężary.

Tam, gdzie podłość ukrywa obłudnie swe plamy,
Podnosząc uczciwością ubarwione skrzydła,—
Klawisze opiewają waszą woń i blaski,
A sytych pań i panów sytych grzmią oklaski;
Tam pierś zdobicie dumnej z swej piękności damy,
I rozpusty wieńczycie szpetne malowidła.

Dlatego obojętnie patrzę, jak konacie...
Nie obchodzi mnie wichru pomruk śród gęstwiny;
Nie dla mnie-ście kwitnęły w uroczym ogródku,
Nie dla mnie-ście uśmiechy miały w moim smutku,
Obce-ście mi w dzisiejszej, jak i w dawnej szacie;
Więdnijcie, kwiaty!—nie mam dla was łzy jedynej.

DO CZYTELNIKÓW.

Zjawiłem się, jak w marcu ptak skrzydlaty,
By wieścić wam maj nowy, nowe słońce
I życia skrę w zmartwiałe wetchnąć kwiaty,
Obudzić z snu obszary ziemi śpiące.

Lecz ziemski grunt zamarzły był, zdrętwiały:
Bezkresna błoń—wychudła i jałowa:—
I pieśni me samotnie tutaj brzmiały,
W niczyją pierś ich nie przenikły słowa.

O, świecie zły! dać chciałem bujny plon ci:—
Tyś ze mnie drwił, sypałeś sól na rany:
„Czego on chce, czemu nam spokój mąci?
To warjat jest, przez djabła opętany!

„Jak może kwiat na glebie wzrość wyschn ętej?
Jak może pieśń wydzwonić gwara dzika?
Jak może głaz zaświecić, jak djamenty?
To mrzonkarz jest, rozsądek mu zanika!“

Ale mój śpiew rozbrzmiewał coraz śmielej,
A śmiech przez łzy drgał głośniej i potężniej,—
Potwarcy już wysłuchać mnie musieli,
Przestali drwić szydercy niedołężni.

Obfity plon wydały—„martwe łany“,
Odgłosem z nieb zabrzmiała—„dzika gwara",
Przydrożny „głaz“—roztoczył blask świetlany,
Wcielona w byt została—płonna „mara“

Bo nie zły duch oskrzydlił moje pienia—
Przez lutnię mą mówiła prawda krwawa:
Wszechmocny Bóg użyczył mi natchnienia,
A z piersi mej wybuchnął śpiew, jak lawa

Oniemiał wnet potwarca i szyderca—
Nad pieśnią mą niejeden łkał boleśnie:
Bom ludzki ból wysnuwał z głębi serca,
Kochałem świat, dla niego-m tworzył pieśnie

Pragnieniom mym już uczyniłem zadość:
Dziś miljon serc uderza razem ze mną,
Siałem śród łkań—dziś za to zbieram radość,
Bom znalazł znicz, co noc oświetla ciemną!

ZIEMIA ŚWIĘTA.

O, nie mógę, wielkie ludy świata!
O gościnę kornie błagać was.
Mnie z ojczyzną święty węzeł splata—
Ja w niej widzę tyle czarów, kras.

Pełne łez są moje błędne oczy,
Kiedy dawny swój wspominam blask,
Gdy był moim—luby kraj uroczy
A zaś obcy—prześladowców wrzask.

Gdy nie znałem wiecznej tej pogoni,
Nie wiedziałem, co to „ghetta" cieśń,—
Gdy daleko po Jordanu toni
Echem dźwięczał śmiech mój i ma pieśń.

Gdym owieczki pasał, w dal wpatrzony,
A wokoło kwitł mój łan, mój sad,
W których bujne wydawały plony—
Moje drzewo, kłos mój i mój kwiat.

Jeszcze oczy me się ogniem żarzą,
Gdy zadźwięczy z dawnych czasów ton,
Bo w nim słyszę, jak umarli gwarzą
I ślą nakaz mi z rodzimych stron.

Zda się słyszę głos bliskich mi ludzi:
„Dość się tułać, przyjdź już do nas, przyjdź!"
Serce drży mi, tęsknica się budzi:
„Ach, jak chciałbym po dawnemu żyć!

Zda się świecą znów świątyni mury,
Kwitnie Karmel i Saronu gaj!
Balsam płynie, jaśnieją lazury—
Odżył ludu mego dawny maj.

Póki snuję ową marę błogą—
Godziż się do tych wyciągać dłoń,
Którzy ludu mego znieść nie mogą
I piętnują hańbą jego skroń?

Nie, nie żebrzę dachu, ludy świata,
I nie błagam was o ziemi szmat:
Mnie z ojczyzną stary węzeł splata,
Ona milsza mi, niż cały świat!

NA ROZDROŻU.

Wśród gęstej mgły, znękany, drżąc jak liść,
Ja widzę wkrąg bezkresne szlaki mnogie,
Z góry grzmi głos: „Tułaczu, ruszaj w drogę!"
O, Boże, racz mi wskazać, dokąd iść!

Zbolały, w dal wytężam wzrok i słuch:
Chcę widzieć, skąd mi jasny świt zabłyśnie,
Gdzie droga zła, gdzie można przejść pomyślnie:
Gdzie woła mnie—chcę słyszeć—wierny druh.

Niestety, och! gdzie spojrzę—wszerz i wzdłuż—
Nieznany świat się ciągnie: lądy, wody:
Tu widać las, tam pola i ogrody—
Gdzie znajdę dom? czy jest on bliski już?

Serce mi drży, ból dręczy mnie i strach:
Gdzie znajdę schron, gdzie odpoczynek błogi?
Do ziemi już przyrosły słabe nogi,—
Myśl pnie się wzwyż i buja w złotych snach.

A z ziemi głos potężny woła: „Pędź?"
O, Boże! kres już połóż mojej męce:
Mój przyszły los we Twoje składam ręce,
Ufny, że dasz mi kiedyś ziemi piędź.

Tyś ongi mnie przez wielkie morze wiódł,
Dałeś mi kraj, gdym przeszedł przez pustynię:
Czy także dziś w wędrówce swej nie zginie
Izrael Twój, wybrany przez Cię lud?

Ja słucham Cię, Tyś ojciec mój i Bóg!
Każesz mi iść—więc mknę w szalonym pędzie:
Niech mi Twa dłoń przewodnią gwiazdą będzie—
Niech strzeże mnie od krzywd i błędnych dróg!

I, kryjąc ból, protestu tłumiąc głos,
Ja w rękę kij ujmuję znów tułaczy:
Przyspieszam krok, lecz oko w niebo patrzy,
Bo w Twoją dłoń złożyłem byt i los!

MARSZ WYGNANIA.

Trzymam wciąż wędrowny kij,
Słyszę głos: „Tułaczu, mknij!“
Nie wiem, co to druh, co brat,
Zły jest na mnie cały świat,
Wciąż do cudzych pukam bram,
Dzisiaj tu, jutro tam.
Dnia nie spędzam tam, gdzie noc,
Nigdzie własnej ziemi piędź—
Wiecznie: pędź, pędź, pędź,
Póki tylko służy moc!

Przeszłość ma zapadła w proch,
Słowa me—na ścianę groch:
Moja chwała—zmierzchły mit,
Tytuł mój—przeklęty żyd,
Moje życie—wieczny ból,
A mój wpływ—okrągły nul.
Moja wiara—wyzysk, mord,

Język—gwara dzikich hord.
Moje przyjście na świat—grzech
Pędzę byt, jakby na śmiech,
Sądzi mnie: bat, ogień, miecz;
Zewsząd: precz, precz, precz,
Muszę błagać, ronić łzy,
Gdy oprawca smaga, lży.

Tak przechodzi dzień, rok, wiek—
Ciągle swój przyspieszam bieg:
Każdy pies i każdy bies
Może zrobić ze mną kres:
Lżyć mnie, bić—zyskowny fach...
Wieczny strach, strach, strach,
Wciąż przekupuj, żebrz i proś,
By cię nie zjadł jakiś ktoś,
Gorszy-m nawet jest, niż trup,
Bo mnie nie chce przyjąć—grób!

PROROCTWO.

Cyt... Słyszę głos z krainy zórz—
Więc ucho zwracam doń:
–Odświętne szaty zaraz włóż
I harfę pochwyć w dłoń.

Nie bój się nocy gęstej mgły:
Ni ludu mego snu:
Ty właśnie masz go zbudzić, ty!
Pobudkę zagraj mu.

Niech lud mój dowie się z twych pieśń—
Lud z wszystkich świata stron—,
Że idzie świt, że znika cień,
Że nocy nadszedł skon.

Że dam mu dawny jasny los,
Wytrępię gwałt do cna;
Kajdany cisnąć chcę na stos,
Wygnania wyschnie łza.

Stworzę mu raj, bo już za kraj
Łzy jego przeszły kruż...
Wyzwolin maj ty dziś mu graj!
Cierpienia zgniotłem już.

NASZA ŁÓDŹ.

Ileż łodzi na dno poszło,
Nim ujrzały zbawczy brzeg,—
Nasza łódź wciąż dumnie płynie,
Choć niejeden minął wiek.
Niczym szlak jej niebezpieczny,
Ni bałwanów wściekła chuć,—
Nasza łódź ma żywot wieczny,
Nasza łódź, potężna łódź!

Na największych morzach świata
Ongi wiodła życia dnie:
Na Czerwonem i na Martwem,
A po Czarnym teraz mknie,
Urągała każdej fali,
Co ją chciała niszczyć, psuć—
I spokojnie płynie dalej
Nasza łódź, prastara łódź.

Nie pancernik to wojenny,
Nie technicznej sztuki cud,—
Choć, śród ognia dział spokojnie
Śmiało sunie w dal bez szkód.
Nie pytajcie, gdzie przyczyna,

Nie próbujcie wniosków snuć:
Nasza łódź—to łódź jedyna,
Nasza łódź spokojna łódź!

Zresztą, czemu-to się dziwić,
Że drwi z niebezpieczeństw wciąż:
Toć kapitan jej—człek zdolny,
Doświadczony, dzielny mąż,
Burze znosi z hardym czołem,
Prąd najwartszy umie pruć:
Woda tego jest żywiołem,
Kto prowadzi naszą łódź!

Lecz szalona ta wędrówka
Trwać niedługo będzie już:
Tyle lat łódź nasza płynie
Śród krwiożerczych nurtów mórz,
Podróż kończy się straszliwa,—
Słychać głos: „Kotwicę rzuć!"
Widać ląd—niech odpoczywa
Nasza łódź, tułacza łódź!

SEFIRA*)

Dziś pragnę, by śmiała się trochę ma lira—
Nie idzie jej... Cóż to, u licha, za pech?!
Ach, prawda! toć u nas jest dzisiaj sefira:
Cóż wogóle, zresztą, żydowski wart śmiech?

*) Sefira — siedem tygodni żałoby, przypadające między Paschą (Wielkanocą) a Świętem Tygodni (Zielonemi Świątkami) z któremi się wiąże wiele smutnych wspomnień z historyi żydów, np. rzezie gmin nadreńskich w r. 1096.

Uśmiechasz się, bratku, O, nie, tyś szyderca!—
Czy radość żydowska naprawdę ma sens?
Czy gdy się żyd śmieje, śmiech tryska mu z serca?
On niby się śmieje, a łza spływa z rzęs.

A co za czar samo żydowskie ma życie?
A co za wdzięk—cały żydowski ma los?
Obłoczki srebrzyste igrają w błękicie,
Na dworze tak pięknie...—ty siedź i rwij włos!

W ogródku tak pachnie, lśni słońce, wiatr chłodzi;
Gaj szumi, ruczaju pieściwie mknie prąd...
Cóż tobie do tego? Cóż to cię obchodzi?
Dla ciebie sefira, więc płacz i wleź w kąt!

A lato urocze, ta życia pociecha?
Żyd w łkaniu i we łzach spotyka ten raj.
Oj, drwiąco się ono do żyda uśmiecha:
Czy może go lato pocieszyć i maj?

To nędzarz, co nie ma, gdzie głowy przychylić:
Nim każdy pomiata, jak duży jest świat,
Cóż może mu słowik wyśpiewać, wykwilić?
Cóż powie mu drzewo, co szepnie mu kwiat?

A gdy się żyd w śpiewce oderwie od płaczu,
Czy kiedyś wesela jaśnieje w niej świt?
O, nie! Słyszę w nucie tej: „ruszaj, tułaczu!"
Ton każdy mi mówi, że śpiewa go żyd.

Spróbujcie tej piosnce przysłuchać się sami
Jeżeliście znawcy i wiecie, co dźwięk,
Niechcąco wy wnet zalejecie się łzami,
Bo w niej usłyszycie zgrzytanie i jęk!

Znajdziecie w tych pieśniach dźwięk surmy bojowej
Z walk dawnych, gdy jeden na wrogów szedł stu:
Dziś brzmią one dziko, jak odgłos grobowy,
I mogą umarłych obudzić ze snu.

Psalm rzewny, pokutny i gorzkich pieśń żali—
Ot motyw najstarszy dziś żyda jest nut:
Gdy kraj mu ojczysty wrogowie zabrali,
Bóg zatruł mu szczęście i radość mu zgniótł.

Ach, odkąd wróg zajął ojczystą błoń żyzną
I bożą świątynię zniweczył do cna,
Li szofar*) płaczący jest żyda spuścizną,
I na nim raz w roku dotychczas żyd gra.

Gitary i hafty, i fletnie, cymbały,
I klarnet, i skrzypki, i gęśl—wziął mu wróg,
Wziął wszystkie je, co mu w radości dni grały:
Zostawił jęczący, wyschnięty ten róg!

Dziś, choćby żyd śpiewał hymn wzniosły do wiosny,
Choć śmiałby się, skoczną choć nuciłby pieśń,
We wszystkiem brzmieć musi ton smętny, żałosny,
Wygnania i ghetta w tem czuć będzie cieśń.

Pragnąłem, by śmiała się trochę ma lira:
Nie idzie jej—płonne są chęci me snać,
Ach, tak! zapomniałem: toć dzisiaj sefira,—
Czy wogóle, zresztą, żyd umie się smiać?!

ŻYDOWSKI MAJ.

Znowu przybył maj skrzydlaty—
I swój czar roztacza wkrąg:
Wszystkie trawki, wszystkie kwiaty
Znów zbudziły się śród łąk.

---

*) Szofar — róg barani, na którym się dmie codziennie w ciągu miesiąca Elul oraz w dwa dni Nowego Roku żydowskiego, nawolując do skruchy.

Pola tęczą barw się mienią,
Lasy znowu się zielenią;
Posród wonnych, swieżych drzew
Znów słowika dźwięczy spiew.
Znów maluje ziemię wiosna;
Gdy powiodła pędzlem raz,
Ruń zabłysła wnet radosna,
Cały zazieleniał las.
Znowu słońce z niebios swieci,
W łonie ziemi ciepło nieci
I pieszczotą słodką swą
Do uciechy prosi ją...
Znów zieleni się i kwitnie
Młody ludzkich uczuć sad:
I fantazje cudne szczytnie
Serca zaludniają swiat.
Jasne, złote sny się snują
I budują
Niebios szczyty,
I prowadzą
Nas w błękity:
Wszędy lśnią się
Szczęścia zorze,
Których każdy doznać może.

Lecz—ot z pochyloną skronią
Zbliża się zgrzybiały mąż:
Nad wiosenną kwietną błonią,
Jęcząc, głową kiwa wciąż,
Mózg mu pali myśl żałosna,
Z wiosny wcale nie jest rad:
Jego słońce, maj i wiosna
Prysły już od wielu lat.

Wiecie, któż to ten cień żywy,
Komu maj—to baśń i mit,
Kto, gdy cały świat szczęśliwy,

W piersi ból ma, w duszy—zgrzyt?
To męczennik stary—żyd!...
Nie fantazją jasną wionie
Jego błędny, szklany wzrok:
W jego łonie
Rozpacz płonie:
Stara rana jest związana
Z wspomnieniami zmierzchłej doby:
Zimne zwłoki, trupy, groby—
Zmierzch młodości, szczęścia zmrok!
Kwiatek z grządki, listek z drzewa
Krwawą dłań ironją drga:
Krzak—jakgdyby nań się gniewa,
Każda ptaszka jest nań zła.
Obce kwiaty, obce głogi,
Obcy świat i obcy maj!
Obcy ludzie, obce bogi,
Obca wiosna,—obcy raj!..

O, nie drwijcie ze mnie kwiaty!
Piękne ście—przyznaję wam!
Lecz piękniejsze żyd przed laty
Własną stopą deptał—tam...
W jego kraju—pomarańcze
Żyzną ozłacały błoń,
A przecudne kwiecie—Boga
Własna tam sadziła dłoń.

Powie wam to cedr Libanu
I Saronu każdy kwiat:
Dotąd po ich dawnym panu
Został im w pamięci ślad.
Góra powie wam Oliwna,
Karmel—kraj nasz cały ten!
Zapytajcie pięknych trupów

O zamierzchły piękny sen!
W tej uroczej żyd krainie
Woń Edenu wdychać mógł;
Tam on wzniosłą miał świątynię,
Gdzie mu się objawiał Bóg.
W jego świętym brzmiał namiocie
Archaniołów słodki śpiew,
I radości żyd doznawał —
Bujał wśród niebiańskich stref.

Tam—w nadziemskich natchnień wirze—
Niegdyś żyd na swojej lirze
Wyczarował upojony
Najcudniejszych pieśni tony,
Co z tym czarem i z tą wonią
Nigdy już tu nie zadzwonią:—
Ach, na niemej wierzbie hen
Wisi ludu mego sen!...

Przeminęło już!... Lecz oto
Znowu w marzeń wchodzisz kraj—
Słyszysz, bracie? „Witaj!"—zdala
Wzywa ciebie nowy maj.
Otrzyj łzy swe—nie zginąłeś,
Choć cię długi trapił znój—
Nowe lata, dobre lata
Idą, biedny żydzie mój.
Słyszysz, jak z za chmur opony
Płyną tu niebiańskie tony,
Archanielskich pieśni wiew—
Słyszysz, słyszysz nowy śpiew?
Znowu pachnąć będzie esrog*)
Tysiącami swoich łask.

*) Esrog—rajskie jabłko, gatunek cytryny: używa go się wraz z gałęzią palmową przy nabożeństwie podczas święta „Szałasów".

Znowu śpiewać będziesz, pasąc
Owce swe śród kwietnych łąk:
Znów żyć będziesz, jak przed laty,
Pędząc dni szczęśliwych ciąg.
Po okrutnej twej włóczędze
Pełnym życiem czas już żyć!
Jeszcze będą u stóp Morja
Bohaterskie serca bić...
Nikt cię gnębić już nie będzie,
Kres twych mąk nastąpi wraz:
W domu pozostaniesz swoim,
Jak w ów dawny, złoty czas.
Tylko dzielnie wstąp na ścieżkę,
Co cię w kraj twój zawieść ma!
Przy zapadłym świętym murze
Tli się dotąd żywa skra!...

NA MORZU.

Na morzu huragan w piekielnym grzmi szale:
O, patrzcie, jak wszystko chce porwać do dna...
Po nurcie mknie okręt: niesiony przez fale,
On wije się, skacze, i jęczy, i łka.

Kołyszą się maszty i żagle trzepocą,
Ogarnia go fala ze wszystkich już stron:
Bój krwawy wybucha i wre z całą mocą:
Łódź zmaga się z morzem na życie i zgon.

Lecz płonne okrętu są wszystkie wysiłki—
To naprzód popycha, to cofa go prąd,
Podrzuca go, bawi się nim nakształt piłki,
Wnet połknie go chciwie lub wyplwa na ląd.

Grzmi morze, a fala—jak bestja mknie wściekła:
Gotuje się, warzy i kipi na dnie:

Krwi żąda huragan—morderca, syn piekła,
A otchłań w swą paszczę rwie wszystko i rwie.

Wtem gwar się rozlega; to jęczy załoga—
W strop nieba uderza modlitwa i płacz,
A każdy do swego udaje się boga;
„Od śmierci okropnej wybawić nas racz!"

Ze wszystkich swych grzechów się każdy spowiada;
Krzyk kobiet i dzieci—jak morza grzmi wrzask,
Drży ciało i dusza; „O, biada, nam, biada!
O, zmiłuj się, Boże, i udziel swych łask!"

Jedynie dwuch mężów w trwożliwym tym tłumie
W milczeniu trwa, spokój nie schodzi im z lic;
Na dole w kajucie swej siedzą w zadumie,
Jak gdyby wokoło nie działo się nic.

A morze wciąż huczy i warczy i wyje,
Huragan straszliwy wypełnia swój są
A kocioł i komin—jak dwie syczą żmije,
Zaś oni w milczeniu zajmują swój kąt.

Na morze się patrzą z kajuty podwodnej—
Wichury szalona nie wzrusza ich moc,
Jak gdyby ich na świat wyzionął grób chłodny
W ponurą, bezgwiezdną i mgieł pełną noc.

O kto wy jesteście i czyjeście syny,
Że morza bezdenna nie straszy was głąb,
Że prośby nie macie, ni łezki jedynej,
Gdy śmierć na nas ostrzy krwiożerczy swój ząb?

Naprawdę-ż jesteście synami mogiły?
Nie macie rodziców, ni dziatek, ni żon—
Nikogo, kto byłby wam bliski i miły?
I życie wam jest obojętne, jak skon?

Nie macie-ż ojczyzny i o niej nie śnicie?
Nie nęci was miasto rodzinne i dom,—
Że z niemą patrzycie pogardą na życie,
Nie straszy was śmierć i nie wzrusza fal grom?

Czy modlić się nikt was nie uczył za-młodu
Do Boga, co życie dał wam, jak i nam?
Czy wy ojczystego nie macie narodu
I obcy wam kraj i rodzina i chram?...

Już maszty i żagle rozbite przez fale,
Łódź trzeszczy od razów i jęczy od plag;
Harcują bałwany, zawodzi wiatr żale,
A jeden z tych mężów podróżnym rzekł tak:

O, nie! nie rodziły cmentarne nas łany,
Na świat nie wydała otchłani nas toń:
Nam życie darował też anioł świetlany—
Kochało nas serce, pieściła nas dłoń.

I matka nas czule tuliła do łona,
Ściskała, chodziła za nami krok w krok;
Chowała wśród innych rówieśnym nam grona,
A ojciec swój tkliwy zatapiał w nas wzrok.

Nasz dom nam wrogowie okrutni zniszczyli,—
Co było najświętsze zniweczył nam kat;
A ci, którzy byli nam drodzy i mili,
Bez środków, bez celu rozpierzchli się w świat.

Kochana ojczyzna, och!—dla nas jest wrogą;
Poznacie ją, gdy wam przypomnę jej tło:
Pogromem i gwałtem, zniszczeniem, pożogą
Każdziutkie oddycha ziemicy tej źdźbło.

Żydami jesteśmy! Z nas były olbrzymy:
Dziś świat, jak plugawą wyrzuca nas rzecz!

A chcecie dowiedzieć się, dokąd dążymy?
Nas jankes „do Rosji“ z powrotem gna precz.

Bezdomni my żydzi, nadomiar ubodzy,
A jankes tam goni, skąd przyszliśmy doń:
Cóż świat nas obchodzi—powiedźcie nam, drodzy!
Czym milsze nam życie niż modra ta toń?!

Wy macie—wiem—za czem i tęsknić i płakać:
Ojczyzny dalekiej hen nęci was kształt,
I macie wy czego żałować, co kochać,—
Za morze nie gnały was nędza i gwałt.

Lecz myśmy zbyteczni na ziemskim tu globie,—
Nikt nie chce krzty ziemi użyczyć tu nam,
Nikt na nas nie czeka, nie woła ku sobie:
Jedziemy, lecz dokąd—o, nie wiem ja sam!

Niech grzmi sobie żywioł ten zły, rozpętany,
Niech huczy i wyje i rzuca łódź w dal:
Jesteśmy samotni.—piękące zaś rany
Najlepiej zgasimy śród zimnych tych fal!

KINNOTH*)

Gorzki tren—zgrzyt
Dorocznie żyd
Z łzą świeżą musi nucić:
„Wygnan mój lud,
Splugawion—ród:—
Do kogoż mam się zwrócić?

*) Kinnoth—bolesne pieśni żałoby, recytowane w rocznicę zburzenia świątyni jerozolimskiej.

„Mój wolny duch
Dziś—marny puch,—
Gdzie dawna ma potęga?
Gdzie znajdzie kąt
Narodów trąd—
Ten nędzarz i włóczęga?

„I w noc, i w dzień,
Śród duszy drżeń,
Do Boga łkam: o, biada!
Lecz znać mych mąk
Nikt nie chce wkrąg—
I Bóg nie odpowiada.

„Zajaśniał brzask...
Tyś pełen łask,
Ach, doszły Cię me jęki!..
O, złudzeń szczyt!
Ten nowy świt
Przedłuża tylko męki...

„I z każdym dniem,
Śród obcych ziem,
Wciąż niżej schylam głowę!
I każdy rok
Zagęszcza
I żale śle mi nowe“...

ŚWIECZKI CHANUKOWE *)

I

O, maleńkie świeczki wy!
Baśń opowiadacie mi—
Istnych dziwów świat:
O tym, jak się lała krew,
Wrzało męstwo, pałał gniew
Tam—za dawnych lat...

Patrząc w słodych waszych drgnień,
Śnię—i snu zmierzchłego cień
Błysków szepce grą:
„Pełnią-ś ongi walczył sił,
Żydzie, tyś zwycięzcą był!"
Boże, prawdaż to?

„Ład i zgoda kwitły tam,
Gdy narodem byłeś sam,
Gdyś szedł z wiarą w dal:
Miałeś niegdyś własną błoń,
Miałeś niegdyś krzepką dłoń!...
Ach, jak tego żal!

O, maleńkie świeczki wy!
Dawnych mąk stłumione skry
Rozniecacie wraz:
W głębi serca tak coś drga,
I za łzą się toczy łza—
Co to będzie z nas!

---

*) Chanuka—święto, obchodzone ku wspomnieniu o Makabeuszach, największych żydowskich bohaterach narodowych. W ciągu ośmiodniowego trwania tego święta zapala się co wieczór małe świeczki.

II

Niezawsześmy, jak dzisiaj, byli
Narodem, który ciągle biada:
I myśmy wroga nauczyli,
Że dzielnie żyd orężem włada.

I myśmy też za wiarę swoję—
Z odwagą lwa, z nieludzkiem męstwem—
Rzucali się w śmiertelne boje,
Niejednem wieńcząc je zwycięstwem.

Ale pokoleń szereg długi
Przewinął się na czasu fali:
Osłabliśmy i jasne smugi
Dawnego ducha postradali

Pożarła siły naszej szczęty
Niewola długa i straszliwa,—
Lecz Hasmoneów*) ogień święty
W prawnuków dotąd krwi się skrywa.

I choć potężne, twarde dłonie
Cepami tłukły nasze ciało,
Ten dawny ogień dotąd płonie,
I morze krwi go nie zalało.

Tak w mękach grzęźliśmy po szyję –
Zostały muchy z dawnych męży:
Lecz w nas ideał czysty żyje:
Któż z was, narody, go zwycięży!

---

*) Hasmoneowie — rodzina bohaterska kapłanów z walk żydów o niepodległość w wojnie z Syryjczykami.

MIERZENIE GROBÓW *)

Patrzcie, przedem stara Mina,
A w ślad za nią Pessa idzie!
Mina płacze śród modlitwy,
Pessa zaś rozciąga nić.

I gorące, ciche kapią
Łzy na modlitewnik stary:—
Ledwie dosłyszalnie szepce,
Ze ściśniętem gardłem, Mina:

„Wielki Boże wszystkich światów!
Ja, służąca twa mizerna,
Ciche tu przybytki mierzę—
Sprawiedliwych ciche groby.

„Wszystkie nieme te pagórki
Mierzę teraz, dobry Boże!
Gdzie pobożni spoczywają—
Dzieci twoje ukochane,

„Co zanoszą święte pienia
Przed twój tron w wysokim niebie —
Każdy z pomieszkania swego,
W wiekuiście słodkin śnie...

„A z tej wymierzonej nitki
Zrobi ze czcią i bojaźnią
Świece twa służąca Pessa:
By zakonu się uczono.

„I błagano cię o łaskę,
Obyś zawżdy chciał wysłuchać
Jakóbowych modłów szczerych
I łzy dojrzał Izraela!..."

---

*) Mierzenie grobów — panujący w Polsce i na Litwie obyczaj żydowski: kobiety, którym zachorował ktoś z rodziny albo inna bliska osoba, „mierzą" nitką groby pobożnych nieboszczyków. Nitki tej używa się następnie jako knotu do świec, które się ofiaruje do domu modlitwy.

KIDUSZ-LEWANA *)

Po toni niebios. po lazurze
Za chmurką chmurka żwawo mknie:
Migocą gwiazdy małe, duże,
A księżyc blady ton'e w mgle.

Grobowa cisza las owiewa,
Znikł wokół wszelki życia ślad,
W zadumie niemej stoją drzewa,
Śpią ludzie, ziemia—cały świat.

Daleko—w lasu hen głębinie—
Żyd stary stoi z dzieckiem swem:
Za księżyc prośba z ust mu płynie
Do Pana niebios, wód i ziem:

„Do łaski, Boże, wzywam Twojej,
O, słuchaj głosu mego drżeń!
Niech blask księżyca się podwoi
I świeci, jak w stworzenia dz:eń.

Toć w piśmie twoim mamy ślady,
Żeś wielkie rtworzył światła dwa:
Czemu jest księżyc dziś tak blady—
Blask jego ledwie mruga, drga?"

Modlitwa starca ciszę porze,—
Poważnie się zasłuchał las,
Jej odłos ginie w głuchym borze,
Zapada w zdrój, uderza w głaz.

A dziecko patrzy w niebios tonie,
I myśl mu w główce rodzi się:

---

*) Kidusz-Lewana—błogosławienie księżyca: modlitwa przy ukazaniu się pełni, odprawiana pod gołem niebem.

„Czemu ta gwiazdka jasno płonie,
A tamta ledwe błyski śle?“

Ta myśl mu wielce snać dolega,
Bo ciągle patrzy w gwiazdek jaśń:
„Prawdaż, co mówił mi kolega?
Jam odeń słyszał taką baśń.

„Że bogacz gwiazdę dużą jasną
Ma, której połysk długo trwa;
A biednych gwiazdki małe gasną,
I rychło je zasnuwa mgła.

„Że ludzkich losów świt i cienie
Tłumaczą ot te gwiazdki—patrz!
I kryją szczęście, ból, cierpienie,
Radości, smutki, śmiech i płacz.

„Ta gwiazdka—widzisz—co wciąż blednie,
Czy to nie los, tatusiu, nasz.
Toć w domu u nas zimno, biednie,
A ty masz zawsze smutną twarz.

„Czy, może, ona także z czasem,
Jak tamte, zyska światła noc
Czy się za gęstym schowa lasem,
I ciemna ją pokryje noc“.

Chce nieć odpowiedź ten maleńki.
Ach, ojciec zna ubogich los!
Łzy z ócz mu płymą, z piersi jęki,
Lecz w gardle mu zamiera głos.

KĄPIEL RYTUALNA

Siarczysty mróz... Niewiasty dwie
Dziewczynę piękną wiodą,
By ją przed ślubem, jak Bóg chce,
Oczyścić rzeczną wodą.

„Nie lękaj się, rozjaśnij wzrok—
Pan znak już daje z nieba;
Już zaszło słońce, już jest zmrok—
Zanurzyć się już trzeba.

„Nie grymaś, nie przeczuwaj bied—
Toć Bóg jest z nami wszędzie;
Jak rybka wskocz i wyskocz wnet—
Na zdrowie ci to będzie.“

Ach, wiotkie ciało drży, jak wić,
W zimowej zawierusze:
Gdy żyda chcesz małżonką być,
Zawczasu znoś katusze!

Dziewczyna weszła, wyszła z wód—
O ciepłej myśli szacie:
Nieszczęsna! próżny był twój trud—
Mężczyzną spojrzał na cię!

Znów piękne ciało—pośród drżeń—
Zanurza biedna w toni:
A tamten stoi wciąż, jak pień,
I oczy zwraca do niej.

Mróz tnie, śnieg oczy ćmi, jak dym,
I broi śród powietrza,
Skostniały ręce ciotkom cnym—
Dziewczyna coraz bledsza.

„Zrób, jak obrządek uczy nas,
Nie wzdragaj się, kochanie:
Bluźnierca znikł—wejdż jeszcze raz,
Wejdź, nic ci się nie stanie.“

Nie zmaże tego ludzka dłoń,
Co stoi w rytuale...
Dziewczyna weszła w rzeki toń,
Lecz nie wróciła wcale.

STRUMIEŃ.

Jak długo czas cię będzie gnał,
Wędrowny ty ruczaju?
Kto tobie, powiedz, życie dał?
I w jakim spoczniesz kraju?

—Matką mi wielkiej góry szczyt,
Gdzie cudne kwiaty rosną,
Gdzie z palm zielenią igra świt,
Szybują orły wiosną.

Jasnego nieba czar i noc
Wisiały nad mą twarzą.
Słuchałem w każdą cichą noc,
Jak słodko gwiazdy gwarzą.

Lecz zapragnąłem w dal iść—w dal!..
I spadłem z mej wyżyny:
A od tej chwili bieg mych fal
Mnie w obce rwie doliny.

Dlatego pędzę tu i tam
I wody moje szumią,
I nie masz dla mnie domu bram,
Co ból i troskę tłumią.

I od tej pory gna mnie już
Tajemna jakaś siła,—
Aż raz mnie rzuci w otchłań mórz:
Tam będzie ma mogiła!...

KONIEC ŚWIĄT.

Po świętach!—Od łez modlitewnik splamiony:
Juz esrog wyschnięty, już namiot zniesiony:
Powiędły już liście—niedawne zielone,
I palmę zamarłą ciśnięto na stronę;
Zdeptana gałązka na ziemi widnieje:
Kochany mój, oto są twoje nadzieje!

To leżą powiędłe marzenia świetliste,
To leżą zdeptane radości twe czyste:
Wymarły tu leży świat szczęścia uroczy,
Za którym stęsknione goniły twe oczy:—
To pragnień twych, twojej miłości jaśń złota:
Tu wierny nasz obraz swojego żywota!

Liść gnije—czas kończy zniszczenia już dzieło;
Po wszystkiem—a nie wie nikt, skąd się to wzięło;
Już esrog wywietrzał, już palma złamana,
Służący bóżniczny wymiata je zrana...
Wiatr wionął—i, jakby lecąca w dal strzała,
Z przed oczu nam piękność tak w dal uleciała..

Przychodzę k'wam z krainy muz wspaniałej:
Ow cudny kraj odmienne świty pięknszą—
Tam zużył Bóg swój gienjusz, rozum cały,
Potęgi swej zostawił część największą.

Tam błogo mi, tam ma siedziba główna-
Swobodnie pierś oddycha, dusza marzy:
Tam żaden król mi ziemski nie dorówna,
I dumnie tam z największych drwię mocarzy!

Tam moją skroń korona zdobi złota,
A ciało me anielska tuli szata:
Tak cudne są, że ludzka ich istota
Nie kupi tu za żadne skarby świata!

Gdy tylko chcę—nadziemskie pieśni śpiewa
Słoneczny krąg, srebrzysty sierp księżyca:
A nieba strop tonami się zalewa,
I ucho me upaja i zachwyca.

Gdy pragnę śnić, wyłania się, jak z toni,—
Ramiona z drzew zwracając do mnie swoje—
Cienisty las, barw pełen, dźwięków, woni:
Wstępuję weń i marzę tam i roję.

W krainę śnień świetlanych się unoszę
I snuję tam fantazji nić subtelną:
Polotu jej słodycze i rozkosze
Człowieczą pierś stępiłyby śmiertelną.

Gdy dusza ma uciechy jest już syta,
I ból i jęk pociąga ją i mami,—
Na ziemski glob mnie dłoń prowadzi skryta,
I z wami się zalewam tutaj łzami.

Gdyż wszędzie tu—na nędznym ziemskim globie,
Króluje ból i zgrzyty i rozpacze,
A ludzki śmiech—to śmiech zmarłego w grobie:—
Więc pośród was jedynie łkam i płaczę!

MELODJE ELULOWE *)

I.

Szofaru się odezwał ton—
Niepogód bliskie przyjście;
Na trawy łąk przychodzi zgon,
Z drzew opadają liście.

I ziemia traci piękna znak,
Świat—szarą mgłą osnuty:
Posępnie w borze śpiewa ptak
I wzywa do pokuty.

Tak tęskne tony na ten śpiew,
Jak gdyby nas żegnały;
Ach, pieśń ta w żyłach ścina krew
I serce rwie w kawały!

I szumi wiatr, zajęczał las—
Marzenia swe rozwiewa...
To sądu dzisiaj przyszedł czas
Na drzewka i na drzewa.

O, ludzie! leśne drzewa wy!
Czujecie-ż wichru moce?
Niech młódź i starość zgrozą drży!—
On wszystkich was zdruzgoce!

---

*) Elul—według kalendarza żydowskiego, nazwa szóstego miesiąca (przypada we wrześniu) będącego okresem skruchy i pokuty.

II.

Ach, wietrznie i chłodno...
Patrz, jesień jest blada!
W dolinie usycha już kwiat;
Powaby znikają,
I w senność zapada
Śmiertelną—calutki nasz świat.

Wiatr łamie i zrywa
Powiędłe badyle
I targa listowie śród drzew:
Już bór się spowiada:
Za chwilę, za chwilę
Najświętszy zamilknie też śpiew.

Wędrowne ptaszęta
Szybują w wyżynie
I z nami żegnają się już.
—Kochanie, o gdzież to
Kres dróg waszych ginie?
I kiedy wrócicie z za mórz

I na dół spływają
Żałosne ich tony
A tyle w nich bólu i trwóg:
Ach, wiemy, że musim
W dalekie mknąć strony,—
Czy kiedyś wrócimy—wie Bóg!"

III.

Jest chłodno i burzliwie..:
Po lesie chodzę sam
I zbieram zwiędłe liście
I, patrząc na nie, łkam:

„O liście, martwe liście!
Mnie z wami zrówna czas:
I ze mnie on to zrobi,
Co ot uczynił z was!

„I do mnie wiatr—szaleniec
Ma też niebawem przyjść
I zerwać z drzewa życia—
Pożółkły, zwiędły liść.

„Już nad mą głową czuję
Jesiennych grozę burz,
Już czuję, jak usycham,
Jak na dół spadam już...“

IV.

Minęły cudne lata dni—
Już zima niedaleka.
Jak strasznie szybko—biada mi!
W dal dzień za dniem ucieka.
Niedawno jeszcze śmiał się las—
Dziś zewsząd płynie skarga;
Przejmuje dziwna zgroza nas,
I przestrach duszę targa.

Miłość zapadła w ciężki sen
I marzy sobie w ciszy;
Posępny, przeraźliwy tren
Me ucho wszędy słyszy.
A dusza ma uczuła chłód
I z ciała się wyrywa:
Świat—stary, żywot—pełen zmud,
Przyroda—nawpół żywa.

Ach, czemuż z oczu płynie łza,
Gdy kres nadchodzi lata?

O, czemu serce w bólu drga,
I strasznie pierś kołata?
Ach, czemu mnie ogarnia lęk,
Gdy kwiaty więdnąć poczną,
Gdy wiatru pierwszy dziki dźwięk
Zwiastuje zimę mroczną.

Ja nie wiem, co ten znaczy strach
I co mych łez przyczyną:
Wiem tylko, że co rok w tych dniach
Łzy dziwnie chętnie płyną;
Wiem tylko, że mnie dotknął cios,
Że pełna pierś żałoby,
Że w głębi duszy szepce głos:
Patrz, groby, groby, groby...

STWORZENIE CZŁOWIEKA.

Gdy Najwyższy tworzył ongi
Ten nasz przecudowny świat,
Czynił tak, jak żywnie pragnął,
Nie słuchając żadnych rad:—

Wszystko wedle własnej woli,
Li na własny bacząc plan,
A robotę długą, trudną
Doskonale spełnił Pan.

Lecz gdy doszedł do człowieka,
Jakoś mniej mu gładko szło,—
Zwołać przeto był zmuszony
Uskrzydloną radę swą.

„Wysłuchajcie mnie, anieli!
Zebrać się kazałem wam,

Byście radą mi pomogli,
    Jak człowieka stworzyć mam.

„Bądźcie mi pomocne, dzieci,
    Lecz pomyślcie dobrze wprzód!
Na nasz wzór ma być stworzony,
    Bez wad żadnych, pełen cnót!

„Bo mu władcy berło daję
    I z płomienia mego skrą,
By powietrze opanował,
    Mórz ogromy, ziemię tę.

Jego mocy ma się poddać
    Wszystko tutaj, wzdłuż i wszerz:
Ptak w powietrzu, ryba w wodzie,
    Oraz w lesie—dziki zwierz."

Radę trwoga ogarnęła:
    „Niech człowieczek—proch i dym—
Ma w powietrzu władzę—z czasem
    Przyjdzie w niebie spór wieść z nim!"

Przeto Bogu tak odrzekli:
    „Stwórz człowieka na nasz wzór,
Daj mu rozum, daj potęgę,
    Nie daj tylko—skrzydeł z piór.

„Nie, nie wolno mu mieć skrzydeł—
    Miecza musi mu być dość!
Niech nie wchodzi ten do nieba,
    Kto posiada ziemską włość!"

„Macie słuszność—Bóg odrzecze—
    Mądry wasz anielski sąd;
Lecz wyjątek jeden zrobię—
    Jeden wasz poprawię błąd.

„Skrzydła będzie miał poeta!
Wzniesie się nad wszystkich on!
Wstęp do nieba ma jedynie
Wieszcz i jego lutni ton.

„Z pośród was zaś jeden ma być
Gotów zawsze w dzień i w noc—
Przypiąć skrzydła mu, gdy świętej
Pieśni w nim się budzi moc."

GŁOS NA PUSZCZY.

Na puszczy, na dalekiej,
Gdzie wiatru rządzi wiew,
Samotny ptaszek siedzi
I smętny nuci śpiew.

Żałosnej dźwięk piosenki
Brzmi, jakby odgłos z nieb,
I budzi martwą ciszę
I nagi budzi step.

On budzi martwe nieba
I niemym stepom gra; —
Lecz martwe—wciąż jest martwe,
W niemocie—nieme trwa.

Dla kogo, piewco drogi,
Brzmi twój niebiański ton?
Kto ciebie słucha, czuje?
Toć pusto z wszystkich stron.

Gdy nawet całą duszę
W swój cichy włożysz śpiew,—
To czyją pierś on wzruszy
I czyją wzburzy krew?

Niedługo śpiewać pięknie
Potrafisz, patrząc w dal,
Twe serce rychło pęknie,
Bo je rozsadzi żal.

Oj, próżno pieśnią darzysz
Bezludny dziki kąt:
Samotny tu przybyłeś
I sam ulecisz stąd.

ZNOWU ŚPIEWAM.

Znowu śpiewam! Mojej pieśni
Znów dziś biją zdroje!
Znowu bracia niech rówieśni
Ujrzą duszę moję!
Dolę chcę, niedolę lichą
Opowiedzieć w rymie...
Całe-m lato siedział cicho—
Będę śpiewał w zimie!

Kiedy życia czar zanika,
I wesele kona:
Kiedy zamilkł śpiew słowika,
A już kracze wrona;
Gdy się wątłe lasu szaty
Stają pastwą burzy,
I mróz rzeźbi złudne kwiaty,—
Można-ż milczeć dłużej?

Gdy na niebie niema słońca,
Tej życia osłody:
Kiedy zima trwa bez końca,
I panują chłody;

Kiedy smutku płyną fale
W przyrody zwaliska:
Niechcąc, się zawodzi żale,
I łza z oczu tryska.

Kiedy w śnieżnéj szacie swojej
Drzemią nieme góry:
Kiedy las zziębnięty stoi,
Cichy a ponury;
Kiedy słodki śpiew—pątnika
Już nie wita z kniei;
Kiedy w serce chłód przenika,
I oko się klei:—

Wtedy, wtedy śpiewać muszę,
Bo już słyszę kroki
Maja, co w tę niesie głuszę
Boskie swe uroki.
Poprzez gęstej mgły oponę
Już dostrzegam w dali
Jak gałęzie hen zielone
Jasne słonko pali...

Przeto znowu mojej pieśni
Dzisiaj biją zdroje,
I pokazać wam, rówieśni,
Pragnę duszę moję,
Dolę chcę, niedolę lichą
Opowiedzieć w rymie...
Lutni! latem spałaś cicho—
Dźwięczyć będziesz w zimie!

DO MEJ NĘDZY.

O, nędzo! Tyś mi siostrą drogą
I drużką mą od wczesnych lat
Prócz ciebie, nie mam tu nikogo—
Obcy mi ludzie, obcy świat.

Dokoła siebie czuję zdradę,
Lub serca zimne, jako głaz:
Jedynie twoje lica blade
Śmieją się do mnie w każdy czas.

Ojczulkiem byłaś mi i mamą—
Pamiętam od kolebki cię:
Twe oko mętne wciąż tak samo,
Kościsto-chude ręce dwie.

Do szkółki potem, jako dziecię,
Gwałtem zanosił mnie twój garb
W szczęśliwy wiosny czas—me kwiecie
Małował kir twych mrocznych farb

Byłaś mi także swatką chłubną—
Formalną załatwiłaś cześć;
Byłaś rabinem, druchną ślubną
I tkliwie rzekłaś: „Boże szczęść!“

Gdzie tylko spojrzę—widzę ciebie,
Jesteś mi wierna dziś, jak wprzód:
I na nadziei mych pogrzebie
Szłaś przy mnie do ostatnich wrót

A gdy mą pierś targają bóle
I od rozpaczy pęka skroń,—
Jedynie ty mnie pieścisz czule,
Po przyjacielsku ściskasz dłoń.

O, czuję wciąż twój krok miarowy,
Twych siwych włosów widzę pleśń;
Czoło ci zdobi kwiat grobowy,
Na ustach masz cmentarną pieśń.

Gdy w bólu rzucę się na łoże,
Niepomny życia strat i zdrad,—
Wnet zjawiasz się i w nocnej porze
Tulisz mnie połą czarnych szat.

Więc przyjmij dank, kochana nędzo,
Najdroższa! Tyś z krwi mojej krew!
Zapanuj nad mych myśli przędzą—
Twoją ma lutnia i mój śpiew!...

LISTKI JESIENNE.

I.

Siedzę sam, a dziwnych tchnienie
Uczuć ogarnęło mię
Jakieś, zda się mam życzenie,
Ale nie wiem, czego chcę...
Czy mi życie mąk śle zmory?
Czy radości da mi kwiat?
Tu z nas dwojga ktoś jest chory!—
Ja?—powiedźcie—czy też świat?

Pędzą chwile w życia boju—
Kresu brak pogoni tej,
Ale żadna z nich spokoju
Nie użycza duszy mej,
Nie mam słów, do płaczu-m skory,
Własnych nieświadomy strat...
Tu z nas dwojga ktoś jest chory!—
Ja-ż to jestem, czy też świat?

II.

Miłuję wicher, kocham morze,—
Bo jak ten wicher jestem biedny,
Jak morze, huczy serce me
Kocham ja chmury, kocham noc,—
Bo jak te chmury, płakać umiem,
A jako noc, jest żywot mój.

III.

Świat—taki stary, codzienny,
Żywot—tak nikły i zmienny,
Ziemia—tak pełna plam:
Czas—tak zamglony i lotny,
Człowiek—tak głupi, przewrotny—
Cóż tutaj pocznę sam!

IV.

Dużo-m się śmiał, za to-m szlochał tak wiele!
Ze łzą się zawsze łączyło wesele
Radość stargały zawieje—
Stare to dzieje!...

Mówiłem, lecz często-m nie wyrzekł słowa;
Milczenie było głośniejsze, niż mowa,
Bo z niego bólu głąb zieje—
Stare to dzieje!...
Nienawidziłem i kochałem dużo
Szarpańy codnia pragnień burzą,
Nieba m chciał rozbić wierzeje—
Stare to dzieje!...

V.

Kędy zwrócę kroki swoje,
Gdzie spoczywam i gdzie stoję—
Straszny mam przed sobą cień:
Bladość lice mu pokrywa,
Z oczu łza za łzą mu spływa,

W wyschłej twarzy—ciągłe drżenie,
Z oczu patrzy mu zdrętwienie:—
Strach mej duszy targa rdzeń!

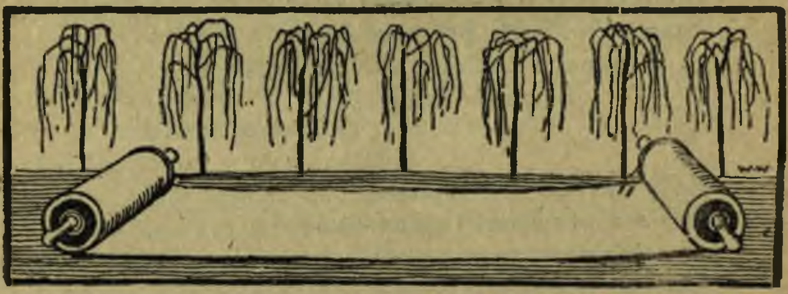
Pisać chcę—na papier wchodzi,
Czytam—w książce go spotykam;
Ach, napróżno go unikam
Ze wszech sił!—on zewsząd godzi:
Przed oczyma błądzi—biada!—
Nieodstępna ta szkarada.
Kiedy w zimny zejdę grób,
Zerwę ten niewolny ślub...

VI.

Daleka—droga, krótki—dzień,
A słońce już zachodzi,
I woda szumi, znika brzeg—
A jam w tonącej łodzi!

Daremny bój! Szalony wiatr
Straszliwa pieśń zawodzi;
Bezkresne—morze, dziki—prąd,
A jam w tonącej łodzi.

O, żegnaj, słońce, żegnaj mi!
Świt jutro znów cię zrodzi,—
Lecz ja—jak groźny morza huk!—
Ach, jam w tonącej łodzi!



CZARODZIEJSKI OKRĘT.

Już ostatni promień słońca
Na śpiczaste pnie się drzewa,
A wieczoru cienie szare
Oplątują ziemię wkrąg.

Na sąsiednich wzgórzy szczytach
Z dali jeszcze zdoła oko
Po ostatnich krokach słońca
Purpurowy dijrzeć ślad.

Długie krwawo-kraśne nici
Wiszą na zachodniem niebie,
W chłodnym kąpią oceanie
Gorejące końce swe.

Senne się ślizgają fale
Skroś wieczoru opon ciemnych,
Które zwolna, drżąc, spadają
Na niezmierne łono wód.

Lekko słaby wietrzyk wieje
Na drobniutkie, ciche fale,
Które szemrzą coś i szepcą—
Któż rozumie mowę tę?

Tu, z żaglami rozpiętemi,
W ogniach mieniąc się zachodu,
Okręt mknie przez wód ogromy,
Ale dokąd—któż to wie?

Wiosłem, zda się, czary jakieś
Poruszają: jak na skrzydłach
Pędzi okręt: może duchów
Hufiec goni za nim wciąż?

Niema majtków w nim: lecz oto
Diecię stoi i zbolałe,

Wsparszy się o maszt wysoki,
Płacze, gorzkie roniąc łzy.

Długie, złote mu kędziory
Na ramiona opadają:
Wstecz ogląda się z westchnieniem...
Okręt zaś wciąż mknie i mknie.

I chusteczką srebrno-białą,
Trzepecącą się w powietrzu,
Pozdrowienia śle zdaleka—
Ono ze mną żegna się...

Moje serce bić zaczyna—
Płakać chce się: cóż się stało?
Ach! to dziecię znam—o. Boże!
Tam ulata młodość ma!...

WSPOMNIENIA.

Pójdźmy, luba, w gaj zielony
    Pod wyniosły dąb:
Tam ci serce me otworzę,
    Duszy mojej głąb
Zajrzysz tam do tajemniczych
    Mego życia ksiąg:
Ujrzysz ogrem tam rozkoszy,
    Ujrzysz bezmiar mąk.
To mi oko się rozjaśni,
    To utonie w łzie.
Piękne, słodkie, młoda lata,
    Gdzie jesteście, gdzie?

Patrz, jak pary suną w tańcu,
    I muzyka gra;

Serce rośnie: znać tu szczęście
Stały pobyt ma.
Raz, dwa, trzy—marsz w środek, luba,
Spędź z twarzyczki pons!
Jak cudowne płyną tony—
Wraz się puśćmy w pląs!
Jak mi błogo—toć na świecie
Wcale nie tak źle...
Piękne, słodkie młode lata,
Gdzie jesteście, gdzie?

Grajże, grajku, jeszcze chwilkę,
Przydłuż nam ten raj!
Gdy szał tańca nas upaja—
Grajże, grajku, graj!
Twoje granie brzmi, jak odgłos
Stu anielskich lir;
Lubej skroń wianuszek zdobi,
Porywa ją wir.
Śpiesz się, luba, bo niedługo
Koniec będzie grze...
Piękne, słodkie młode lata,
Gdzie jesteście, gdzie?

O, ponętne młode lata,—
Czasie złotych snów!
Zamiast zdroju życia—widzę
Czarny grobu rów.
Gdzie jest luba, gdzie są pląsy,
Gdzie ten wianek z róż?
Gdzie ten grajek, gdzie muzyka?
Nie wrócicie-ż już?!
Czy zobaczę jeszcze kiedy
Druhów młodych lat?
Gdzie—na górach, czy dolinach
Wasz odszukam ślad?

Czy mi wolno choć zdaleka
Rzucić ku wam wzrok
I rozjaśnić waszym blaskiem
Dni mych gęsty mrok?
Głupie mary, głupie żądze!
Co czas pchnął w kraj złud,
Żaden człowiek nie powróci—
Płonny jego trud!...

DŁUGA CHWILA.

Siedzę z moim wielkim smutkiem—
Stary, opuszczony mąż:
Oto już po lecie krótkiem,
A ja wzdycham, płaczę wciąż,
Już poczyna więdnąć kwiecie,
Wszystko mdleje, wszystko schnie,
Wiatry srożą się, zamiecie,—
Czegoż mnie się czekać chce?

Ach, jak pędzą życia chwile!
Ach, jak znika czasu ślad!
Jeszcze mam nadziei tyle,
A już ze mnie siwy dziad,
Lata płyną, czas ucieka—
Nie powróci nigdy już:
Ach, toć cały byt człowieka
Chwilą, co się ciągnie w dłuż.

HANDLARKA ŚWIEC.

W zgiełku miejskiego rynku, na skrzynce przy słupie
Siedzi biedna przekupka: oblicze ma trupie,
Kościste, suchotnicze: lecz rysów uroda
Świadczy, że to kobieta całkiem jeszcze młoda.
Nie rozkosz, ni dostatek, ni dobre jedzenie
Zrobiły na jej twarzy takie spustoszenie.
Siedzi i skrycie wzdycha, czuwając u pudła,
A nędzną pierś jej ciągnie dziecina wychudła;
Szkielecik mały płacze, ssie, śpi—lecz od spania
Co chwila odrywają go matki wołania:
„Paniusie, kupcie świeczki, palą się—aż proszę!
Niech los mój lśni tak jasno!—para za trzy grosze!

Towaru ma źdźiebełko, skrzynka—tycia mała,
Lecz dotąd się kobieta sama wyżywiała.
Czy słonko się uśmiecha, czy z nieba łzy płyną,
Siedzi biedna kobieta z wybladłą dzieciną,
Prowadząc ten swój handel,—a nigdy nikomu
Nie skarży się, choć często brak jest chleba w domu.
Zresztą, przed kim ma biadać? martwy słup nie słucha,
A oprócz tego słupa—nie ma ona druha,
Lecz chociaż głod jest u niej gościem nie tak rzadkim,
Nie splamiła rąk swoich jałmużną, ni datkiem—
Ona sprzedać-by tylko swoje świeczki chciała
I chleba sobie kupić—to jej żądza cała.

Ot szabas*) już za pasem: na cześć gościa tego
Ludziska się krzątają, i tłoczą, i biegą:
Ten niesie ryby, mięso, ów—butelkę wódki,
Lecz któż z nich o handlarce pomyśli bladziutkiej?
Kogoż to dziś obchodzą jakieś świeczki głupie?
Gospodyń myśli toną w kompocie i zupie.

*) Szabas—sobota.

A biedaczka wyciąga z świeczkami swe dłonie:
„Dwie świeczki za trzy grosze—jak świt każda płonie!"
Lecz nikt jej tu nie słyszy,—ochrypły głos ginie
We wrzawie gwarnej tłuszczy, w owym ludzkim młynie:
Matczyny tylko słyszy głos dziecina blada
I nań rzewniejszym coraz płaczem odpowiada.

Długoż-to wśród tej zimnej, bezdusznej ulicy
Może wyżyć przekupka, ten trup bladolicy?
Jak długo się borykać będzie z głodem, nędzą,
Nim ją one nareszcie w mogiłę zapędzą?
Czy długo jeszcze piersi jej potrafią wiotkie
Wyżywiać nawpół żywą niewinną istotkę?
Matczyną wprzód łyknęła łzę czasem ta mała,
Lecz teraz matka wszystkie już łzy wypłakała:
Już nie ma czego żłopać pijaczka maleńka,
Matka ledwie oddycha i serce jej pęka,
Ale z warg jej wyschniętych wciąż słychać wołanie:
„Mam świeczki na sobotę—kupujcie je panie!"

Na rynku cicho: święta przybywa sobota,
A na chodniku stoi koszyczek—sierota,
Obok niego przy słupie w zadumie głębokiej
Zdrętwiała postać siedzi—to handlarki zwłoki.
Nikt o tem jeszcze nie wie, nikt nie spostrzegł trupa—
Bogaczom dzisiaj głowę zaprząta spraw kupa;
Toć przeddzień jest soboty, więc wedle porządku—
Należy przedewszystkiem myśleć o żołądku,
Któż mógł więc zauważyć tak błahe zdarzenie?
Tymczasem rynek nocy okrywają cienie,
Na niebie się ukazał księżyc srebrnolicy,
A ludzie widać szabas poszli do bóżnicy.

W bóżnicy dziś tak schludnie, tak jasno, tak mile;
Kantor śpiewa, w głąb serca wchodzą jego tryle,
Lecz czemu świecznik jakby dotknięty niemocą?
Świeczki ciemno się palą w nim, ledwo migocą?

Nie mogą snać narzędziem być pustej parady,
Bo one śmierć swej drużki opłakują bladej;
To jej świeczki? bogaci, w spóźnionej swej skrusze,
Zapalili je tutaj za dwie zgasłe dusze.
Ba! bogaci uczynią wszystko dla zmarłego—
To święty obowiązek!... Żywy—co innego!
Najgłówniejsza rzecz—dusza: ciało to puch marny,—
Po śmierci się zawozi je na łan cmentarny.

Przyjaciółki nieszczęsnej, świeczki! wy musicie
Zaświadczyć, że dwuch istot zatracono życie;
Że, gdzie żyją w dostatkach opaśli nędznicy,
Nędzarze umierają z głodu na ulicy:
Że, gdzie na zbytki pieniądz, jako wosk, topnieje—
Tam śmierć głodowa—zwykłe ludzi pracy dzieje!
Oświetlać czy się godzi ten świat zły, wszeteczny?
Schowajcie, świeczki, blask swój na sąd ostateczny!
Niechaj tam przy wspaniałym Przedwiecznego tronie
Wasz blask, świeczki-duszyczki, jak słońce zapłonie;
I światło rzućcie stamtąd na nasz padół krwawy,
Gdzie dla jednych—śmierć z głodu, dla drugich zabawy.

BEZBRONNY.

Jak bohater, gdy na placu
Boju zgubił swoją broń,
Celem wszystkich jest pocisków,
A bezsilna jego dłoń:

Bez nadziei—w boju życia,
Gdzie się wszystkich waży los,
Stoję i—struchlały—czekam,
Aż mnie czasu dotknie cios.

SIWE WŁOSY.

O, siwe włosy, kwiaty mogiły!
Wasz widok strachem przejmuje mnie:
Jakoście bardzo prędko przybyły...
Czy śmierć was do mnie w poselstwie śle?

Czy życia mego blask gaśnie snadnie
I skon się zbliża—ten bytu cel?
Toć już miast kwiatów—zima szkaradnie
Przystraja głowę mą w śniegu biel!

Nie tchnij tak mrozem, zimo, dokoła—
Niech śnieg nie smaga mię w twarz, jak bat!
Toć-że nic nie mam, co rozgrzać zdoła—
Zimny jest dla mnie calutki świat.

Pierzchłe, co było mym ideałem,
Złotych nie ziścił się przedmiot śnień;
Napróżno oczy me wypłakałem,
Próżno-m z tęsknoty osłabł, jak cień.

Com wielbił—porwał prąd zapomnienia;
Znikł bezpowrotnie błogi czas ten,
Gdym w lot się zrywał, gdym snuł marzenia
I wierzył w szczęścia ułudny sen.

WIECZNA TAJEMNICA.

Przedmiot wzgardy i kochania—
Wszystko jedno Nic pochłania.
Rwie w nieskończoności dal,—
Tam, gdzie niknie śmierć i życie,
Gdzie prasiły przędą skrycie
Ciszę śród wieczności fal.

Dziwnych myśli gęste mroki
W piersi budzą strach głęboki,
Gdy pomyślę, pełen drżeń,—
Że ten żywot nasz, pragnienia,
Żale, czyny i dążenia—
Że to sen jest, nikły cień.

Gdy pomyślę, że szlachetni
Cierpieć muszą, jak źli, szpetni,
Że ich wszystkich łączy grób;
Że, co jasność rozdzieliła,
Związać może mroków siła—
Serce pęka mi śród prób!

O, nieskończoności ciemna,
Nieobjęta i tajemna!
Nigdyż nam nie błyśnie świt?
Wszystko tłucze i kaleczy,
I rozprasza i niweczy—
Twoja Nicość czy twój Byt!

GDY CIERPIĘ.

Wobec mąk mych—gdy milczycie,
Myślę nieraz: może wy
Współczujecie mi—bezradni...
I w mem oku stają łzy.

Lecz, gdy wobec cierpień moich,
Rozprawiacie pośród drwin
O mych mękach, mej niedoli;—
Jam na straszny gotów czyn!

Wtedy chciałbym w swoje dłonie
Chwycić świat, jak garstkę piór,
I roztrzaskać go, jak Samson
Ruszył niegdyś z posad mur.

Padnę, lecz i wy padniecie!
Co mnie spotka, to i was!
Gdy żyć razem nie możemy—
Umrzeć możem wszyscy wraz!

OSTATNIE ŻYCZENIE.

W życiu uciech jest niemało,
Lecz snać na mnie los jest zły:
Z tego, co się mnie dostało,
W oku łzy mam wciąż i łzy.

Przeto wiecznie łkam i płaczę
I do śmierci wołam: „Przyjdź!"
Zabierz bólę i rozpacze—
Dalibóg, nie warto żyć!

Ledwie wzejdzie słonko boskie,
Wschodzi też mej nędzy mrok:
Żal, katusze, biedę, troskę,
Widzę, gdzie skieruję wzrok.

To mi duszę rwie na ćwierci,
Rwie krew z ciała, z mózgu—szpik,
Czego zwlekasz, władco śmierci?
Przyślij wnet ją, przyślij w mig.

Śmierć mi będzie tkliwą siostrą,
Zbawicielką będzie mi:
Kosę jej uściskam ostrą,
Niechaj przetnie nić mych dni.

Śmierć marzeniem moim całem,
Jak na ucztę spieszę w grób;
Dość na świecie już cierpiałem,
Śmierci droga, koniec zrób!

WALT WHITMAN.

O ty, w którego rozśpiewanej piersi
Potężnie dwie otchłanie się złączyły:
Głębina niebios promiennego rana
I ziemi głąb, milczeniem głuchym skuta;
W którego sercu żarzyło się słońce
I srebrzył miesiąc, gdzie jaśniały błogo
Orszaki gwiazd—dalekich światów bezmiar
W którego sercu zieleniały maje
I gdzie huk gromu zgodnie się kojarzył
Z szczebiotem ptaszka, ze słowika trelem;
W którego śpiewie czarodziejskim żyje
Przyrody cała wszechmoc i bezkresność:—
Proroku nieśmiertelny, wielbię ciebie
I w proch upadam przed twym wielkim prochem.

SŁOWIK CMENTARNY.

Gdzie się wznoszą tamte wzgórza,
Gdzie doliną idzie szum,
Stary cmentarz się wynurza:
Na nim jest pomników tłum.

Stare groby, nieme głazy,
Grubym porośnięte mchem;
Co rok może parę razy
Dotknie stopą ktoś tych ziem.

Stare wierzby, wyschłe drzewa
Smętne w dal spojrzenia ślą,
Martwa cisza je owiewa,
Przeraźliwą zgrozą tchną.

Zrozpaczonym okiem patrzy
Na pagórki znów i znów

Najcudniejszy nasz śpiewaczy
Ptak—cmentarny słowik ów.

On żałobne nuci pieśni,
Z sęku skacząc wciąż na sęk;
Dla leżących w grobów cieśni
Płynie onych pieśni dźwięk.

Jakże strasznie jego trele
Pośród mogił drgają tam!
Lecz on właśnie chętnie, śmiele
Śpiewa u cmentarza bram.

Nie wiosenki uśmiech błogi,
Nie anioły i nie bogi—
Prawy dziś opiewa wieszcz;
Nie strumienie, pól makaty,
Który jeno ma bogaty,—
Ale grób, budzący dreszcz.

Nędze widzi on, katusze:
Z ran, co pieką jego duszę,
Nieustannie bucha krew;—
Na cmentarzu wielkim świata
Z jego lutni w dal ulata
Smutku, bólu pełen—śpiew.



ŁZY.

Utkwiła we mnie wzrok i zapytała mnie:
O, starcze, powiedz mi, czemu twe łzy są białe?
Co ci rozsadza pierś, co z ócz wyciska łzę?...
Ja rzekłem, dziecko me, odkryję-ć serce całe.

Mój smutek długo trwa wśród łez perlistych ros,
Za rokiem mija rok, straszliwej pełen treści,
Ot widzisz białe są, jak białym jest mój włos:
Uczynił białym go los cierpień i boleści.

Spojrzała na mnie znów i wyciągnęła dłoń,
Współczucia pełen wzrok posłała w moją stronę
I zapytała mnie, w łez moich patrząc toń:
O, czemu, powiedz mi, łzy Twoje są zielone?

Czy nie wiesz, dziewczę me, że łez mych wielki kruż
Zupełnie próżny jest, płacz stracił swą osnowę,
Dziś tylko śmiać się w łzach, dziś tylko szydzić już
Potrafję, więc me łzy zielone są, żółciowe.

Płakała ze mną wraz, zraszając liczko łzą,
Pojęła wnet mój ból i życia ciężkie brzemię...
O powiedz, starcze mi, dlaczego czarne są
Te łzy, co zwolna z ócz spadają ci na ziemię?

O, dziewczę, główkę schyl, zagadki znajdziesz klucz,
Marnować po co czas na pustą mam gawędę?
Łzy przeto czarne są: źrenicę czarną z ócz
Wylewam bowiem dziś i płakać już nie będę.

ROK 1861.

W Warszawie znikły wyznaniowe zwady:
Tłumy polaków i żydów gromady
Na placu klęcząc, modłą się do Boga:
—O, Panie, pomóż nam wypędzić wroga
Dość już uciskał nas moskal nikczemny,
Wyszliśmy wreszcie z kryjówki podziemnej,
By mocną ręką i głową udolną
Wspólną ojczyznę odbudować wolną.

Z zamku straszliwie grzmią moskiewskie działa,
Padają polskie i żydowskie ciała:
—Podła hołoto, za twój bunt zuchwały,
Poznasz, co turmy i karne oddziały,
Nieprawomyślność swą opłacisz krwawie...
Lęk'iwsi rychło pierzchają w obawie,
Lecz ich wstrzymują, czując rozkaz boski,
Ksiądz katolicki i rabin żydowski.

Słowa duchownych spokój krzewią błogi:
—Bracia rodzeni, pozbądźmy się trwogi,
Stójmy odważnie, bo choć różni wiarą,
Jedną w ojczyźnie przeszłość mamy starą;
Gdy moskal ujdzie, żydzi i polacy
We wspólnej świętej połączą się pracy...
Rabin i kapłan ściskają swe dłonie,
Na znak, że jedno uczucie w nich płonie.

Tak dwaj pasterze, idąc przed gromadą,
Krzepią modlitwą ją, pieśnią i radą;
Pieśń narodowa z pobożną się splata,
Żyd obejmuje polaka, jak brata.
Wzwyż przed kościołem mkną czapki, jarmułki;
W bóżnicy wszyscy modlą się do współki,

By dobry wynik był świętego dzieła,
Śpiewając: „Jeszcze Polska nie zginęła“!

. . . .

Co widzę? Próżny kościół i bóżnica,
Posępne cienie mroczą wszystkim lica,
Niedawnej zgody znikły wszystkie ślady,
W zacisznym kącie stoi rabin blady,
Twarz załzawioną obrócił do wschodu:-
—Prędko przeminął szał tego narodu:
Polak i moskal—o, co za ohyda!—
Wołają zgodnie: duśmy wroga-żyda!





Z. SEGAŁOWICZ.

W KAZIMIERZU NAD WISŁĄ.
(fragment z poematu.)

Boże! Gdybyśmy wielkie morza mieli,
Tęsknotę moją ukryłbym wśród burz...
Sam na sam z drogą wolnością w topieli
Błogosławieństwo słałbym nurtom mórz...
Gdyby nam skały zesłali anieli,
Co zrębem—chmury niebne tną jak nóż,
Na sam szczyt wszedłbym conajwyższej skały,
By wsie i grody u nóg mych leżały.

Nieliczni jednak rzucają doliny
I mężnie na szczyt wspinają się gór,
Nie każdy lubi samotny, jedyny
Skracać swe wczasy w towarzystwie chmur,
My inną rozkosz mamy, judzkie syny:
Gliniaste rzeki, do których jak w rów

Przy t a s z l i c h*) corok grzechy
Do nieba jęków śląc żałosne gamy.

Gór pasma u nas są gośćmi rzadkiemi
Dziecięciem dolin jest nasz polski żyd...
Więc do Kaźmierza tęsknię, do tej ziemi,
Gdzie bodaj wzgórki słodzą ludzki byt...
O twych ruinach mówią nawet niemi
I kozy sławę niosą ci, nie wstyd;
Kościół na górce, co po przez ulicę,
Dumnie na „wielkie“ patrzy kamienice.

Brodatą widzę naszą brać kochaną,
Faktorów, kupców—oto dzierżą straż:
Zgarbieni, bladzi... Żony ich co rano
We Wiśle myją chudą, czarną twarz,
Chłopaków bosych ilość nieprzebraną
Z pięknemi licy i oczy tu masz,
Ubraną w cyces—tu człek mocny w wierze—
Ot dziewa z płaczem ślub w bóżnicy bierze.

Przewoźnik stary modli się przy Wiśle,
Nie mówi z nikim, dumny niby król,
Sam arycykapłan powstaje w umyśle,
Gdy siwy mąż ten w nurt leje swój ból...
Ale do rzeczy... Bieg koni nakreślę,
Wśród gór kredowych i zielonych pól:
Z tej strony — góry, jak do nieba schodki,
A z tamtej — pola i szum rzeki słodki.

---

*) TASZLICH—obyczaj, według którego w Rosz-Haszana (Nowy Rok) żydzi zbierają się na brzegu rzeki i wypróżniają z kieszeni okruchy chleba dla ryb, co zarazem symbolizuje wyrzucanie grzechów, przyczem odmawia się odpowiednie modły i urywek z proroka Micheasza, gdzie znajdują się słowa: „I ciśniesz (w'taszlich) do otchłani morskiej wszystkie ich grzechy“.

Żegnaj mi, cudne ubogie miasteczko!
Do miasta jadę, gdzie króluje dym...
I tam wre handel, choć nie sianem, sieczką;
Tam przedmiot targu: cnota, wiara, rym,
Tam bratniej duszy nie znajdziesz ze świeczką,
Przyroda czarem nie upaja swym...
Żegnaj! Mój furman jak cadyk wygląda,
Śpi niby niedźwiedź, a chrap ma wielbląda.

Snem zarażony, powoli sam drzemię,
Piękny mnie w wozie ukołysa sen:
Kazimierzową widzę we śnie ziemię:
Dziewczyna trzyma uzdę: włos jak len,
Tu tych piękności bardzo liczne plemię,
Liczniejsze niżli wśród stołecznych scen...
Już gdzieś widziałem ją, a teraz ona
Namiętnie ku mnie wyciąga ramiona.

Wtem wszystko znika... Wóz mną wściekle wstrząsa,
Furman się zbudził i wyciera wzrok,
Na słup najechał, gniewnie wargi kąsa,
Odtąd uważniej śledzi koni krok...
Wokoło drzewa stare, bryka pląsa,
Zgraje wron płoszy, tych krzykliwych kwok,
Co na złość dzisiaj przeraźliwie kraczą,
Większą mnie jeszcze przejmując rozpaczą.

Na niebie księżyc ukazał się złoty,
Żyd drogą idzie, na karku ma wór,
Krok wolno suwa i pełen tęsknoty
Wzdycha żałośnie do rodzimych gór...
Żegnaj Kaźmierzu, mary me i psoty,
Już słyszę turkot wielkomiejskich fur...
Zagwizdnął pociąg—dość przyrody dzikiej,
„Kultury“ słychać wstrętny zgiełk i krzyki!



N. SOKOŁOW.

MENTOR GAZECIARSKI.

Wiosna—zapewniam jako znawca—
Najlepszy gazet to wydawca:
Wypuszcza cały rocznik duży
Numerów przednich z jednej róży;
Las wstępne szumi artykuły,
Depesze śle śpiew ptasząt czuły,
A strumyk—czytelnicze trzody
Poi praśnemi kronik wody;
A feljetonów słodkie miody
Znosi motylek srebrno-siny,
Że aż z rozkoszy łykasz śliny...
Korespondencje nam specjalne
Bąki, chrabąszcze brzęczą walne...
Niech czci świat cały, wszelki kraj
Mentora redaktorów—maj!

TEODOR SOŁOHUB.

LEGENDA.

Pod dźwiękiem cudnej harfy
Swe psalmy Dawid składał,
I wtedy wiatr w pokorze
Na ziemię cicho padał.

I wody już nie ciekły,
Ptaszkowie byli niemi,
Hymn jeden tylko dźwięczał
Po wszystkich krańcach ziemi.

A gdy się Dawid męczył,
Śpiewając hymn Jehowie,
Wnet zewsząd pospieszały
Zluzować go ptaszkowie,

I wody zaszumiały,
Wkrąg sławiąc imię Boże,
I chwałą wielogłosą
Wtorzyło im przestworze.





JAKÓB STEINBERG.

MOI CZYTELNICY.

O, gdzie przebywasz, cny czytelniku?
Co dla cię dźwięczą moje ballady?
Czy w sklepie siedzisz, wśród zgiełku, krzyku,
Czy mkniesz z mą pieśnią na barykady?

Czy w palestyńskim pracujesz sadzie
I pot z kraśnego płynie-ć oblicza?
Czy paki dźwigasz gdzieś tam w Kanadzie?
Czy ci Australja schronu użycza?

Lub może w cichym bóżnicznym kącie
Wśród galicyjskiej ghettowej cieśni,
Przy drżącym świeczki łojowej loncie,
Wchłaniasz me twory i nucisz pieśni?

A może zjadacz mych dzieł płomienny
W mej wyobraźni istnieje chorej?
Tak nieraz żebrak w swej marze sennej
Dukatów widzi olbrzymie wory...

M. CH. SZEPS.

MŁODOŚĆ.

Jak mogę żyć wśród srogich burz żywota,
Gdy wstrętną jest mi walka,—lubię ciszę,
Gdy dziecka płacz mem czułem sercem miota,
Gdy wonny wiatr mnie poi i kołysze?

Gdy serce me w dreszcz wprawia śpiew ptaszyny,
Porywa mnie słoneczny zachód krwawy,
Gdy dusza ma z modlitwą mknie w wyżyny,
Gdy błękit nieb mnie mami, zieleń trawy.

Jak mogę żyć wśród życia prozy lichej,
Gdy kochać chcę, całować usta hoże,
Gdy dziewy wzrok mnie nęci, róż kielichy,
I gdy mnie wdzięk pokonać łatwo może.





K. SZAPIRO.

RACHELA.

Słychać głos w Ramie, jęk i gorzki płacz: to niepocieszona Rachela opłakuje swe dzieci.

Jeremiasz 34,14.

Pośród pól Betleemskich odludnej krainy,
Widać kamień samotny na starym kurhanie,
W beznadziejnem milczeniu tej sennej równiny.
Jakaś postać majaczy w tumanie.

Pochylona, gdzie Jordan leniwie się toczy,
Skamieniała z rozpaczy i niema—
Łza bolesna przesłania zamglone jej oczy—
Skroń ujęła rękami obiema.

Wątłe ciało kobiety żałosny płacz wstrząsa—
Noc dokoła z swym mrokiem i ciszą wieczystą.
W święte wody Jordanu łza spływa gorąca
I tam zlewa się z falą przejrzystą...



SPRZECZNOŚCI ŻYCIOWE.

Kto słaby—w roli jest bardzo ponurej,
Bo człek zwierzęciem na tej ziemskiej glebie,
Więc w pogotowiu trzymam wciąż pazury:
Czy mam bliźniego rozszrapać, czy—siebie?

Błękitne niebo, wszędzie kwiaty rosną,
Akacje kwitną; tak pięknie, tak błogo,
Ruczaje szumią, przyroda tchnie wiosną...
Czy mam się napić, czy utopić kogo?

Tu zbrodnie życia, tu jego rozkosze,
Jak się z tym sprzecznym pogodzić obrazem?
Półbarw, półtonów na świecie nie znoszę,
Jak nienawidzieć i kochać zarazem?

O bądź mi luba mostem w życiu naszem,
Między tem, co nas odpycha i mami,
Głowę ci za to uściskiem opaszę,
Pobłogosławię cię i zroszę łzami.

W SANKACH GÓRSKICH.

Siedź w domu, jeśli ci zima niemiła,
Mnie śnieg upaja, czule wita mróz.
Ziemia tak biała, jakby nie grzeszyła,
Jam też bez winy—czyste dziecię muz.

Mam długą brodę i zmarszczone czoło,
Lecz lubię sanki,—szparki wóz bez kół,
O, jak są lekkie, jak skaczą wesoło,
Gdy w nich jak strzała lecisz z góry w dół.

Choć są niewielkie, żwawe są me sanki,
Dzikie, ogniste, jak arabski koń,
Z bryłami lodu śmiele stają w szranki,
Drwiąc, pędzą cwałem bo przez śnieżną toń.

Gdy chcę—wstrzymuję ich bieg buntowniczy,
Mam mięśnie, jakbym wiek żelazo kuł,
Rumaka sanki wiążę, jak na smyczy...
Lecz, z drogi! znowu pędzę z góry w dół!

Wzwyż i wdół całun przeciąga się biały,
Jam z gór wiezchołka jak meteor spadł,
Śnieg prószy w oczy jak srebrne kryształy,
Kręci się niebo, ziemia, cały świat.

Mknę w jasną przepaść—cóż mi śmierć i życie!
Strach biały z białą radością się splótł,
Maleją domy, drzewa we wszechbycie,
Kocham drobiazgi te, jak nigdy wprzód.

Śmieję się, wiatr mi także drwiną wtórzy,
Wleczę mnie dziko, rwie w otchłani głąb,
Mężnie, wesoło w twarz zaglądam burzy,
Bo orle skrzydła czuję i lwi ząb.

KRAŚNE JABŁKA.

Kraśne jabłka i zielone cienie,
P l aksamit, jedwab niebnej dali
I głośnego śmiechu słodkie drżenie,
Dźwięcząc, tonie wśród powietrznej fali.

Pójdź-no do mnie, dziewczę, luba wróżko!
Rwać owoce zielono-czerwone:
Mnie jabłuszko i tobie jabłuszko
I na szyjce całuski, skradzione.

Pójdź! Tu dzwoni, brzęczy, jak rój muszek
Dzwonią kwiaty wśród grządki-kobierca:
Mnie kwiatuszek i tobie kwiatuszek
I gorące tulenie do serca.

Pójdź! snów złotych wskrzesim znikłe cienie,
Zmierzchłą przeszłość, radości i smutki:
Mnie marzenie i tobie marzenie,
I na uszko sekrecik cichutki.

MIEJ WROGÓW!

Nie życzę skarbów ci, ani przyjaźni:
Druh tylko nudzi, dokucza i drażni,
Bogactwo durzy, upaja jak wino;
Bądź w gronie mocnych, co z potęgi słyną,
Co wodzą w świecie rej,—
Więc wrogów miej!

Miej wrogów, bracie, jaknajwięcej wkoło,
Bądź głazem, który młotom stawia czoło,

Miej wrogów, którzy rąbią, mrożą, palą...
Ze rdzy drwić może. kto jest złotem, stalą.
Kto pewien siły swej,
Więc wrogów miej!

Kędziory złote, przyjaźń, miłość, kwiaty
Przychodzą same,—zwłaszcza gdyś bogaty.
Jak liść jesienny padną ci pod stopy,
Jak płód gron winnych, jak na polu snopy,
Tylko im nieco swego złota zlej,—
Więc wrogów miej!

Miej wrogów! Nawet kiedy przyjdzie chwila,
Gdy włos siwieje, i gdy rany palą,
Gdy starość gnuśna moc woli przesila,
Gdy ból, tęsknota bucha mętną falą,
Zawołaj: wolo Niebios, dziej się, dziej!
I wrogów miej!

Choć wytknie palcem cię potwarzy siewca:
„Oto wróg ludu, zbir, nędznik—nie piewca!
My żony, dzieci mamy, miłość, szczęście,
A on zgrzyt zębów i ściśnięte pięście,
On sprawcą całej naszej doli złej!“
Ty wrogów miej!

Nie wierz im! Bogom ich nie tobie służyć,
Ich hasła płodem fałszu i nadużyć,
Twe „kłamstwo“ twórcze, ich „prawdy“ ubogie,
Chcą taniem szczęściem zagrodzić ci drogę,
Więc ucho swoje skłoń ku radzie mej
I wrogów miej!



L. SZPIRO.

JUŻ BLISKO...

Już blisko... Zdala już dolina lśni,
Z kominów kłęby dymu mkną w niebiosa,
Młyn śpi, staw miga i srebrzy się rosą...,
Wszystko wygląda jak w minione dni.

Witam cię, stawie ukochany mój,
I stary młynie na wodzie cichutkiej,
Rozkosze u was zostawiłem, smutki,
Z młodości miłej cały wspomnień rój.

Błogosławione bądź, miasteczko me,
Gdzie po raz pierwszy ujrzałem dzień biały,
Powracam do cię bez miecza i strzały,
Z życiowej walki, co na świecie wre.

Pokój ci, grodzie, kolebko mych snów
Miły mi każdy kwiat twój, każdy kolec,
Znów pragnę walczyć: zwyciężyć lub poledz
Na łonie twojem grę rozpocząć znów.

M. TAJCZ.

MOJE SIEDLISKO.

Póki nie zniknął wiosny ślad,
Ma dla mnie kącik boży świat,
Póki wydaje ziemia plon,
Na łąk murawie znajdę schron,
Przepędzę dzień, gdzie kwitnie kwiat,
Noc—pośród grubych zboża szat...
Uśpi mnie lekki wiatru wiew,
Obudzi mnie słowiczy śpiew,
Wśród skrzętnych pszczół ukoję głód,
Napije się z strunyka wód.

POD WSIĄ.

Pode wsią u krzyża stoi kraśne lato,
Błogosławiąc pola świetlejące smugi.
Od rozbrzasku krokiem wolnym i poważnym
Aż pod samą rzekę idą sobie pługi,
A dalej na łęgu tam trudzą się kosy.

I deszczem skier niecąc srebrzyste pałanie,
Z trawami się wdają w poszumną gawędę
O błogim spoczynku we śpichrzu na sianie,
A tuż za strumieniem trzoda na popasie,
Mały pastuch duże psy trzyma na smyczy,
Nad wodą skrzypiący wóz sunie z ładunkiem
I kołami, ile w moście desek, liczy.
A tam, gdzie się rzeka na ścieżaj rozwiera
Nagle młyn żydowski żywo zakołatał;
Młynarz nie ma ziemi i orać nie umię,
Tedy z ziemią bożą przez ten młyn się zbratał.





TUNKEL

HUMORYSTA.

Ot go widzicie, jak siedzi w żałobie:
Czoło zmarszczone,
Za uchem się drapie,
Twarz ma okrutną,
Bladą jak płótno,
Jakby rodziców pochował dziś w grobie,
Stracił kochankę (nie żonę).
Oczy zbójeckie ma i krwawą minę,
Jakgdyby na czczo zjadł zgniłą cytrynę...
Nie sądźcie, nędzne filisterskie gapie,
Że jakąś wadę ma straszną w wątrobie...
Lub stał się babą, i (co dziś nie w modzie)
Jest przy porodzie...
Nie, cni sąsiedzi:
On teraz siedzi,
Wściekle się biedzi

W pocie czoła,
By dla dziennika kart
Wymyślić dobry żart,
Aby się śmiała publiczka wesoła.

Nie przeczę—zbyteczne wrzaski!—
I humorysta to wieszcz z bożej łaski,
Lecz jeśli rządzi nim „mus" a nie Muza.
Jeśli redakcja dlań nakształt zamtuza,
Bo li gdy dreszcz sprzeda,
Ustanie bieda,
I li gdy z mózgu wyciśnie dowcipy
Będzie dopuszczon do krypy;
Jeśli pikantne odwali kawały,
Mieć będzie but cały,
Wtedy—niech duch wasz obrazy nie zazna —
Macie nie wieszcza, lecz błazna!
Kpiarz gazeciarski! weselić ma, łechtać,
Czerń czytelniczą do śmiechu podbechtać,
Pieprzny sos warzyć, by od błazeństw fali
Zacni ludziska z chichotu pękali...
I oto siedzi zgorzkniały
I struty,
W głowie mu żadne nie lśnią ideały,
Jeno kapota i spodnie i buty.
A serce drapią mu pazury kocie...
Tak w czoła pocie
Siedzi wieszcz smutny przy smiesznej robocie
A blade wargi miotają w publikę
Przekleństwa dzikie:
„Niechaj tem motłoch djabłów porwą krocie"!
I tworzy... humorystykę.

KŁÓTNIE DZIENNIKARSKIE.

Że jest w Warszawie, druhu, wierz,
Zresztą przysięgam, wznosząc paluch:
Gazeta Pchła, gazeta Wesz,
Gazety: Pluskwa i Karaluch.
A że jest ze mnie szczwany lis,
A styl posiadam zamaszysty,
Więc od powyższych czterech pism
Dostaję często słodkie listy.

Gazeta Pchła pisze mi tak:
Wyrżnij artykuł, pełen swady,
Ze wszy polotu całkiem brak,
Że za nic wyższe ma zasady,
Że wolno zbyt rozwija chód,
Że obca jej działalność szersza,
Ja cięty pamflet rżnę, jak z nut,
I zgarniam po pięć kop od wiersza.

Redaktor Wszy, ambitny człek,
Pisze mi: wyrżnij, panie zdolny,
Że Pchła zbyt szybko suwa bieg,
I nie szanuje myśli „wolnej".
Na nierozważny lud pcha czyn,
Rzucając go w anarchji łono...
Ja rżnę artykuł, pełen drwin,
I każę sobie płacić słono.

Karaluch Pluskwy zganić woń
Każe, co zatruć nas potrafi,
A Pluskwa karalucha w dłoń
Każe wziąć, z racji pornografji.
Ja rżnę, nie szczędząc krwawych plag
I klnę, jak urwis z ponad Wisły,
Bo za nic dziś nie płacą tak,
Jak za wzajemne pism wymysły.

A przytem pisząc serca krwią
I wyższym się kierując duchem,
Potrafię skłócić Pluskwę z Pchłą
I Wesz powaśnić z Karaluchem.
Bo z tego czerpię strój i wikt
I cosik się na dziewę utnie...,
Niech odtąd więc nie mówi nikt,
Że zbędne są dzienników kłótnie.





MIRJAM ULINOWER.

PIERŚCIONEK.

„Obyś go nigdy, nigdy nie zdjęła,
Czy radość, smutek ześlą ci nieba,
Chyba, gdy ręce swoje myć będziesz,
Jak Bóg przykazał, do kęsa chleba.“

Noszę go, noszę ten pierścień mały,
Zdobny w klejnocik, kamyk niebieski,
Myć rąk, babuniu, niema do czego
Bo ręce stale myją mi łezki.

O, łatwo, wierzaj mi, babciu droga
Ja ustawiczne te posty znoszę,
Tylko, że biały palec mój wiotki
Od nich zeszczuplał, usechł potroszę.

Lecz pierścioneczka zato-m ci strzegła,
Niby jabłuszka czarnego w oku,
Do lichwiarskiego zastawów domu
Z nim nie zbliżyłam przenigdy kroku,

Bo z nim rozłąki serce me, babciu,
Nawet przez dzionek nie strzyma pierwszy,
Choć w życiu coraz mi ciaśniej, ciaśniej,
A pierścień coraz szerszy, i szerszy.



M. WARSZAWSKI.

PRZYPIECEK.

Na przypiecku płomyk gore,
Szerząc ciepło swe,
W izbie siedzi rebe z dziatwą,
Uczy A i B.
Spójrzcie, dziatki, na litery
Co widzicie, co?
Mówcie za mną raz, mówcie jeszcze raz:
Komec alef—o.

Uczcie chętnie się i pilnie
Rebe każe wam:
Temu, kto zrozumie prędzej
Chorągiewkę dam.
Spójrzcie, dziatki, na litery i t. d.

Idźmy naprzód bez obawy,
Ciężki pierwszy trud,
Lecz, kto Tory się nauczy.
Nie wie co to głód.
Spójrzcie, dziatki, na litery i t. d.

Gdzy, dziateczki, dorośniecie,
Każdy pojmie sam,
Ile łez tkwi w tych literach,
Ile płaczu tam.
Spójrzcie, dziatki, na litery i t. d.

Gdy was gołus ciężki zmęczy,
Co grzbiet w dwoje gnie,
Zaczerpniecie sił z tych liter,
Gdy zajrzycie w nie.
Spójrzcie, dziatki, na litery i t. d.



A. WINCZEWSKI.

PIOSENKA NIEWOLNIKÓW.

Niebiosa należą do Pana nad Pany,
A szlachcic-pan ziemską wziął błoń,
Nędzarzem władają żelâzne bałwany,
Choć jego stworzyła je dłoń.
Pan wszystko zagarnął i chce coraz więcej,
Być królem by chcial mórz i ziem,
Rej wodzi wciąż „górny dziesiątek tysięcy".
Społeczna śmietanka i krem.
Zabrali nam siłę, i mózg nasz, i ciało,
O mało nie wzięli i dusz,—
Nie sądźcie, że jednak nam nic nie zostało,
Więc cóż pozostało nam, cóż?
Swobodny duch, nadziei hart
I wiary moc, jak skała,
Niestarta cześć śród dziejów kart —
Nam przyszłość pozostała!

Nauką bogaczów zawładła też klika,
A sztuka nie nasza to rzecz,
To nie artykuły są dla niewolnika,
Odpocznij i znów taczkę wlecz.
Troszeczkę oświaty nam dają, jak z łaski,
I za to pozyskać chcą cześć.
Pań słodkie uśmiechy i panów oklaski,
Nad tłumy w honorach się wznieść.
My mamy się trudzić, nie bawić w czytanie:
Masz łeb, to nad pracą go susz,
Ciemnota to dla nas jest cne przykazanie,
Więc cóż pozostało nam, cóż?
Swobodny duch, nadziei hart
I wiary moc, jak skała,
Niestartą część śród dziejów kart.
Nam przyszłość pozostała.

On płynie w rozkoszy, nam z oczu łzy płyną,
Bo my niewolnicy, on—król,
Dla niego są ciasta, i mięso, i wino,
Aksamit, i jedwab, i tiul;
Skarbonki w kantorach, w skarbonkach banknoty,
Wyłącznie należy to doń.
On szasta pieniądze na konie, kokoty,
A my harujemy, jak koń.
By mieć dla rodziny mizerny kęs chleba,
Musimy za siedem gnać mórz,
Duchowny dla ulgi kwit daje do nieba...
Więc cóż pozostaje nam, cóż?
Swobodny duch, nadziei hart
I wiary moc, jak skała;
Niestarta cześć śród dziejów kart —
Nam przyszłość pozostała!

Niebiosa należą do Pana nad Pany,
A ziemię wziął szlachcic do łap,
Nędzarzem władają żelazne bałwany,

On sługa maszyny, jej rab.
Na kolach żelaznych skórzane te pasy,
Z nędzarskich zrobione są skór,
Rzecz nasza jest tylko napelniać im kasy,
Dać siłę swych synów, wdzięk cór.
I wara ci, druhu, wybuchnąć protestem.
Masz milczeć i wiernie mu służ.
Więc, czem, zapytajcie, ja nędzarz tu jestem,
I cóż pozostało mi, cóż?
Swobodny duch, nadziei hart
I wiary moc, jak skała,
Niestarta cześć wśród dziejów kart,
Nam przyszłość pozostała.





WŁODZIMIERZ ŻABOTYŃSKI.

NAD GROBEM TEODORA HERZLA.

(20 Tamuza.)

On nam nie umarł, jak Mojżesz przed laty,
Na samym progu ziemi obiecanej,
Kędy już zbliska widział lud wybrany
Ojczyzny starej kraj piękny, bogaty,—
On ofiarował żywót swój świątyni
I nie zapomniał ciebie, Jeruzalem,
Lecz cię nie ujrzał i poległ w pustyni,
A gdy sny nasze czas jawą uczyni,
Jeno proch mistrza złożymy tam z żalem.

Teraz legiendy sens pojąłem ściśle,
Że pogrzebano ongi w dzikiej puszczy

Nietylko zbiegów z podłej tchórzów tłuszczy,
Na czyich grzbietach, duchu i umyśle
Wycisnął bat egipski wieczne piętno:
Lecz, że tam, zdala od ziemi rodzimej,
Gdzie się unoszą w niebo piasku dymy,
Zginęły duchy potężne,—olbrzymy
Z płomiennem sercem i duszą namiętną.

Tak! Jam podanie ujrzał w blasku słońca:
Po puszczy świata, śród mąk i katuszy,
Nie lat czterdzieści, lecz jubileuszy
Nasz naród tuła się, błąka bez końca;—
Lecz ten, kto zginął nam na obcej ziemi,
Nie był nędzarzem sprzedanym w niewolę
I upodlonym baty egipskiemi,—
Nie! to był orzeł z skrzydłami orlemi
I z orlim smutkiem na wyniosłym czole.

To duch potężny był, dumny, głęboki,
I grzmiało, jako dzwon, jego wołanie:
„Naprzód! Skierujcie na wschód swoje kroki,
Za wszelką cenę niechaj się tak stanie!"
I pięknie śpiewał nam o przyszłym bycie,
Gdy w swoim wolnym kraju pędzić życie
Będziemy społem, jak bracia rówieśni...
Lecz, choć nam uszedł w pełnym dni rozkwicie,
Już dokończymy sami jego pieśni!

Niech nas dobije jarzmo i męczarnie,
Niech strzępy Tory świętej wiatr rozwieje,
Niech z naszych synów wyrosną złodzieje,
A dom nierządu córki nam przygarnie,
Niech będziem ludów trądem i zakałą
W on dzień ponury, w ową chwilę szarą,
Gdy zapomnimy twoją pieśń wspaniałą
I ciebie, któryś padł za nas ofiarą.

Twój głos był dla nas, jak niebiańska manna
I nasze dusze karmić wciąż był gotów, —
Dziś młot potężny wypadł z rąk tytana:
Lecz uderzymy w sto tysięcy młotów:
Ich grzmiący turkot naszą boleść zgłuszy,
Praca się stanie ucztą głodnej duszy,
Przez wszystkie przejdziem zapory i tamy,
Zębami zgryziem kamienie śród drogi,
Będziemy pełzać, gdy się zmęczą nogi,
Ale do końca pieśń awą dośpiewamy!

Tak ongi ojciec nasz, Izrael mężny,
Z obozem stanął u swej ziemi progu,
Wtem szlak zagrodził mu sam Bóg potężny,
Lecz Jakób umiał czoło stawić Bogu...
Nas fala życia miota, nakształt słomki,
Byt nasz zamienił się w walki arenę,
Lecz, bogobórco, myśmy twe potomki,
Zwyciężyć musim „za wszelaką cenę”,
Niech bodaj Bóg ci grozi, Izraelu,
Do wytkniętego dojść potrafisz celu!

Śpij orle wielki, królewski trybunie,
Niedługo może przyjdzie chwila błoga,
Gdy w upragniony pochód lud nasz sunie:
Do swej ojczyzny, do świętego grodu,
I zaturkocze krok twego narodu,
Tumanem kurzu pokryje się droga,
Zaskrzypią koła, powieją sztandary
I marsz wesoły zadźwięczy na strunie...
Wówczas lud cały, od Don do Barszewy,
Mogiłę zwiedzi, gdzie leży wódź stary
I pieśń żałobną zanucą ci chóry,
Girlandy złożą ci Syjonu dziewy,
Nad grobem zabrzmią wolnościowe śpiewy,
A echo pomknie hen w jasne lazury!

Spis rzeczy

Spis tłumaczów.

Ch. Bialik:
Dumanie nocne — Turyn i S. H.
w Polu — Jan Kirszrot

S. Czernichowski
Przed posągiem Apollina — Jan Kirszrot

D. Einhorn
Litwa — M. Chmielnicki
Przed klasztorem — „

D. Friszman
Dla Mesjasza — S. Seideman

Szymon Frug:
Wezwanie — M. Kazanowicz
Unieście mą duszę — „
Legendy Wschodu — Alfred Lor
Kielich — H. Czerwiński
Trzy księgi — Leo Belmont
Fafa Morgana — „
Opowieści dziadunia — R. H. i S. H.

L. Meyer:
Słuchaj, Izraelu! — Al. Kraushar

S. J. Nadson:
Żyd — B. Londyński
„ — S. Wagman

J. L. Perec:
Pobudka — ***

Abr. Reizen:
Tęskno mi — M. Chmielnicki
O, wy perły moje — „

Morris Rosenfeld:
Moja pieśń — Alfred Tom
W warsztacie — „
Przy maszynie do szycia — „
Łza na żelazku — Alfred Tom
Mój synuś — „
Rozpacz — „
Dokąd — „
Słowik do robotnika — „
Pracownia — „
Wolność — „
Pieśni z ulicy nędzy — „
Do Kwiatów jesienią — „
Żydowski maj — „
Świeczki chanukowe — „
Mierzenie grobów — „
Strumień — „
Koniec świąt — „
Melodje elułowe — „
Stworzenie człowieka — „
Znowu śpiewam — „
Listki jesienne — „
Czarodziejski okręt — „
Długa chwila — „
Bezbronny — „
Wieczna tajemnica — „
Gdy cierpię — „
Walt Whitman — „
Słowik cmentarny — „

T. Sołohub:
Legenda — S. Wagman

K. Szapiro:
Rachela — C. Mejersonówna

M. Tajcz:
Pod wsią — S. Wagman

M. Ułinower:
Pierścionek — S. Wagman

Resztę wierszy przełożył S. Hirshorn

Uzupełnienie spisu tłumaczów
Sz. Frug:
Zmartwychstanie.
przeł. J. Appenszlak

Spis tłumaczów.

Ch. Bialik:
Dumanie nocne — Turyn i S. H.
w Polu — Jan Kirszrot

S. Czernichowski
Przed posągiem Apollina — Jan Kirszrot

D. Einhorn
Litwa — M. Chmielnicki
Przed klasztorem — „

D. Friszman
Dla Mesjasza — S. Seideman

Szymon Frug:
Wezwanie — M. Kazanowicz
Uniešcie mą duszę
Legendy Wschodu
Kielich — H
Trzy księgi — 'L
Fafa Morgana
Opowieści dziadunia — F

L. Meyer:
Słuchaj, Izraelu!

S. J. Nadson:
Żyd — B. Londyński
„ — S. Wagman

J. L. Perec:
Pobudka — ***

Abr. Reizen:
Tęskno mi — M. Chmielnicki
O, wy perły moje — „

Morris Rosenfeld:
Moja pieśń — Alfred Tom
W warsztacie — „
Przy maszynie do szycia — „
Łza na żelazku — Alfred Tom
Mój synuś — „
Rozpacz — „
Dokąd — „
Słowik do robotnika — „
Pracownia — „
Wolność — „
Pieśni z ulicy nędzy — „
Do Kwiatów jesienią — „
Żydowski maj — „
Świeczki chanukowe — „
Mierzenie grobów — „
Strumień — „
Koniec świąt — „

Słowik cmentarny — „

T. Sołohub:
Legenda — S. Wagman

K. Szapiro:
Rachela — C. Mejersonówna

M. Tajcz:
Pod wsią — S. Wagmar

M. Ułinower:
Pierścionek — S. Wagmar

Resztę wierszy przełożył S. Hirshorn